



WSZYSCY JESTEŚMY
NIEWINNI.

WINNE **NASZYCH**
ZBRODNI SĄ JEDYNI
ZŁE OKOLICZNOŚCI.

ZIMNY CHIRURG

MAX CZORNYJ

MAX CZORNYJ

**ZIMNY
CHIRURG**

FILIA

*Książka ta zawdzięcza powstanie przede wszystkim mojemu
drogiemu Ojcu,
który prawdę ceni dalece bardziej niż najwymyślniejszą fikcję
(w dzieciństwie dodałbym: niestety, teraz jestem za to na wskroś
wdzięczny).
To dla Ciebie, Tato*

*Zmarły przemienił się w kogoś żywego, pięknego.
Wilczyca, film z 1982 r. w reżyserii Marka Piestraka*

*Stworzyła mnie natura, dając mi nader żywe upodobania
i gwałtowne namiętności; znalazłem się na tym świecie, by się im
oddawać i je zaspokajać.*

D. A. F. de Sade, Dialog między księdzem a umierającym

*Człowiek zrodzony jest, aby żyć w konwulsjach niepokoju, lub też
w letargu nudy.*

Wolter, Kandyd, czyli optymizm

*Przed ślubem zdawało się jej, że go kocha, ale oczekiwane szczęście
nie nadeszło. „Pomyliłam się więc” – myślała i starała się dociec
znaczenia słów: szczęście, namiętność, upojenie, słów, które tak
pięknie brzmiały w książkach.*

Gustave Flaubert, Pani Bovary

1.

Pamiętam dzień, gdy po raz pierwszy zobaczyłem śmierć. Była blada i miała zmarszczki. Nosila fioletową podomkę, pod którą chowała brudne majtki. Nie widziałem w niej nic majestatycznego, lecz przyznaję, na swój sposób była piękna. Podniecająca.

Mówię ci, doskonale pamiętam dzień, gdy po raz pierwszy zobaczyłem śmierć. Ciepły, wiosenny wiatr napierał na szyby i wył, przeciskając się przez szpary pod drzwiami. Po niebie przemykały niewielkie obłoki, a słońce przyjemnie ogrzewało mi twarz.

To był dobry dzień, by poznać śmierć.

By chwycić ją za dłoń i nakłonić, aby towarzyszyła mi już zawsze. Aż do teraz.

Być może to jedno z najpiękniejszych wspomnień sprawiło, że stałem się tym, kim jestem. A być może chodzi o coś zupełnie innego. Z perspektywy lat wydaje się, że całe życie układa się w ciąg przyczyn i konsekwencji.

Słyszałem, jak w ten sposób ujął to jeden z psychiatrów.

Kolanowski to, Kolanowski tamto... Edmund, Edek, Ed, Eda, Mundek...

Powiedziałem im, że jestem Zimnym chirurgiem. Imię, które nadano mi na chrzcie, nie stało się przyczyną niczego. No, może poza tym, że ponoć kilku świętych Edmundów było męczennikami. O tym mówił ktoś całkiem inny, lecz nie pamiętam już kto.

Pamiętam natomiast swojego brata.

Miał puciołowatą twarz i błękitne oczy. Jego rzadkie blond włosy były zmierzwione, a na pełnych wargach skrzyła się ślina. Uśmiechał się. Patrzył mi prosto w oczy.

Mogłem mieć wtedy rok lub niewiele więcej. Leżałem na niebieskim kocu w białą kratę i spoglądałem przez szczeble łóżka. Nasze spojrzenia się spotkały.

Andrzejek wyciągnął do mnie dłoń. Dotknął mojej twarzy, a jego uśmiech stał się jeszcze szerszy. Stał, choć wydaje mi się, że drugą dłonią musiał zapierać się o łóżko. Utrzymywał równowagę.

Nie pamiętam, by byli przy nas matka lub ojciec. Właściwie nie pamiętam nic więcej. Scena się kończy. Pierwszy obrazek z mojego życia nie zawiera zbyt wiele treści. Gdy opowiadałem o nim psychiatrom, wzruszali ramionami i przechodzili do dalszych pytań.

Wtedy przeraziła mnie pewna myśl.

A co, jeśli moje pierwsze wspomnienie jest tylko wytworem fantazji? Co, jeżeli mój brat wcale tak nie wyglądał?

Roztrząsałem tę kwestię wiele razy. Wiele razy bez powodzenia szukałem jakiegokolwiek fotografii.

I wiesz co, moja droga? Teraz już rozumiem, że to nie ma żadnego znaczenia. Absolutnie żadnego. Mogłoby być mi smutno, że moje życie potoczyło się w taki, a nie inny sposób. Mógłbym mieć pretensje do świata i szukać winnych.

Nieobecnych rodziców?

Brata?

Śmierci, która pojawiła się blada, w brudnych majtkach i fioletowej podomce?

Tak. Z jakiegoś punktu widzenia wszystko można zrzucić właśnie na śmierć. Wbrew temu, co mówią, ona wcale nie stanowi rozwiązania wszystkich problemów. Jest zaledwie ich początkiem.

Śmierć.

Towarzyszyła mi całe życie, choć nigdy nie była tak blisko, jak teraz. Po raz pierwszy boję się jej. Uwiesza się na mnie i chce mnie pocałować.

Czuję jej zapach znacznie wyraźniej niż wtedy, gdy otwierałem wieka trumien albo gdy rozpruwałem zwłoki. Jej smród okleja mi nozdrza.

Ma głos znacznie donośniejszy niż bulgot dobywający się z rozduszanej dłońmi krtani.

Jednak zawsze, bez końca, będzie mnie podniecała.

Nawet w momencie, gdy sznur owinie się wokół mojej szyi, a kręgosłup trzaśnie pod ciężarem ciała. Jeden z lekarzy zapewnił mnie, że wówczas po raz ostatni doznam zaspokojenia. Sukinsyn uroczyście dał mi na to swoje słowo.

O tak.

Śmierć zawsze była podniecająca.

Nie zawiedzie mnie.

Choć nie chcę umierać. Boże, naprawdę nie chcę umierać...

Boję się.

Tak bardzo się boję...

Mamo...

2.

Rajstopy, majtki i staniki owijam pończochą. To łatwe. Robiłem to już wiele razy. Ukradłem je ze sznura rozpiętego na podwórzu naszej kamienicy. Robię to rzadko, żeby nikt mnie nie podejrzewał. Winny jest wiatr.

Tylko dokąd, u licha, wiatr miałby porwać szmaty na zamkniętym podwórzu?

To już nie mój problem i nie moja fantazja.

Pończochę zakręcam, a następnie zawiązuję na niej supeł. Sięgam po igłę. Ostrożnie zszywam dwie części mojej lalki, która w końcu przypomina ludzką postać. Ma nogi sięgające nieco poniżej kolan, tułów oraz krótkie ręce. Brak jej natomiast głowy.

Głowa jest niepotrzebna. Piękno i pożądanie sprowadza się do niewielkich części tułowia, do piersi oraz do łona, reszta to zbędne dodatki. Spojrzenia dekoncentrują. Słowa potrafią wybić z rytmu lub zmieszać.

Nigdy nie robię głowy.

Ale lalka jeszcze nie jest gotowa.

Obracam się i otwieram starą szafkę. Pochylam się, by sięgnąć aż pod jej tylną ściankę. Ze środka wyciągam spore papierowe zawiniątko. Zamykam drzwiczki i kładę pakunek na porysowanym blacie.

Przebiega mnie dreszcz.

Nikt nie może mi przeszkodzić. Znajduję się w niewielkiej komórce przynależnej do naszego mieszkania. Tylko ja mam do niej klucz, więc nikt tu nawet nie zachodzi. Mimo to zawsze staram się być cicho.

Nawet gdy...

Zaraz.

Na wszystko przyjdzie czas.

Powoli rozwijam papierki i dreszcz przemienia się w drżenie. Dłonie dygocą mi z podniecenia. Oddech przyśpiesza. Gdybym miał się teraz odezwać, głos by mi drżał, jakbym płakał. Zawsze mnie to irytuje.

Ale lalka nie śmieje się i nie zadaje pytań.

Sięgam po kawałek kobiecej piersi. Skóra jest sinoniebieska, a sutek – szerniały. Przyglądam się mu przez kilka sekund. Dotykam go i przepuszczam pomiędzy palcami.

Czuję narastające pożądanie.

Odwracam pierś i z powrotem kładę ją na papierze. Z kieszeni wyciągam scyzoryk. Kilkoma wprawnymi ruchami usuwam zbryloną żółtą tkanę tłuszczową. Zeskrobuję ją i zawijam w gazetę. To proces podobny do oczyszczania kawałków jakiegokolwiek mięsa. Gdyby ten tłuszcz przepuścić przez maszynkę z kawałkami wieprzowiny, mogłaby powstać całkiem smaczna kiełbasa. Choć nigdy tego nie próbowałem.

Przykładam pierś do lalki i wrażenie odbiera mi dech. Wszystko doskonale do siebie pasuje. Przyszywam ją igłą oraz nitką, jakbym zszywał dwie warstwy materiału. Skóra jest sztywna, więc muszę uważać, by jej nie naderwać. Staram się również, aby nie złamać igły.

Nie lubię komplikacji.

Patrzę na przszytą pierś i ponownie ją pieszczę. Pierś, cały korpus, talię, miejsce, w którym powinno być zagłębienie pępka...

Wiem, że nie będę mógł się już powstrzymać zbyt długo. Czas na to, co najważniejsze.

Z papierowego zawiniątka wyciągam doskonale wycięte kobiece krocze. Trzymam je za zmierzwione i ubrudzone krwią włosy łonowe. Wnętrze dłoni oblepia mi pot.

Rzucam srom na lalkę i pochylam się nad nią. Biorę igłę oraz nić. Próbuje przyszyć skórę do manekina, lecz dłonie zbyt mocno mi drżą. Kłuję się igłą w palec. Moja krew miesza się z zaschniętą krwią tamtej kobiety.

Nie.

Nie teraz.

Zrobię to innym razem. Teraz muszę się jedynie zaspokoić. A potem wrócę. I jeszcze raz.

I jeszcze.

I znów...

Z PROTOKOŁU

Miałem wyciętą skórę z okolic krocza przez dwa dni w mieszkaniu. Później wyrzuciłem ją na śmietnik. W tym czasie miałem zrobioną lalkę i do niej przyszywałem narządy.

3.

Nie mam pojęcia, czy nienawidziłem kobiet, czy je kochałem. Może jedno i drugie. Jak myślisz, czy to w ogóle możliwe – kochać i nienawidzić jednocześnie? Ja nie mam wątpliwości, że tak. Zdaje mi się, że właśnie to jest najbliższe prawdy.

Moja matka, Tereska, Zofia, Gabriela, a nawet ty. Tak, tak właśnie – również ty.

Z miłością do kobiet zawsze wiąże się nienawiść.

No i jeszcze tamta kobieta z dworca. Wyobraź sobie scenę, w której pijemy razem koniak. Pięćdziesiątka, dwie, no może jeszcze trzecia, o której zapomniałem. Z alkoholem zawsze wiąże się podniecenie.

Mówię trochę nieskładnie, musisz mi wybaczyć, ale chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. Do tego koniakowi jeszcze wrócimy, opowiem ci o nim dokładniej, lecz pozwól, że teraz zarysuję sytuację.

No więc są trzy elementy. Miłość, nienawiść i pożądanie. W miłości zawiera się również zauroczenie, o które nietrudno po kilku głębszych oraz przy miłej rozmowie. W głowie mi huczy. Nigdy nie byłem dobrym kompanem do picia.

Spoglądam jej w oczy. Przelotnie, bo jeszcze nie wiesz, lecz nie lubię kontaktu wzrokowego.

Nasze spojrzenia się spotykają, ona zalotnie mruga. Puszcza do mnie oko. Uśmiecha się przy tym i gładzi moją dłoń. Gdyby tylko wiedziała, do czego ta dłoń była zdolna. Choć czasem myślę, że dla niektórych kobiet prawda mogłaby być całkiem podniecająca. Dlatego w tej rozmowie będę zupełnie szczery.

Tak więc ona gładzi moją dłoń, a ja jestem wstawiony. Narasta we mnie pożądanie. Umówiliśmy się na seks, za chwilę mamy zaszyć się w jakimś ustronnym zaułku. Ona zna okolicę i zgodziła się na moją cenę. Nie jest droga. Z prostytutkami nie mam wielkiego doświadczenia, ale naprawdę potrafią człowiekowi ogołocić portfel.

Kolejne puszczenie oka oraz szeroki uśmiech. Ta kobieta ma w sobie dziwny urok. W jej zachowaniu jest zarazem coś pruderyjnego, co dodaje jej aury tajemniczości. Ma lekko zaróżowione policzki i wiem, że to nie jest makijaż ani kwestia wypitego koniaku.

Spuszcza wzrok i splata dłonie. Przygryza usta.

Chcę, aby jak najszybciej zaprowadziła mnie na ubocze. Chcę, aby była moja. Boję się, że nagle się rozmyśli i zostawi mnie z niczym. Może podana cena była zbyt niska? Pewnie znajduje klientów, z którymi za niewiele mniej spędza kwadrans przy barze.

Wyprostowuje się i wypija koniak do dna. Powoli wypuszcza powietrze. Wzdycha.

Wciąż na mnie nie patrzy i zaczynam być pewny, że coś jest nie tak. Rozmyśliła się. Na pewno się rozmyśliła. Nie może mnie teraz tu zostawić.

W tym momencie pojawia się trzeci element.

Nienawiść.

Zaczynam jej nienawidzić, pożądać i jednocześnie ją kochać. Musi być moją lalką. Musi dać mi zaspokojenie. Nawet jeżeli się rozmyśliła, nie odpuszczę jej.

Tym razem to ja chwytam jej dłoń. Uśmiecham się do niej i kiwam głową, dając znać, że na nas już pora.

Miłość, nienawiść i pożądanie. To części składowe świata. Życie każdego z nas kręci się wokół tych pojęć. Nawet jeżeli pożądamy nie ciała, ale pieniędzy lub sławy, to kierują nami te same emocje.

W gruncie rzeczy wszyscy jesteśmy tacy sami. Nawet ja i ty, choćbyś nie wiem jak mną gardziła.

Wstaję od stolika, a kobieta kręci głową.

Tutaj postawmy kropkę. Będziesz się teraz zastanawiała, co się stało z tą kobietą i jaki ma związek z lalką. Co zrobił z nią Zimny chirurg?

Bądź cierpliwa.

Poczekaj chwilę, a poznasz całą prawdę.

I proszę, na razie nie oceniaj.

Sprovokuję cię. Być może nawet mnie znienawidzisz, ale to dobry punkt wyjścia, aby potem było tylko lepiej. Czyż nie?

Chcę, żebyśmy byli ze sobą całkowicie szczerzy. Ja opowiem ci swoją historię, lecz od ciebie również czegoś będę wymagał. Co prawda, czegoś małego. Właściwie, zupełnie niczego szczególnego. Nie jestem zachłanny.

Odpowiadaj na moje pytania tak uczciwie, jak tylko potrafisz. To wszystko. Nie interesują mnie twoje odpowiedzi, więc możesz zachować je dla siebie. Chodzi mi wyłącznie o szczerść.

Z pytaniami musimy jednak jeszcze chwilę poczekać. Zaczniemy od czegoś innego.

Choć możesz tego nie dopuszczać do świadomości, ktoś taki jak ja mógł cię dzisiaj minąć na ulicy. Mógł trącić cię ramieniem, a może nawet rzucił niewyraźne „dzień dobry”, „przepraszam”, „to moja wina”.

Gdybym usłyszał od kogoś „to moja wina”, zwróciłbym na niego podwójną uwagę.

Możesz wmawiać sobie, że świat jest dobry, a śmierć nie istnieje. Mnie nigdy nie interesowały dobro ani zło.

A ty, moja droga, może masz coś na sumieniu? Może jakiś niewinny skok w bok z nieznajomym albo z kolegą z pracy?

W końcu był taki przystojny, szarmancki, łagodny. W końcu miałaś zły dzień, a twój facet okazał się prawdziwym gnojem.

Nigdy nie znamy innego człowieka.

Albo nigdy nie chcemy go poznać.

Moja żona i konkubina nie chciały wiedzieć, że wchodziłem w nie wkrótce po tym, jak baraszkowałem ze zwłokami. W tym czasie nie brałem kąpieli ani prysznica. W ich ciałach ożywały wspomnienia tego, czego doznałem wcześniej, z całkowicie mi uległymi, martwymi ciałami.

Z lalkami.

Ciałami, którym nie musiałem kazać czegokolwiek robić. Ciałami, które nie krzyczały ani nie protestowały. Z fragmentami ciał. Jedyną częścią drugiej istoty, której można naprawdę szczerze pożądać. Fragmentem wszechświata, który wprawia w pełne podniecenia drzenie.

Ktoś taki jak ja mógł siedzieć obok ciebie na ławce. Wasze dłonie mogły zetknąć się w autobusie lub pociągu. Twoja czyściutka dłoń i jego. Moja. Ta, którą rozgrzebywałem grób, a następnie wtykałem w nieruchome ciało.

Przebiegł cię nieprzyjemny dreszcz?

Ja mówię tylko o hipotetycznej sytuacji. Nigdy nie wiemy, kim tak naprawdę jest nasz przyjaciel. Niewiele więcej wiemy o mężach i braciach. Nikomu nie potrafimy czytać w myślach i nie znamy najskrytszych marzeń drugiego człowieka.

Zwłoki nie zdradzają tajemnicy.

To pierwsza prawda.

Ale wracając do wątku zrozumienia drugiego człowieka, muszę przyznać, że o własnym ojcu mógłbym powiedzieć naprawdę niewiele. Wiem, że został cudem ocalony z Oświęcimia. Ponoć znaleziono go wśród hałdy trupów tych, którzy padli z wycieńczenia. W końcu nikt nie sprawdzał im pulsu. Jeżeli ktoś zwałił się na ziemię, inni więźniowie odciągali go po prostu na

bok, aby nie zmuszał żywych do nakładania drogi i obchodzenia jego zwłok.

W ostatnich dniach wojny Niemcy spalili więcej dokumentów niż ciał i być może dlatego mu się upiekło. Odnalazł go radziecki żołnierz, który dostrzegł drzenie palców. Ściągnął go z góry na wpół zgniłych i na wpół zamarzniętych trupów. Ocucił czystym spirytusem, w czym ktoś przesądny mógłby doszukiwać się przeznaczenia. Dla mnie fakt, że po wojnie ojciec znalazł pracę w gorzelni, jest tylko zabawnym zbiegiem okoliczności.

Jego robota miała jeden zasadniczy plus. Mógł pić na umór. Codziennie i bez końca. Aby zapomnieć lub aby pamiętać – co za różnica. Przecież nikogo z ocalałych nie powinniśmy oceniać. Każdy z nich jest bohaterem swoich czasów.

Tak więc ojciec pił i zadawał się, z kim popadnie, i koniec końców złapał syfa. Nie wiem, czy obdarował nim matkę ani czy również w tym było jakieś przeznaczenie, lecz urodziłem się w zamartwicy.

Zamartwica... Pewnie gdyby nie własne doświadczenie i nie historia matki, nigdy nie poznałbym tego słowa.

Zamartwica.

Widzisz w tym przeznaczenie czy zabawny zbieg okoliczności? Już przy urodzinach towarzyszyła mi śmierć.

Chodzić nauczyłem się, dopiero kiedy miałem półtora roku. Byłem nieporadny i ciągle się wywraçałem, zupełnie jakbym za wszelką cenę bronił się przed wkroczeniem w ten cholerny świat. Matka całymi dniami trzymała mnie za rączki i prowadziła po mieszkaniu. A ja co chwilę leżałem na podłodze.

Bach.

Bach-bach-wstawaj, kurwa-bach.

Przeciwko przymusowi protestowałem jedynie płaczem.

Mówić zacząłem dopiero wtedy, gdy skończyłem trzy lata. Zresztą odzywałem się ponoć niewiele i niechętnie. Matka

poświęcała mi każdą wolną chwilę, a ja nie potrafiłem się jej zrewanżować nawet wesołym gaworzeniem. Moim pierwszym słowem z pewnością nie było „mamo”.

Byłem ohydny dzieckiem.

W gazecie, której fragment przeczytał przesłuchujący mnie kapitan, napisano coś, co utkwilo mi w pamięci. Ponoć matka często mówiła, że żałuje, że nie utopiła mnie podczas pierwszej kąpieli. Nie wiem, czy to prawda. W pierwszej chwili chciałem protestować i krzyczeć, lecz jakie to miało znaczenie?

Ktoś to, kurwa, parszywie wymyślił.

Wiem, że mama kochała i kocha mnie całym sercem.

To dzięki niej jestem gotów wyznać ci całą prawdę. Gdyby się tu nie pojawiła i nie przekonała mnie, wolałbym nie powiedzieć już nigdy ani słowa, lecz wczoraj pozwolono jej ze mną porozmawiać. Zapewniła, że będzie mnie kochać do końca moich dni, jeśli tylko wyznam prawdę...

Pieprzenie...

Do końca moich dni. Dostrzegasz w tym pewien podtekst?

Jakby wiedziała, że moje dni łatwiej policzyć niż te, które zostały jej.

Naprawdę nie wiem, czy matka kiedykolwiek powiedziała, że żałuje, że nie utopiła mnie podczas pierwszej kąpieli. Wszystko mi się płacze i miesza.

Ale może, gdyby rzeczywiście to zrobiła, byłoby lepiej?

Może to wszystko to nie moja, ale jej wina? Znalazłbym kilka argumentów za tą tezą. Pamiętaj, że obiecałaś ocenić je całkiem szczerze.

4.

Pamiętasz mojego brata Andrzejka? Już ci o nim wspominałem.

Pamiętasz jego błękitne oczy, zaślinione wargi i zmierzwione włosy?

Pamiętasz rączkę, którą wyciągał ku mojej twarzy?

To wszystko, co mam. Nikt nie zrobił mu zdjęcia ani nie narysował węglem na pomiętej kartce papieru. Nie zostały po nim żadne zabawki, ubranka ani historie. Może poza tą, że był dobrym i grzecznym dzieckiem. Mało płakał, a jego spojrzenie było spokojne i mądre.

O nie.

Nikt nie powiedział, że moje takie nie było. Nikt nas nie porównywał ani nie przedstawiał mnie jako tego gorszego.

Mój brat zmarł, gdy miałem szesnaście albo siedemnaście miesięcy. Znalaziono go w łóżeczku, które stało tuż obok mojego. Nie ruszał się, miał obrzęknięte, sine wargi, lekko rozwarte oczy i rączki rozrzucone na boki.

Być może to właśnie ten moment zapamiętałem. Śmierć, która pojawiła się tuż przy mnie. Może rączki, które we wspomnieniu wyciąga do mojej twarzy, wyciągał, szukając ratunku? A może wyciągał je ku mnie już jego duch?

Nie pamiętam, żeby matka płakała. W ogóle jedyne, co przypominam sobie z jego pogrzebu, to zapach kadzidła i lodowate zimno kaplicy. I trumna, którą opuszczano do małego grobu. Pamiętam, jak zgrzytnęła o piaszczyste podłoże. Chwilę później grabarze wciągnęli sznury. Było w tym obrazie coś, co mnie fascynowało.

Zdaje się, że obserwowałem wszystko z ramion matki. Miałem dobry widok i nie płakałem. Niedługo potem nauczyłem się chodzić, tak jakbym potrzebował do tego śmierci brata. Zastanawiam się, czy nie był to warunek, by matka zabrała mnie ze sobą na cmentarz.

Nie jestem też pewny, czy chciałem tam wrócić.

Z perspektywy lat wiem, że z cmentarzem Miłostowo wiążą się jedne z moich najlepszych wspomnień. Ty też takie masz – choć zapewne dotyczą świąt spędzonych w rodzinnym gronie, zabawy w przedszkolu lub na podwórzu. Przed oczami przewijają ci się roześmiane twarze przyjaciół oraz kolegów.

Ja widzę zrozpaczoną twarz matki.

Czuję woń dogasających zniczy i zwiędłych kwiatów.

Słyszę płacz żałobników i uderzenia łopat o glebę.

Teraz, gdy nie pozostało mi nic innego, również zanurzam się w tych wspomnieniach. Przynoszą mi ulgę i przypominają, że kiedyś, dawno temu, istniał dla mnie lepszy, wspaniały świat.

Możesz się dziwić, ile chcesz, ale twoje domysły są całkowicie słuszne.

Świat moich ukochanych wspomnień dzieciństwa znajdował się właśnie tam.

Wśród cmentarnych nagrobków.

Zaraz ci o nich opowiem.

5.

Bazę wypadową miałem za nagrobkiem świętej pamięci Zofii i Andrzeja Czerwińskich. Punkt obserwacyjny – przy grobowcu, z którego ktoś oderwał tabliczkę. Kolejny przy starej mogile ziemnej, nad którą pochylał się metalowy zardzewiały krzyż. Po deszczu zbierała się na nim woda i skapywała, przypominając krwawe łzy. Obserwowałem, jak wsiąkają w glebę nasiąkniętą już tyłoma łzami żałobników.

Zmarły tragicznie Stanisław spoglądał na mnie z porcelanowego portretu, gdy czaiłem się przy bazie numer dwa. Pamiętam jego wielkie wąsy i wysokie czoło. Zawsze wydawało mi się smutne, że leżał w pojedynczym grobie. Mimo że zahaczył o poprzedni wiek, musiał przeżyć te kilkadziesiąt lat sam. A może wcale nie?

Wielokrotnie się nad tym zastanawiałem. Starłem się też wyobrazić sobie, jak wyglądała jego tragiczna śmierć. Został zastrzelony? Zginął w katastrofie samolotu albo balonu? Może otruto go jak bohatera jednej z bajek, które wtedy mi opowiadano, a którego imię zatarło mi się w niepamięci.

18 grudnia 1947 roku. Co się wtedy stało, zmarły tragicznie panie Stanisławie? Czy ktoś rozłupał panu czaszkę, by zabrać kilka banknotów? Czy to była rozpędzona dorożka i spłoszony koń? Co rusz wymyślałem kolejne historie. Przeżywałem tę śmierć na setki sposobów, lecz żaden nie wydawał mi się dość prawdziwy.

Najlepszej rozrywki dostarczyło mi jednak miejsce oddalone o kilkadziesiąt metrów od grobu Stanisława. Trzeba było przejść alejką w dół, minąć kilka wierzb oraz kamienny krzyż.

Matka nie robiła mi wyrzutów, gdy się oddalałem. Miałem wtedy już pięć lat i towarzyszyłem jej w regularnych spacerach na grób mojego brata. Czasem byliśmy na Miłostowie dwa razy dziennie, a gdy była niepogoda, to zdarzały się nam najwyżej dwa dni przerwy. Rytuał trwał niezmiennie od trzech zim. Pamiętam święta spędzone na cmentarzu, lecz nie mam żadnych wspomnień z domu.

Matka za każdym razem sprzątała grób, zgarniała liście i wrywała chwasty. Wydeptywała śnieg wokół mogiły. Potem kuciała bezpośrednio przy niej lub siadała na trawie. Nie wiem, czy się modliła. Nigdy z nią o tym nie rozmawiałem. Zamierała w bezruchu i milcząc, wpatrywała się w nędzny krzyżyk lub w swoje dłonie. Czasem patrzyła w niebo.

Na początku płakała, lecz po latach nie widziałem już łez.

Miała kamienną, pełną napięcia twarz, zastygłą w wyrazie niewypowiedzianej pretensji. Żalu do całego świata.

Podobną minę miała, gdy odwiedziła mnie w zakładzie i nakazała mówić prawdę... Nie mam pojęcia, czy pretensję miała do mnie, czy do siebie.

Ale wciąż nie opowiedziałem ci o moim ulubionym miejscu na Miłostowie. Był to rozpadający się, źle zamurowany grób, którego płyta zsunęła się na bok. Wystarczyło, żebym się po nim przeczołgał, a mogłem wskoczyć do środka.

Za każdym razem czułem się jak odkrywca.

Nie słyszałem wtedy zapewne ani o Magellanie, ani o Kolumbie, lecz w każdym z nas tkwi przecież żyłka odkrywcy. Wiesz coś o tym. Przecież czytasz te słowa tylko po to, aby poznać moją skrzywioną psychikę.

Ja pragnąłem poznać ziemię nieznaną.

Do tej pory wśród zapachów cmentarza dominuje duszący aromat wilgotnej gleby i zbutwiałych trumien. Leżące w nich zwłoki musiały się rozłożyć lub zakonserwować, bo nie pamiętam,

aby śmierdziały. Poza tym, gdyby z dołu cuchnęło, ktoś pewnie wcześniej zwróciłby uwagę na tę szczelinę.

Wcześniej niż...

– Co ty tu robisz?!

Niski pisk wyrwał mnie z zabawy. Byłem wtedy gospodarzem krypty albo mężem zmarłej damy. Te dwa scenariusze odgrywałem w głowie najczęściej.

Podniosłem głowę i dostrzegłem purpurową twarz tłustej kobiety. Obok niej stał drobny, skulony staruszek. Oboje wpatrywali się we mnie z mieszaniną złości oraz odrazy.

– Wyciągnij go stamtąd – wycodziła ona.

Mężczyzna natychmiast usłuchał rozkazu. Z zadziwiającą siłą chwycił mnie za kołnierz, po czym wywlókł na górę. Nie zwrócił uwagi na to, że karkiem przygrzmociłem w pokruszoną płytę. Czuję, że mam tam zdartą skórę.

– Co ty, chłopcze, jesteś jakimś szczurem?! Po coś tam wlaź?

Zareagowałem jedynie wzruszeniem ramion.

– Nie umiesz mówić?

Ponownie wzruszyłem ramionami i jeszcze raz z żalem zerknąłem do grobu. Od pewnego czasu planowałem otwarcie tej trumny. To było jak sięgnięcie po kufer pełen skarbów. Albo...

No dobrze, przyznaję. Tamtego dnia ani nie bawiłem się w gospodarzenie kryptą, ani nie byłem mężem otrutej damy. Kombinowałem, jak podważyć wieko trumny i zajrzeć do środka. Doskonale to pamiętam.

Spróchniałe deski ustępowały pod naciskiem metalowej blaszki, którą znalazłem przy bramie. Gdy staruch wywlekał mnie ze środka, wypuściłem ją. Znalezienie jej po ciemku graniczyło z cudem. Musiałem odłożyć swój plan do następnego wypadu...

Para rozejrzała się wokół. O tej porze na cmentarzu nie było zbyt wielu osób, więc od razu dostrzegli moją matkę. Kobieta

chwyciła mnie za rękę i poprowadziła w jej stronę. Przeszliśmy w milczeniu kilkanaście metrów.

– To twoja mama? – zapytała na tyle głośno, by matka mogła ją usłyszeć.

Skinąłem głową.

– Niech pani lepiej pilnuje dzieciaka. Bawił się tam, w zapadniętym grobie, jak jakiś szczur. Grzebał przy trumnach, a to święta ziemia...

Święta ziemia? Do tej pory pamiętam głos tej paniusi. Bardziej martwiła się o spokój zmarłych niż o moje życie. Wbrew pozorom nie ma w tym nic dziwnego.

A ja już wtedy postanowiłem, że na pewno zajrzę do tamtej zbutwiałej trumny. Rozpalona dziecięca ciekawość narasta każdego dnia i musi znaleźć ujście. Mnie udało się ją zaspokoić dość szybko.

Żałowałem, że wówczas nie było w pobliżu tej obruszonej paniusi i krzepkiego starca.

Zdziwiliby się.

6.

Wiek trumny zapadło się, gdy uderzyłem w nie kamieniem. Był to bardziej inwazyjny sposób niż majstrowanie blaszką, ale zdecydowanie szybciej przyniósł właściwy skutek.

Drewno trzasnęło.

Serce załomotało mi w piersi. Zerknąłem w górę. Nawet gdyby ktoś szedł alejką, nie mógłbym go teraz zobaczyć. Widziałem jedynie fragment zasnutego chmurami nieba. No i zwieszoną ponuro gałąź.

Matka nadal nie zwracała na mnie żadnej uwagi. Miałem jedynie się pilnować i pojawić, gdy zacznie się zbierać do domu. Zmawiała wtedy kilka modlitw, bezgłośnie poruszając ustami. Żegnała się, po czym jeszcze przez parę minut wpatrywała się w grób mojego brata.

Nie mogła mnie słyszeć. Zdaje się zresztą, że nie słyszała zupełnie niczego.

Głęboko wciągnąłem powietrze razem z pyłem i duszącą wonią, która uleciała z trumny. Nie był to smród rozkładu, a zapach przypominający skondensowane stęchłe powietrze piwnicy. Okleił mi przęłyk.

Splunąłem.

Przesunąłem się, aby wpuścić do środka więcej światła. Otwór był niewielki, więc nic nie widziałem. Wnętrze trumny zionęło ciemnością.

Odczekałem jeszcze kilka sekund i po raz kolejny uderzyłem kamieniem o wieko. Kilka wielkich drzazg stanęło na sztorc,

kalecząc mi dłonie. Nie zwróciłem na to uwagi. Dziura powiększyła się, lecz nadal nie mogłem nic dostrzec.

Zniecierpliwiony, wsunąłem do środka dłonie. Po omacku macałem po jakiejś śliskiej tkaninie, aż nagle dotknąłem czegoś twardszego. Serce waliło mi jak oszalałe.

Chyba nie wspominałem, że popękana tabliczka informowała, że w grobowcu spoczywa ś.p. Anna Karzewska *primo voto* Ditt. Nasuwają ci się teraz pewnie te same pytania co mnie.

Kim była? Jak wyglądała? Dlaczego umarła?

A może masz to głęboko gdzieś?

Wyobrażałem ją sobie jako wielką piękność, choć teraz wiem, że nie myślałem o twarzy. „Piękność” była dla mnie pojęciem opisującym coś mistycznego. Coś, czego kilkuletni chłopiec nie jest w stanie właściwie zrozumieć.

Zacisnąłem palce i zadrżałem z ekscytacji. Wyciągnąłem z trumny jakiś dziwny przedmiot. Natychmiast obróciłem się w stronę światła.

Wśród pyłu unoszącego się w powietrzu dostrzegłem strzępek materiału, w którym ścisnąłem kość. Do tej pory nie mam pojęcia, jaki fragment Anny Karzewskiej *primo voto* Ditt trzymałem w dłoni. Być może była to część jej kości ramiennej, być może żebro... A może coś całkiem innego.

Starannie upchnąłem zawiniątko do kieszeni i wyczołgałem się z grobu. Ledwie idąc z podekscytowania, wróciłem do matki. Bałem się, że odkryje moje znalezisko i każe mi je wyrzucić. Jednak ona nie zwróciła na mnie żadnej uwagi.

Kilka minut później zmówiła modlitwę, wyrwała przegapiony wcześniej chwast, po czym ruszyła do wyjścia z cmentarza. Za jego bramą chwyciła mnie za rękę.

Drugą ścisnąłem owiniętą w materiał kość.

Zastanawiałem się, gdzie ją schowam.

To był mój pierwszy prawdziwy skarb. A może nawet pierwsza prawdziwa miłość.

7.

Zdarzało się, że szliśmy na cmentarz obok niedawno założonych ogródków działkowych. Mimo że okolica tonęła w błocie, w tamtym czasie kręciło się tam mnóstwo ludzi. Starsi chłopcy bawili się w podchody, a wydeptanymi w trawie ścieżkami spacerowały kobiety z wózkami.

W końcu znalazłem tam nawet kilku kumpli. Gdy prosiłem matkę, by pozwoliła mi się z nimi pobawić, reagowała obojętnością. Mogłem robić, co chciałem. Nie sprawiałem przy tym problemu, bo kiedy wracała, wystarczyło, że mnie zawołała. Natychmiast znajdował się ktoś, kto wiedział, gdzie jestem. Albo kto znał kogoś, kto wie.

Z tego też względu starałem się nie zapuszczać zbyt daleko. Czasem docierałem aż nad Kajkę, lecz po rzuceniu paru kaczek zaraz musiałem wracać. Po za tym kilka razy bawiłem się w ruinach starej cegielni. Do tej pory pamiętam jej nazwę – Hartwig & Weidemann Ziegelwerke. Czarna tablica z białym napisem wisiała na zgliszczach budynku. Dla kilkuletniego chłopca to doskonały punkt wyjścia do stworzenia pięknej historii.

– No, dalej, Eda! – zachęcał mnie Tomek.

Staliśmy u podnóża gruzowiska i bawiliśmy się w zdobywanie zamku lub w coś podobnego. Nie wiem tylko, czy królewna miała na imię Hartwig, czy Weidemann. W każdym razie Krzysiek i Paweł zacisnęli kciuki.

– Jesteś najmniejszy. Tylko ty dasz radę. No, nie bądź taki! Dalej, dalej, dalej...

– Pod naszym ciężarem to wszystko się rozchrzani.

Nie byłem przekonany. Moje zadanie miało polegać na wspięciu się po zwalisku cegieł i zerwaniu szyldu. Wejście do cegielni mogło ulec zniszczeniu w każdej chwili, codziennie waliły się kolejne ściany.

– Ma cykora. – Tomek lekceważąco machnął dłonią.

– Czeka, aż pomoże mu mamusia – dorzucił gruby, przyszczaty Krzysiek. Był najstarszy i cieszył się największym poważaniem reszty. Prychnął lekceważąco.

– Dam radę – odezwałem się wreszcie. – Dam radę.

Przy akompaniamencie gwizdów kolegów rozpocząłem wspinaczkę po pokruszonych ceglach. Szyld mogłem ściągnąć, wspinając się po resztkach schodów lub po pochylonej ścianie. Wybrałem to drugie wyjście. W razie upadku przynajmniej nie przygrzmocilibym o ostre kamienie i nie został pochowany żywcem.

Ostrożnie wspinałem się ku pustemu otworowi okiennemu. Mógłbym oprzeć na nim nogę i chwilę odpocząć.

Hartwig & Weidemann Ziegelwerke.

Do końca życia zapamiętam tę nazwę. Do końca życia, a być może i dłużej.

– No, dawaj! – wrzasnął Paweł.

Odsapnąłem coś niezrozumiale. Postawiłem stopę na skraju okna i nabrałem powietrza. Byłem zbyt mały, by dosięgnąć szyldu. Wyciągnąłem się, jak mogłem, lecz wciąż brakowało mi kilkunastu centymetrów.

Uczepiłem się gzymsu i zrobiłem ostrożny ruch. Przesunąłem się dosłownie o pół kroku.

W tym samym momencie poczułem, że mur delikatnie drży. Chciałem zeskoczyć, ale nie zdążyłem. Kątem oka dostrzegłem przechylający się filar. Cegła wieńcząca mur dobry metr nad szyldem oderwała się i zleciała prosto na moją twarz.

Chciałem się uchylić, ale...

Ostatnie, co pamiętam, to głuche puknięcie. Nie wiem, czy spadłem na ziemię, czy ktoś chwycił mnie w ramiona. Przypuszczam, że gruchnąłem jak kłoda na zwałisko gruzu.

– Żyjesz?

Otworzyłem oczy.

Zamrugąłem.

Tomek i Paweł nachylali się nade mną, chlapiąc mi na twarz wodą zaczerpniętą z Kajki. Myśli mi się plątały, a w głowie czułem dziwny ucisk. Miałem rozbitą tuż nad czołem czaszkę. Pomyślałem, że szczęśliwie włosy zakrywają ranę. Matka nie powinna jej zobaczyć. Wielki guz już pulsował bólem.

Byłem pewny, że matka, gdyby się dowiedziała, co mi się stało, nigdy więcej nie zostawiłaby mnie z tymi chłopcami.

Chwilę później dostrzegłem, że ona również stoi tuż obok mnie. Miała nieobecne spojrzenie i dłonie splecione jak do modlitwy. Nie widziałem na jej twarzy troski.

– Mamo... – wyszeptałem.

– Musimy wracać do domu – zarządziła surowym tonem. Nie wyczułem w nim śladu zmartwienia, a jedynie rozkojarzenie. Była zdekoncentrowana, że coś wydarzyło się inaczej niż każdego cholernego dnia. – Idziemy.

Szarpnęła mnie za dłoń, stawiając do pionu.

– Mamo... – powtórzyłem. - Strasznie boli mnie głowa...

Nie zwróciła na moje słowa najmniejszej uwagi. Ruszyła przed siebie, nie trzymając mnie nawet za rękę. Po kilku minutach wycedziła, że nie ma czasu na włączenie się ze mną po szpitalach.

Nie ma na to, kurwa, czasu.

Rozumiesz?

Chciałem ci o tym opowiedzieć na swoją obronę. Może to miało jakieś znaczenie, i właśnie dlatego stałem się tym, kim się stałem?

Nie wiem.

Łatwo jest szperać w pamięci i wynajdować kolejne usprawiedliwienia. Badający mnie lekarze ocenili, że w moim mózgu nie ma żadnych zmian. Według nich wszystko działało tak, jak powinno.

Chciałem się usprawiedliwić, lecz...

Zdradzę ci w tajemnicy, że ja naprawdę nie czuję się winny. Mówią, że to, co zrobiłem, to najbardziej przerażające zbrodnie popełnione w Polsce, a nawet w Europie. Przesłuchujący mnie kapitan powtarza, że nie ma drugiego takiego jak ja.

To mi schlebia.

Jestem wyjątkowy.

Jestem jedynym Zimnym chirurgiem.

Pewnie gdybym był bliżej i gdyby zmieniły się nieco okoliczności, mógłbym ci tym zaimponować. Prawda?

Ciągle nie powiedziałem ci, co zrobiłem. Zaskoczę cię.

Tyle mogę ci obiecać.

8.

Kilka miesięcy po rozbiciu głowy w ruinach cegielni poszedłem do szkoły. Nie byłem dobrym uczniem, powtarzałem kilka klas, nie miałem zbyt wielu kumpli, a do tego na mojej twarzy pojawiła się obrzydliwa ropna wysypka.

Pewnie wiesz, jak ciężko ma drobny, nieśmiały chłopiec z ropną wysypką na twarzy? Byłem wytykany palcami i wyzywany od brudasów. Nikt nie chciał ze mną siedzieć w ławce ani się ze mną bawić. Nikt ze mną nie rozmawiał. Stanowiłem przedmiot najlepszych drwin i żartów. Źródło możliwej nowej epidemii dżumy, cholery albo rzeżączki. Choć wtedy żadne z dzieci nie miało pojęcia, czym jest rzeżączka. Oczywiście, nikomu nie robiło to najmniejszej różnicy.

Kojarzysz największą ofiarę ze swojej klasy?

Ja byłem największą ofiarą z całej szkoły.

Mimo to rozrabiałem i dokuczałem nauczycielom. Starałem się zwrócić na siebie pozytywną uwagę rówieśników. W ten sposób mój charakter określił jeden z paru psychiatrów, z którymi miałem wówczas do czynienia.

Pozytywna uwaga rówieśników. Jakie to piękne określenie.

„Piszesz i rysujesz jak analfabeta” – orzekła mniej więcej w tym samym czasie jedna z nauczycielek. Klasa podchwyciła to słowo i, oczywiście, na kilka miesięcy oprócz „brudas” zostałem też „analfabetą”.

Możesz nazwać to pechem.

Higienistka kilkakrotnie tylko mnie sprawdzała czystość nóg oraz włosów. Mimo że nie miała mi nic do zarzucenia, moja

sytuacja zmieniała się na jeszcze gorsze.

– Edziu, to prawda? – Zośka któregoś ranka zwróciła się do mnie z fałszywie zmartwioną miną. – To wszystko prawda?

– Ale co ma być prawdą? – dopytałem.

– No, z tym zakładem?

Wokół nas zebrała się już grupka dzieci i czułem się całkowicie osaczony. Widziałem ich drwiące uśmiechy, czułem ich oskarżające spojrzenia. Wbiłem dłonie w kieszenie, a wzrokiem omiotłem podłogę.

– No, odpowiadaj! – Grzesiek trącił mnie w ramię. Było to złamanie wyraźnego nakazu niedotykania mnie, co spowodowało, że natychmiast odsunęło się od niego kilku chłopców.

– Zaraz tobie też zaczniesz ciec ropa z twarzy... – wyszeptał któryś.

– Nie ruszaj go nawet kijem.

– Lepiej niech mówi, czy to prawda!

Ktoś pchnął mnie w plecy tak, że prawie upadłem. Podparłem się o stojącą pod szkolnym oknem ławę i skuliłem.

– Co ma być prawdą? – wyjęczałem.

Zośka stanęła tuż przy mnie. Założyła dłonie na piersi i odgięła się, jakby w ten sposób zaznaczała, że utrzymuje ode mnie właściwy dystans.

– Pani Marciszewska powiedziała rodzicom, że jesteś wariatem i się leczysz.

Te słowa wywołały powszechną wesołość.

– Wariat! – Grzesiek pstryknął mi palcami przed twarzą. – Wariat! Wariat...

Rzeczywiście, w związku z problemami w szkole i skłonnością do zamykania się w sobie matka chodziła ze mną do specjalisty. Rozwiązałem kilka testów i rozmawiałem z nim na tematy, o których nie miałem pojęcia. Chyba chodziło o to, żebym po prostu mówił. Czasem doktor podsuwał mi też kartkę, po czym

dyktował skomplikowane teksty. Z tym wcale nie szło mi tak źle. Zresztą w ogóle nie traktował mnie jak kogoś pozbawionego rozumu. Przynajmniej nigdy nie powiedział tego wprost.

A może...

– Chodzę do...

Chciałem się wytłumaczyć, lecz już te słowa spowodowały wybuch śmiechu.

Grzesiek pokręcił głową i stanął obok Zośki.

– W-A-R-I-A-T! – przeliterował.

– Wa-riat! – zaskandowała reszta.

Wa-riat.

Wa-riat.

Nie mogłem tego wytrzymać. Z wściekłości i wstydu ledwo trzymałem się na nogach. Ścisnąłem plecak, który przesunąłem na brzuch, jakbym mógł się nim obronić przed wyzwiskami. Wsunąłem dłoń do środka. Wyczułem wrzucony między zeszyty przedmiot.

Chciałem się powstrzymać, lecz kolejna salwa śmiechu zagłuszyła moje myśli.

Zacisnąłem w dłoni metalowy cyrkiel. Zamachnąłem się i z całej siły wbiłem go w policzek Grzeška. Poczułem, że ostrze przebija skórę, po czym uderza o zęby. Zobaczyłem wypływającą z rany krew i prerażenie w oczach mojego niedoszłego oprawcy.

Byłem w ekstazie.

To był mój tryumf.

Na chwilę na korytarzu zapadła całkowita cisza. Nikt się nie odezwał. Powoli otarłem cyrkiel rogiem koszuli i z powrotem wrzuciłem go do plecaka.

Kilka sekund później ciszę przerwał rozpaczliwy wrzask Grzeška.

Jakiś nauczyciel biegł w naszą stronę, lecz nic sobie z tego nie robiłem.

Zastanawiałem się jednak, czy naprawdę jestem wariatem.

Czy jestem nim tylko dlatego, że nie radziłem sobie z nauką? Czy dlatego, że chodziłem do specjalisty? W końcu nauczycielka nie mogła kłamać.

– Teraz na pewno jest zarażony – powiedziałem, gdy ktoś chwycił mnie za ramię. Zerknąłem na Grześka. – Już nie ma szans na wyzdrowienie. Umrze. Umrze jak wy wszyscy. Umrze. Na pewno umrze.

9. MOŚCISZKI K. KOŚCIANY 1955 R.

W 1955 roku przez pięć miesięcy przebywałem w Mościskach. Pewnie nic ci ta nazwa nie mówi. Mościszki to niewielka, urokliwa wieś położona w Wielkopolsce niedaleko Kościany. Najważniejsze jednak, że znajdował się tam ośrodek dla dzieci sprawiających problemy wychowawcze. Tam po raz kolejny starano się mnie zdiagnozować. Tam też po raz pierwszy stało się coś innego...

Pamiętam, jak urzeczony wpatrywałem się w sznurki z praniem wywieszonym przed budynkiem. Na jednym z nich wisiała dziewczęca piżamka, której wzór i materiał wydały mi się znajome.

Po intensywnym szperaniu w pamięci nagle doznałem oświecenia.

Piżamka wyglądała dokładnie tak, jak strzęp materiału, który przed paroma laty wyjąłem z trumny na Miłostowie. Od tamtej pory strzęp oraz fragment kości gdzieś przepadły, a matka bywała na cmentarzu nieco rzadziej, lecz od razu przypomniałem sobie ten materiał.

Biały, haftowany, z koronkowym wzorem.

Emocje sprawiły, że cały zadygotałem.

– Edek, co ty?

Czyjaś łapa wylądowała na moim ramieniu. W ośrodku nie byłem objęty kwarantanną. Mimo to starsi chłopcy ze mnie szydzili, a ci w moim wieku raczej mnie unikali. Tylko jękający

się Tomcio czasem za mną łąził, żeby się pobawić. Pewnie dlatego, że sam również stanowił obiekt nigdy niekończących się drwin.

– Co ja? – zapytałem.

– Na co się ga-gapisz?

– Na nic.

Oderwałem wzrok od sznurków z praniem i udałem, że spoglądam w niebo. Było ciepłe, wiosenne popołudnie. Drzewa już w całości okryły się liśćmi i osłaniały pranie od strony okien ośrodka, wzdłuż którego rosły gęstym szpalerem.

– Po-pogapię się z to-tobą.

Wzruszyłem ramionami.

Byłem wściekły, że muszę czekać, lecz zależało mi, żeby nie mieć świadków. Nauczyłem się tego od czasu, gdy staruch wyciągnął mnie z grobowca.

Żadnych świadków.

Nigdy.

Cierpliwość jedynie potęgowała przyjemność pobudzenia.

To przekonanie działało jak instynkt. Kazało mi być opanowanym i nie dać po sobie niczego poznać. Przez kwadrans lub dwa starałem się zbyć Tomcia. Odpowiadałem na jego pytania półsłówkami albo w ogóle milczałem. Lada chwila dzwonek miał oznajmić porę apelu i wiedziałem, że nie mam wiele czasu.

– Widzimy się na kola-lacji.

Tomcio wreszcie wstał i poszedł w swoją stronę.

Odczekałem, aż zniknie za rogiem budynku, po czym zerwałem się na równe nogi. W każdym momencie mogły się pojawić siostry, które zajmowały się praniem. To również mnie pobudzało. Myśl, że mogę zostać przyłapany, działała motywująco.

Rozejrzałem się, by się upewnić, że wokół nie ma nikogo. Już wtedy zacząłem sobie wyrabiać ten nawyk.

Rzuciłem się w stronę prania. Dopadłem do upatrzonej pizamki i zerwałem ją ze sznura. W dotyku była dokładnie taka sama, jak

tamten strzęp materiału.

Dziwny dreszcz spłynął mi wzdłuż kręgosłupa, a następnie rozlał się w podbrzuszu.

Popatrzyłem na inne ubrania. Bluzki, spodenki, męskie majtki... Poza nimi kilka prześcieradeł oraz poszewek. Na przewietrzanej pościeli ponoć lepiej się spało.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, lecz zerwałem ze sznura również małe damskie majteczki. Zwinąłem je i z łatwością upchnąłem do kieszeni. Pizamkę wsunąłem pod koszulkę.

– Co ty tu robisz?!

Podskoczyłem przerażony. Byłem przekonany, że przyłapano mnie na gorącym uczynku.

– Ja...

Bardzo powoli się odwróciłem. Byłem pewny, że wydadzą mnie skradzione ubrania. Spodziewałem się, że zostanę spoliczkowany. Jednak wysoka, tęga siostra jedynie pogroziła mi palcem. Utkwiła we mnie spojrzenie ciemnych oczu i pokręciła głową. Doskonale pamiętam jej cienkie, blade usta.

– Nie wolno się oddalać od ośrodka. Natychmiast wracaj na jego teren.

Z trudem przełknąłem ślinę. Zdaje się, że nic nie powiedziałem. Puściłem się biegiem w stronę zwalistego budynku. Marzyłem o chwili, gdy zapadnie noc i przez nikogo nieobserwowany będę mógł rozłożyć na łóżku swoje zdobycze. Myśl o nich wprawiała mnie w nerwowe podniecenie.

To była moja tajemnica.

To był kolejny dzień, w którym stawałem się prawdziwym sobą. Z perspektywy lat widzę to jak na dłoni i nie potrzebuję do tego żadnych psychologicznych sztuczek.

Wszyscy jesteśmy niewinni. Winne naszych zbrodni są jedynie złe okoliczności.

A te miały się pojawiać jedna po drugiej.

Z PRZESŁUCHANIA EDMUNDA KOLANOWSKIEGO

 Nie mam zbyt miłych wspomnień z dzieciństwa. gdyż co jakiś czas byłem w sanatoriach dla dzieci nerwowo i psychicznie chorych.

10.

Nigdy wcześniej nie miałem tak przyjemnej nocy. Nigdy wcześniej nie czułem się tak podniecony, jak kiedy dotykałem dziewczęcej pizamy i małych majteczek.

Ukryłem je w poszewce poduszki.

Nie spałem nawet chwili, lecz wstałem pełen energii.

11.

POZNAŃ

28 CZERWCA 1956 R.

Matka trzymała mnie mocno za rękę. Tak mocno, że bolały mnie palce i wygięty nadgarstek. Wokół nas gęstniał tłum. Ludzie ocierali się o siebie. Wznosili dłonie i transparenty. Wtedy już potrafiłem czytać.

ŻĄDAMY CHLEBA

PRECZ Z CZERWONĄ BURŻUAZJĄ

O ile to pierwsze hasło było dla mnie zrozumiałe, o tyle drugie stanowiło zlepek niepasujących do siebie słów. Podobnie jak gremialnie wznoszone pieśni o Bogu i Polsce.

Matka również śpiewała.

Nie jestem pewny, ale zdaje się, że wśród tego tłumu był także mój ojciec, choć mogę coś mieszać.

W pewnym momencie matka nachyliła się do mnie i wykrzyczała mi prosto do ucha:

– Będiesz ten dzień pamiętał do końca życia!

– Wiem – odparłem, choć wcale nie wiedziałem.

Było wczesne przedpołudnie. Nie rozumiałem, co tam robimy. Od wrzasków bolała mnie głowa. Było mi duszno i słabo.

Kątem oka dostrzegłem, że jeden z mężczyzn pyta o coś gestem moją matkę. Ta uśmiechnęła się i przyzwalająco skinęła głową.

Po chwili wylądowałem na barana na ramionach spoconego robotnika.

– Skurwysyny!

Przeciągły gwizd poniósł się po całym placu Stalina[1]. Ludzie coraz głośniej skandowali hasła, które się przenikały i w efekcie stawały się kompletnie niezrozumiałym wrzaskiem.

– Mają radiowóz. Mają radiowóz!

Wyciągnąłem głowę i rozejrzałem się ponad masą ludzi. Przynajmniej nie było mi tak duszno. Kilkadziesiąt metrów od nas tłum gęstniał. Nagle zobaczyłem ludzi stojących na masce milicyjnego wozu. Kilku kolejnych wlokło rozbrojonych funkcjonariuszy. Rozległy się jeszcze głośniejsze gwizdy oraz wyzwiska. Przy Zamku Cesarskim[2] pojawili się żołnierze.

Małego chłopca niewiele interesuje chleb, o ile dostaje chociaż kromkę dziennie. Niewiele interesują go również czerwona burżuazja, wolność, a nawet Bóg i ojczyzna. Niezmiennie robią jednak na nim wrażenie broń oraz mundury. Jak oniemiały patrzyłem na formujących szyk żołnierzy.

Nagle mężczyzna, który trzymał mnie na barana, gwałtownie się odwrócił. O mało nie spadłem prosto pod nogi maszerującej masy ludzkiej.

– Trzymaj się, mały!

– Gdzie mama?

– Czego chcesz?

– Gdzie mama?!

Moje słowa ginęły wśród okrzyków i gwizdów. Rozglądałem się, lecz nigdzie nie widziałem matki. Starąłem się zeskoczyć, ale mężczyzna mocno mnie trzymał.

Nie mogłem nic zrobić. Przez kilka minut ścisnąłem go za szyję, bo bałem się spaść. Szliśmy razem ze wszystkimi w stronę Kochanowskiego. Towarzyszyły nam wycie syren, gwizdy i coraz to nowe skandowane hasła.

Byłem otępiąły. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Wyobraź sobie dziewięciolatka, który trafia w sam środek takiego szaleństwa.

W końcu zatrzymaliśmy się kilkadziesiąt metrów od ponurego gmachu Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Ludzie tak zawsze o nim mówili: „ponury”. Do tamtej pory nie widziałem w nim nic ponurego. Aż nagle kilka płonących zawiniątek rozbiło się o jego ściany. Tłum oszalał.

Zacząłem histerycznie płakać, ale mężczyzna nie zwracał na to żadnej uwagi. Kopałem go i szarpałem za włosy.

Kilka szyb się rozbiło, lecz wrzawa zagłuszyła wszystkie inne odgłosy. Pojedyncze płomienie smagały fasadę budynku.

Nagle huknął strzał. Słyszałem go bardzo wyraźnie. Odgłos zaświdrował mi w uszach i nieprzyjemnym dreszczem spłynął wzdłuż kręgosłupa.

– Strzelają do bezbronnych!

Spojrzałem na trzydziestokilkuletnią kobietę w pasiastym fartuchu. Stała tuż obok nas i wymachiwała transparentem, który widziałem od tyłu. Miała zaszklone ze wzruszenia oczy.

Zaintonowano kolejną pieśń. Tym razem wszyscy zaczęli ją śpiewać, a gwizdy ucichły. Jednocześnie tłum coraz bardziej napierał na ponury gmach. Znajdowałem się kilkadziesiąt kroków od niego.

Pieśń ucichła i ktoś rzucił płonący zwitek do środka budynku. W tym samym momencie znów padł strzał.

– Kurwa!

Mężczyzna, który trzymał mnie na barana, odskoczył. Straciłem równowagę i runąłem między ludzi. W ostatniej chwili ktoś mnie chwycił, więc nie rąbnałem o ziemię. Ktoś inny, biegnąc, uderzył mnie w twarz.

Byłem przerażony.

Chciałem zniknąć.

Tłum wokół mnie się rozproszył, a ja zamknąłem oczy i przycisnąłem dłonie do uszu. Nie wiem, jak długo to trwało. Sekundy? Minuty?

Wreszcie straciłem siły. Zdałem sobie sprawę, że zapomniałem oddychać. Zaczerpnąłem powietrza, po czym ostrożnie rozwarłem powieki.

Kilka kroków od siebie zobaczyłem kobietę w pasiastym fartuchu. Leżała na ziemi, a w dłoni wciąż ścisnęła transparent. Coś było jednak nie tak.

Nie tak, jak...

Dopiero po chwili dostrzegłem, że z oka kobiety zionie czarna pustka. Oczodół delikatnie skropiła krew. Natomiast z tyłu jej głowy zebrała się wielka czerwona kałuża. Z krwią mieszały się strzępy mózgu oraz kawałki kości. W nozdrza szczypał mnie swąd dymu zmieszany ze słodkawą wonią śmierci.

Zapamiętałem ten zapach na zawsze.

– Mamo – szepnąłem, choć wiedziałem, że nie ma jej nigdzie w pobliżu. – Mamo, proszę, zabierz mnie stąd. Proszę...

[1] Dziś: plac Adama Mickiewicza – przyp. autora.

[2] Ówczesna siedziba Prezydium Miejskiej Rady Narodowej – przyp. autora.

12.

KROŚNICE

1960 R.

W wieku trzynastu lat trafiłem do sanatorium dla dzieci w Krośnicach.

Sanatorium – pamiętam, że tej nazwy użyli moja matka oraz lekarz, który mnie tam skierował. Tabliczka nad wejściem była jednak nieco bardziej rozbudowana i nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Wojewódzkie Sanatorium Neuropsychiatrii Dziecięcej.

Byłem psycholem.

Teraz nie miałem już co do tego żadnych wątpliwości. Przynajmniej skończyły się niedomówienia i insynuacje. Napisano to czarno na białym. Nie myśl jednak, że było mi z tego powodu przykro. Wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy zrozumiałem, że jestem wyjątkowy. Że jestem inny niż ci przeciętni wszyscy. Dlatego też miło wspominać tamten czas.

Sanatorium znajdowało się w poniemieckim budynku z łamanym dachem krytym czerwoną dachówką. Cały obiekt był naprawdę ogromny. Budynek miał kilka skrzydeł, na terenie ośrodka znajdowało się też parę pawilonów. Zdaje się, że moja sala mieściła się w pawilonie ósmym. Takie szczegóły z czasem ulatują z pamięci.

Doskonale pamiętam jednak dwa rzędy stojących przy ścianach metalowych łóżek. Przez dzielone na sześć szyb okna wpadało sporo światła. Mieliśmy widok na park oraz niewielki ogród. Uprawiano w nim warzywa i kwiaty.

To było naprawdę przyjemne miejsce, w którym nikt mnie nie przezywał. W tamtym czasie już niemalże pozbyłem się ropnych krost i sprawiałem mniej odrażające wrażenie. Byłem też starszy.

Najważniejsze jednak, że w sanatorium mieliśmy sporo swobody. Musieliśmy być na miejscu podczas obchodu, w trakcie posiłków oraz zajęć obowiązkowych, a poza tym mogliśmy robić niemalże wszystko, co chcieliśmy.

Pomyśl o bandzie nastolatków, którzy trafili na kolonie.

Już na wstępie od stałych bywalców dowiedziałem się o niemieckim cmentarzu, który znajdował się parę kilometrów od sanatorium. Szybko okazało się, że stanowi on miejsce regularnych wypadów kuracjuszy. Nie musiałem długo czekać, żeby samemu tam trafić.

– Za kwadrans idziemy – zarządził szeptem Świergol. Do tej pory nie wiem, czy było to jego nazwisko, czy ksywka. O rok starszy ode mnie, miał szerokie ramiona i płaski nos. Mierzył wtedy jakieś półtora metra, więc przypominał miniaturową wersję boksera. Miał w sobie coś, co kojarzyło się z Franciszkiem Szymurą. Mimo to nazywano go Świergolem.

– Gdzie? – dopytałem, zrywając się z łóżka.

– Pod Wielkim Bartkiem.

Skinąłem głową i zacząłem ścielić łóżko. Mogliśmy robić, co chcemy, ale pilnowano, by nasze łóżka były zawsze zaścielone, jakby to robiło jakąkolwiek różnicę.

Paręnaście minut później spotkaliśmy się pod Wielkim Bartkiem. Był to pojedynczy, pochylony dąb, którego kilka konarów podpierały specjalne konstrukcje. Miał osmalony czubek i podczas każdej burzy liczyliśmy na to, że piorun znów w niego uderzy. To się nigdy nie stało. Ważne były jednak wyobrażenia oraz emocje.

Było nas czterech. Do mnie i Świergola dołączyli Janek – najmłodszy i chorobliwie otyły chłopiec – oraz Zbyszek – którego

twarży niemal zupełnie nie pamiętam. Zdaje się, że miał blond włosy, ale nawet tego nie jestem pewny.

Po półgodzinnej wędrówce zacząłem się denerwować. Świergol od czasu do czasu łypał na mnie podejrzliwie i powoli w całej wyprawie wietrzyłem jakiś podstęp. Szliśmy lasem, a wokół nie było żadnego cmentarza. Poza nami nie było też żywej duszy.

– Ponoć na tej ścieżce straszy – odezwał się Janek. Był zasapany i zlany potem. – Wieczorem pokazuje się tu widmo żołnierza bez głowy, które potem łązi przez całą noc.

– Fryc?

– Nie wiem. Ale nie ma współczesnego munduru, tylko taki dawny, i przy boku trzyma szablę.

– Bez głowy ma z niej raczej niewielki pożytek.

Zbyszek się zaśmiał. Utkwił mi w pamięci jego charakterystyczny gardłowy śmiech, jakby w przelęku gotowała mu się woda.

– Podobno z jego szyi dalej cieknie krew – ciągnął Janek. – Jej krople można znaleźć na drodze.

– Świetna bajeczka – skwitował Świergol. – Słyszałem już o bezgłowym żołnierzu, diable i wariacie porywającym dzieci. Wariat ma je zaciągać w głąb lasu, a potem mordować.

– Wariat porywający wariatów? – zażartowałem.

Przez moment panowała cisza przerywana szelestem naszych kroków. Po chwili jednak wszyscy wybuchli śmiechem. Schlebiło mi to. Rozluźniłem się i poczułem się rażniej w tym gronie. Jednoczyła nas wspólna tajemnica. Jednoczyły nas drwiny, których doznawaliśmy na co dzień, i poczucie bycia wyjątkowymi. To naprawdę zbliża dzieciaki.

Niedługo później drzewa się przeredziły i Świergol skreślił w głąb lasu. Bez słowa poszliśmy za nim. Po kilkudziesięciu metrach weszliśmy na polanę, na której znajdowało się

kilkadziesiąt metalowych krzyży i rozpadających się, omszałych grobów.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił Janek z dumą. Zgiął się wpół i ciężko nabrał powietrza. Marsz całkowicie wypompował z niego energię.

– Ooo... – Zbyszek przeciągle gwizdnął.

Miejsce naprawdę było niezwykle. Niemal cały cmentarz tonął w rzucanym przez drzewa cieniu. Znajdowaliśmy się na nim tylko my czterej. Wydawało się, że powietrze wręcz przesiąknięte jest tajemniczą atmosferą.

Przeszedłem wzdłuż grobów i zafascynowany starałem się odczytać napisy na tabliczkach, które w większości kompletnie zardzewiały. Wyobrażałem sobie żołnierza bez głowy, spacerującego między tymi nagrobkami. Byłem dość duży, by nie wierzyć w podobne historie, lecz miałem bujną wyobraźnię.

Mijałem kolejne pokruszone nagrobki, pochylone krzyże i popękane murki. Mijałem dawnych szlachciców, zabijaków i piękne damy. Wszyscy znajdowali się na wyciągnięcie ręki. Milczeli.

Mrużyłem oczy, by rozróżnić poszczególne litery. Na wielkiej, omszałej płycie wyrzeźbiono odwróconą bokiem czaszkę oraz skrzyżowane piszczele. Przebiegł mnie dreszcz.

Nagle coś poruszyło się u moich stóp. Gwałtownie nabrałem powietrza i odskoczyłem. Niemal wyrząłem o płytę grobowca.

Mała wiewiórka w paru susach pokonała cmentarz i wspięła się na pobliskie drzewo.

– Jezu... – odsapnąłem.

Świergoł zaśmiał się głośno. Chyba nigdy wcześniej nie słyszałem na cmentarzu śmiechu.

Nie chciałem po raz kolejny stać się obiektem żartów. Właściwie odkąd tylko znaleźliśmy się w tym miejscu, wpadłem na pewien pomysł.

Wsadziłem dłonie do kieszeni i skinąłem w stronę jednego z rozbitych nagrobków. Miał uszkodzoną płytę, a jego wnętrze zionęło ciemnością. Obok, w trawie, leżał złamany krzyż.

– Wchodzimy do środka? – zapytałem dziarsko. – Jest w sam raz miejsca, aby się precisnąć.

Żaden z chłopców nie podzielał mojego entuzjazmu, mimo to wszyscy udawali, że pomysł przypadł im do gustu. Stłoczyli się przy mnie i zaczęli uzgadniać, kto powinien wejść pierwszy.

To była moja szansa.

Wiedziałem, że nie ma się czego bać.

Kucnąłem i bez problemu zsunąłem się do grobowca. Za sobą usłyszałem pełne podziwu głosy chłopaków.

– Chodźcie, jest tu dość miejsca. Zmieścimy się wszyscy – stwierdziłem, wdychając dobrze znany mi zapach.

Czułem się tam bezpieczny.

13.

Przez całą drogę powrotną z cmentarza Świergol milczał. Wszedł do grobowca za mną, lecz wyraźnie miał mi za złe, że ja byłem w nim pierwszy. Tchórzliwy gnojek.

Oczywiście, miałem już wprawę w penetrowaniu starych grobów. Ku mojemu rozczarowaniu w środku nie znaleźliśmy jednak trumny. To znaczy: zostało z niej trochę przegniłych desek, leżących w błocie. Wnętrze grobowca przypominało bagno, w którym co najwyżej można było natrafić na ścierwo jakichś leśnych stworzeń.

Żałowałem, że nie mogłem pokazać, jak łatwo rozbić wieko. Kusiło mnie, by zdobyć kolejną kość lub strzęp ubrania. Na nic takiego jednak nie trafiliśmy. To również mnie zasmuciło. Tyle wspomnień, a takie rozczarowanie!

Gdy dochodziliśmy do sanatorium, Świergol zbliżył się do mnie i położył mi dłoń na ramieniu. Zwolniłem kroku, a on nachylił się w moją stronę.

– Umiesz dotrzymać słowa? – zapytał cicho.

– Mhm.

– Powiedz to na głos.

– Umiem – zapewniłem.

Wtedy głęboko wciągnął powietrze swoim szerokim, płaskim nosem. Rozejrzał się, upewniając się, że Janek i Zbyszek są zbyt pochłonięci wymianą wrażeń, by nas usłyszeć.

– Coś ci pokażę – wyszeptał. – To tajemnica tylko dla starszych chłopców, ale tobie pokażę. Daj mi słowo, że nie powiesz o tym nikomu innemu.

Mruknąłem na znak zgody, lecz zaraz dodałem też na głos:

– Słowo.

– W takim razie widzimy się jutro o dziesiątej przed wejściem.

– Świetnie. Do zobaczenia.

Starałem się nie pokazać, jak bardzo mnie zaciekał. Nie miałem też możliwości pociągnąć go za język przed spotkaniem, bo przebywał w całkowicie innym skrzydle. Zobaczyliśmy się jeszcze na obiedzie, lecz nie było okazji, aby rozmawiać o sekretach. Nastolatki potrafią być naprawdę dyskretni. Wymieniliśmy tylko porozumiewawcze spojrzenia.

Niemal przez całą noc nie zmrużyłem oka. Jakbym podświadomie wyczuwał, że zdarzy się coś, co wpłynie na całe moje życie. Zastanawiałem się, co może chcieć mi pokazać Świergol. Wszystkie domysły wydawały mi się głupie i zaraz odsuwałem je na bok.

Z perspektywy lat wiem, że tego, co się stało, nie mogłem przewidzieć. O pewnych rzeczach nastoletni chłopcy po prostu nie myślą lub nie mają o nich pojęcia. Jedną z nich jest śmierć.

Pomyślisz, że buszując po grobowcach, musiałem sporo myśleć o śmierci, ale to nieprawda. Była ona dla mnie tak abstrakcyjna jak sekrety kuchni francuskiej dla wiejskiego rzeźnika. Chyba rozumiesz to porównanie?

Jednak śmierć miała się wkrótce o mnie otrzeć. Jeszcze bez swojej podomki, ale już pełna emocji.

Bólu? Rozpaczy i cierpienia?

Ani trochę. Słuchaj uważnie.

Kolejnego dnia punktualnie o dziesiątej pojawiłem się kilkanaście metrów przed głównym wejściem. Z dwadzieścia razy przeczytałem napisy na wszystkich tabliczkach, a na koniec policzyłem okna w lewym skrzydle budynku.

Dwadzieścia osiem. Dwadzieścia dziewięć, licząc małe okienko na poddaszu.

Świergol pojawił się z kilkunastominutowym opóźnieniem.

– Doktorek zrobił mi jakiś kretyński test – wytłumaczył się i lekceważąco machnął ręką. Wszyscy mieliśmy dość tych testów. Czasem musieliśmy rysować skojarzenia, jakie nasuwa nam puszczana na gramofonie muzyka, a czasem – interpretować zbiór rysunków, które, jak dla mnie, nie przedstawiały kompletnie niczego. Czarna plama na białym tle na zawsze pozostanie jedynie plamą. Ta odpowiedź złościła doktora. Nigdy jednak nie udzieliłem innej. To była dobra zabawa.

– Gdzie idziemy? – zapytałem.

– Zobaczysz. Chodź. Nie mamy czasu.

Posłusznie ruszyłem za Świergolem. Obeszliśmy budynek sanatorium i skierowaliśmy się w stronę zabudowań mieszkalnych. Szliśmy główną drogą, którą co chwilę przejeżdżały furmanki. Rozklekotany autobus obsypał nas pyłem.

– Powiesz mi w końcu, dokąd idziemy? – dopytywałem.

Świergol jedynie wskazał na kępę drzew. Zboczyliśmy z asfaltówki i skróciliśmy sobie drogę przez nieużytki. Nie zważałem na kurz oklejający buty oraz nogawki.

Świergol minął rozłożystą topolę i podszedł do kolejnej.

– Widzisz? – Wskazał przed siebie.

O jedną z gałęzi opierała się taka sama podpórka, jakie były przy Wielkim Bartku. Pewnie dzieciaki ją zabrały, aby łatwiej było im wchodzić na to konkretne drzewo.

– Mam tam wleźć? – zapytałem skołowany. – Bez jaj...

– Brawo za domyślność, geniuszu.

– To ta niespodzianka? Naprawdę ciągnąłeś mnie tutaj, żebym wlaź na drzewo? Takie rzeczy sprawiały mi frajdę parę lat temu, ale wierz mi, że od tamtej pory nieco urosłem.

Świergol uśmiechnął się i klepnął mnie w ramię.

– Zaufaj mi – nakazał, po czym sam wdrapał się na gałąź. Zrobił to tak szybko, że nie miałem wątpliwości, że wspinał się na nią

wiele razy.

Ociągając się, ruszyłem za nim.

A chwilę później...

Pozwól, że coś ci wyjaśnię. Musimy zrobić tu chwilę przerwy, bo śledczy kilkakrotnie wracali do tego wątku. Z perspektywy lat myślę, że rzeczywiście jest szalenie istotny. Choć „szalenie” nie jest chyba w tym przypadku najtrafniejszym słowem.

Docień moje poczucie humoru.

To jedno ze wspomnień, które tkwią we mnie z pełną intensywnością. Widzę każdy ich szczegół. Odtwarzają się w moim umyśle niemalże jak film, który mogę w dowolnym momencie zatrzymać i puszczać od nowa.

Po latach pamiętałem tak drobne detale tej chwili, że śledczy patrzyli na mnie z powątpiewaniem. Ich miny zmieniły się, gdy zweryfikowali to, co byli w stanie.

Są obrazy, których nigdy się nie pozbędziesz. Nie sądzę, żebym był w tym wyjątkowy. Po prostu chłonałem ten moment całym sobą. Chciałbym, aby ten stał się niezapomniany również dla ciebie.

– Patrz! – Świergol wskazał w stronę okien budynku.

– Na co?

Nie wiedziałem, co miał na myśli. Podłużny, szary klocek nie wydawał się atrakcyjny. Odbijamy się w oknie, które znajduje się o dwa czy trzy metry od nas. Muszę zmrużyć oczy.

Za szybą nie ma firanki. Powoli rozróżniam przedmioty w środku i spoglądam na nie z coraz większą uwagą.

– To...

– Tak. – Świergol dumnie kiwa głową.

– Boże.

Nagle wszystko staje się jasne.

14.

Ponoć w wielu przypadkach pojedyncze chwile wpłynęły na całe. Któryś z psychiatrów mówił mi nawet, że wszystkich nas kształtują pojedyncze chwile.

Pewnie miał rację.

Sądzę, że pamiętasz swój pierwszy pocałunek lub pierwszego chłopaka. Być może wspominasz wypity po raz pierwszy alkohol lub pierwszy pobyt w szpitalu. Nie potrafisz ani nie chcesz wyrzucić z umysłu pogrzebów bliskich.

Podjęłaś decyzję o wyborze pracy bądź studiów. Zdecydowałaś się mieć dzieci i starałaś się o nie. Jeśli są owocem przypadkowej miłości, to też dobrze. W końcu naszym życiem kierują te pojedyncze chwile.

Teraz rozumiesz, co mam na myśli? Nie ma w tym metafizyki ani magii. Jest tylko czysty przypadek.

Przypadek sprawił, że padło akurat na mnie. Mogłaś być akurat na moim miejscu. Naprawdę. Gdybyś urodziła się nieco wcześniej lub gdyby twój ojciec nie poznał twojej matki. Kilka zmiennych sprawiłoby, że byłabyś na moim miejscu.

Lub naprzeciwno mnie.

To również możliwe.

15.

Muszę przyzwyczaić oczy, by w oknie nie dostrzegać swojego odbicia. W bardziej pochmurny dzień nie byłoby z tym problemu, lecz teraz słońce pada niemal wprost na szybę.

W niewielkim pomieszczeniu na szczęście pali się światło. Znajduje się w nim kilka metalowych szafek, rozmaitych sprzętów oraz wielki zlew. Przede wszystkim jednak na samym środku ustawiony jest szeroki, lśniący stół.

Tak, mogłaś się tego domyślić.

To stół sekcyjny, na którym leży naga kobieta.

Nagle wszystko przestaje mieć znaczenie. Jak oszalały chłonę kolejne szczegóły jej ciała. Wypukłość obfitych piersi, zagłębienie pępka, owłosione łono i tłuste uda. Nie interesuje mnie jej twarz. Nie wiem, ile ma lat ani jaki ma kolor włosów.

Jest na wyciągnięcie ręki.

Nigdy wcześniej nie widziałem nagiej kobiety i nagle doznaję podniecenia. Moje ciało drży.

Dotykam tych piersi. Dotykam jej między nogami...

Wyobrażam to sobie, gładząc chropawą korę topoli, lecz mam wrażenie, jakbym naprawdę to robił. Czuję gwałtowny ucisk w podbrzuszu. Świat dokoła mnie przestaje się liczyć, a głos Świergola dobiega jako echo. Szumi mi w uszach.

Wyprostowuję się, chcąc spojrzeć na ciało z innej perspektywy. Zastanawiam się, jak ta kobieta wygląda z boku. Chciałbym to zobaczyć bardzo dokładnie.

Nagle drzwi do pomieszczenia się otwierają. Przestraszony przykucam i omal nie spadam z gałęzi. Dwóch mężczyzn

w białych kitlach zbliża się do ciała.

Do ciała, które powinno należeć do mnie.

Przez chwilę jeden z mężczyzn zerka w stronę okna. Kulę się i odwracam do Świergola.

– Spokojnie – upewnia mnie. – Nigdy nie robią problemów. Wiedzą, że ich podglądamy, ale mają to w dupie.

Jego słowa sprawiają mi ulgę. Nie wiem, czego mam się spodziewać. Wciąż podniecony, ponownie staję na gałęzi. Jest dość gruba, by utrzymać nas obu.

Mężczyźni pochylają się nad ciałem i przez chwilę rozmawiają. Żałuję, że nie mogę słyszeć ich słów. Czuję zazdrość, że mogą być tak blisko tej kobiety. Mogą jej dotknąć, kiedy chcą i gdzie chcą.

Nagle jeden z nich sięga po skalpel. Obraca nim w dłoni, a potem nacina skórę twarzy zmarłej. Nie widzę krwi. Równo prowadzone cięcie wiedzie ku czołu, a następnie gdzieś ku jej karkowi. Z tej perspektywy tego nie widzę.

Tracę poczucie upływu czasu, jakbym był zahipnotyzowany. Otwieram usta, gdy lekarz jednym szarpnięciem wywija całą skórę twarzoczaszki kobiety. Widzę płataninę ścięgien i mięśni. Czuję się, jakby właśnie odsłoniła przede mną swój największy sekret. Jakby została wywrócona na drugą stronę.

Podniecenie narasta we mnie z każdą chwilą tak, że zaczynają mi się plątać myśli. Niemalże zapominam o tym, aby oddychać.

Ledwie rejestruję usunięcie górnej części czaszki i wyjęcie mózgu. Mimo że trwa to kilkanaście minut, wydaje mi się, jakbym w tym czasie zdążył jedynie kilkukrotnie zacisnąć palce.

Lekarz prowadzi skalpel po piersi kobiety, a mnie kręci się w głowie. Widzę, jak ostrze omija prawy sutek. Po chwili takim samym kolistym ruchem omija jej drugą pierś. Cięcie w kształcie litery Y biegnie w dół, ku kudłatej wypukłości jej łona.

Doktor jednym ruchem wywija wielki płat skóry na brodę kobiety. Mimo że to niemożliwe, zdaje mi się, że wyraźnie słyszę

plaśnięcie odpreparowywanej skóry. Sprawia mi to prawdziwą radość. Kobieta odkrywa przede mną swoje sekrety. Nigdy nikogo nie poznałem tak dobrze. Nikt nie był mi tak bliski.

Przez chwilę mężczyźni pochylają się nad wnętrznościami i wymieniają jakieś uwagi. Świergol mówi coś do mnie, lecz nie jestem w stanie zrozumieć jego słów. Całą uwagę skupiam na wielkich nożycach, które chwyta niższy z mężczyzn. Patrzę, jak rozcina nimi żebro po żebrze zmarłej. Zupełnie jakby była kartką papieru na zajęciach z techniki.

Ponownie przenoszę wzrok na jej krocze.

Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że Świergol wsadził dłoń do moich spodni. Porusza nią, sprawiając, że moje podniecenie wciąż rośnie.

Naga kobieta na stole drży, jakby ponownie wstąpiło w nią życie. Cały świat drży.

Nagle po moim ciele rozlewa się fala rozkoszy, ulgi i ekscytacji.

Przerazony zeskakuję na ziemię, o mało nie skręcając sobie kostek.

Uciekam.

Biegnę przed siebie, obawiając się, że już nigdy, nigdy więcej nie uda mi się powtórzyć tej przyjemności. Nie chcę jej.

Brzydzę się nią i pragnę zaznać jej ponownie.

Jak najprędzej.

Dziś.

Teraz.

Z tobą.

16.

Przez cały pobyt w Krośnicach niemal codziennie zachodziłem na tyły prosektorium. Zazwyczaj nic się nie działo. W tak małym ośrodku zgony zdarzały się rzadko, lecz regularne sprawdzanie dawało w końcu efekty. Tym bardziej, że budynek robił jednocześnie za chłodnię oraz przechowalnię zwłok przywożonych z kilku szpitali.

Każda sekcja sprawiała mi przyjemność większą od poprzedniej. Lub tylko tak to sobie tłumaczyłem.

Z czasem nauczyłem się zadowalać sam siebie. Nie był mi już potrzebny Świergol ani nikt inny. Zdarzało się, że całą grupą, pięciu lub sześciu, zmienialiśmy się, by robić sobie dobrze, patrząc na zwłoki kobiet. Nie miało znaczenia, ile zmarłe miały lat. Nie liczyły się kolor ich włosów, budowa ani jędrność ciała. Wszystkie były tak samo piękne, o ile potrafiliśmy się przy nich rozładować.

Solidarnie nigdy nie podglądaliśmy zwłok mężczyzn. Te nie kręciły żadnego z nas lub żaden z nas nie odważył się do tego przyznać.

Podobnie jak we wcześniejszych zakładach, w Krośnicach wykradałem damską bieliznę. Znajdowałem ją w suszarniach czy pralniach lub włamywałem się do sal dziewcząt w trakcie posiłków bądź apeli. Największą rozkosz sprawiały mi używane, nieprane majtki. Dotykałem ich palcami. Wąchałem je i kosztowałem ich. Kolekcjonowałem również staniki oraz rajstopy.

Po kilku dniach wyrzucałem je albo chowałem poza salą. I rozpoczynałem polowanie na następne.

Polowanie – właśnie tak o tym myślałem. Byłem myśliwym, który dąży do zaspokojenia swoich żądz. Nikt nie mógł mnie powstrzymać.

Byłem też dumny, że miałem swój wielki sekret. Podniety przy prosektorium dzieliłem z paroma innymi chłopcami, ale zbiory dziewczęcej bielizny stanowiły moją własną przyjemność. Tylko ja potrafiłem się przy nich zadowalać. Nikomu innemu nie był znany ten rodzaj szczęścia. (Albo tak mi się zdawało).

Skrzętnie ukrywałem tę pasję również przed lekarzami. Podczas każdego testu bałem się, że jakimś sposobem odgadną prawdę, lecz tak się oczywiście nigdy nie stało. Ich diagnozy były nic niewarte.

Od tamtego czasu niewiele się zmieniło.

Gdy nadęte konsylium orzeka, że jestem poczytalny, a z drugiej strony stwierdza, że nie byłem w stanie powstrzymać swojej żądz – czy to ma sens? Tak wiele razy mogli mnie rozgryźć lub przyłapać. Tak wiele razy mogliby spróbować mnie powstrzymać. Stłamsiliby w załączku to, co teraz nazywają złem.

Zło.

Zimny chirurg.

Oto, kim jestem.

PROTOKÓŁ BADANIA PSYCHIATRYCZNEGO

1. Podejrzany Edmund Kolanowski nie jest chory psychicznie, upośledzony umysłowo ani też dotknięty procesem organicznym w obrębie centralnego układu nerwowego.

2. Stwierdzamy u niego istnienie zaburzeń w zakresie osobowości pod postacią psychopatii z wtórną socjopatyzacją, wyrażającą się w zboczeniu seksualnym – fetyszyzmie i nekrofilii.

3. Powyższe zaburzenia w odniesieniu do czynów związanych z profanacjami zwłok ograniczały jego zdolność do rozpoznania znaczenia czynów i pokierowania swym zachowaniem, ale nie w stopniu znacznym.

17.

POZNAŃ

1961 R.

– Masz wrócić na obiad.

– Dobrze, mamó.

– Już ja znam to twoje „dobrze, mamó”. Jeżeli się spóźnisz pięć minut, nic nie zjesz.

– Mhm.

– Bo...

– Bo zawołasz ojca?

Nie wiem, po co to powiedziałem. Doskonale zdawałem sobie sprawę, jaką krzywdę ojciec wyrządził matce swoim piciem, awanturami i romansami. W domu bywał rzadko, a kiedy już się łaskawie zjawiał, padał na łóżko i natychmiast zasypiał. O ile w ogóle dowlókł się do łóżka. Równie często zdarzało mu się paść na środku korytarza lub jeszcze przed drzwiami wejściowymi. Sąsiedzi kilkakrotnie znajdowali go śpiącego na którejś z ławek przed domem albo w krzakach.

– Nie zawołasz – dodałem jeszcze.

Na swoje usprawiedliwienie muszę podkreślić, że miałem wtedy piętnaście lat i całą głowę problemów. Jak zwykle schowałem do kieszeni niewielki nóż i wyszedłem na dwór.

Matka nie zamierzała mieć ostatniego słowa. Pewnie nawet nie podniosła się z fotela, w którym przesiadywała większość czasu. Moje słowa nie mogły jej urazić bardziej niż kilkuminutowe spóźnienie na obiad. To, co gadałem, było jej obojętne.

Zapukałem do drzwi na parterze. Po chwili otworzył mi szczupły brunet z nasuniętymi głęboko na nos okrągłymi okularami. Widziałem go tak wiele razy, że jego rysy utkwiły mi w pamięci. Uśmiechnął się do mnie ironicznie.

– Teresa! – krzyknął, nie przestając mnie lustrować rozbawionym spojrzeniem. – Edek do ciebie przyszedł.

– Zaraz!

Mężczyzna przymknął drzwi i zniknął w głębi mieszkania. Po chwili w progu pojawiła się ładna blondynka z włosami sięgającymi prawie do pasa.

Tereska.

Moja pierwsza miłość.

Spoglądałem na nią i jednocześnie wyobrażałem sobie nagie ciała kobiet na stole sekcyjnym. Pod tymi rozciągniętymi swetrami i kraciastymi spódniczkami musiała wyglądać tak samo jak one. Myślałem o jej piersiach. Wyobrażałem sobie wgłębienie jej pępka oraz łono. Omiatałem wzrokiem jej uda.

Gdybyś teraz się przy mnie pojawiła, zrobiłbym dokładnie to samo. Wyobrażałbym sobie, jak leżysz na stole sekcyjnym. Analizowałbym, którądy mógłbym poprowadzić cięcie, by wykroić z ciebie jak najlepszy fragment. Odcinałbym twoje piersi i krocze. Pieściłbym je.

Właśnie o tym mógł myśleć facet, który gapił się dzisiaj na ciebie w autobusie. Albo twój kumpel z pracy lub ze szkolnej ławki. A ty rumieniłaś się, myśląc, że to spojrzenia pełne uroku.

On rozbierał cię wzrokiem.

Tyle że robił to niczym rzeźnik rozbierający tuszę wołową.

Docień czasem mój żart.

– Co się tak gapisz? Chcesz wejść czy gdzieś iść?

Tereska oparła głowę o skraj drzwi. Traktowała mnie chyba jak niegroźnego imbecyla. Wiesz, takiego kumpla, z którym można pogadać i się przejść, aby zabić nudę.

– Ja... Ja... – zaciąłem się, co zdarzało się często, gdy przychodziło mi rozmawiać z dziewczętami.

– No? Co ty?

– Tak tylko wpadłem zapytać, co słyhać.

Tereska roześmiała się niewinnie.

– Naprawdę tylko po to?

– Chyba...

– Co chyba?

– Chyba że... – Ciężko sapnąłem i spuściłem wzrok. Już odświeżyłem w wyobraźni obraz jej nagiego ciała. To mi musiało wystarczyć. – Do zobaczenia później! – krzyknąłem, kierując się do wyjścia.

Wypadłem na dwór i głęboko zaczerpnąłem zimnego powietrza. Było niedzielne, wiosenne przedpołudnie. Po krótkotrwałym ociepleniu znów powróciły nocne przymrozki. O tej porze ziemia nie zdążyła się jeszcze nagrzać i czułem przenikliwie zimno.

Otuliłem się kurtką. Ze spuszczoną głową powlekłem się na skraj parku, w którym nie plątało się zbyt wielu ludzi. Przykucnąłem przy jednej z ławek i sięgnąłem do kieszeni. Wyciągnąłem całą garść okruchów chleba. Rozrzuciłem je na chodniku.

Po kilku sekundach, gruchając, pojawiło się wokół mnie całe stado gołębi. Przechylały główki i dziobały chlebowe skórki. Spacerowały, kołysząc się na boki.

Odczekałem kilka minut i ponownie rozejrzałem się wokół. W pobliżu nie było nikogo. Rodzice z dzieckiem w wózku stali na sąsiedniej ścieżce. Byli zbyt zajęci berbeciem, żeby zwrócić uwagę na cokolwiek innego.

Już ci mówiłem, że miałem głęboko zaszczepiony instynkt działania skrycie. Potrafiłem się pilnować. Potrafiłem być diabelnie cierpliwy.

Wyjąłem nóż i błyskawicznie rzuciłem nim w stronę jednego z gołębi. Ostrze z plaśnięciem wbiło się w jego grzbiet. Ptak machnął skrzydłami, lecz nie był w stanie wzbić się w powietrze. Swoim gruchaniem musiał ostrzec resztę stada, bo to nagle poderwało się do lotu.

Wokół zaszeleściły dziesiątki par skrzydeł. Musiałem się uchylić i przez chwilę osłaniać twarz. Nagle nastąpiła cisza.

Ranny gołąb przeczłapał jeszcze kilka drobnych kroków, po czym zwałił się na bok. Niezdarnie rozłożył skrzydła.

– To koniec...

Podszedłem do niego i jednym ruchem wyszarpnąłem z jego grzbietu nóż. Dłonią otarłem ostrze z krwi.

Przez minutę lub dwie patrzyłem na agonię gołębia. Zaczął drzeć i wciąż delikatnie machał skrzydłami. Jego jedno oko było bacznie utkwione we mnie. Lekko rozwarł dziób, starając się nabrać więcej powietrza.

W pewnej chwili zupełnie znieruchomiał.

– To koniec – powtórzyłem, zmieniając głos.

Podniosłem się i kopnąłem truchło ptaka w stronę trawnika. Jak gdyby nigdy nic, ruszyłem do domu. Mimo to w głowie kotłowało mi się mnóstwo myśli.

Masz rację.

Zabijanie gołębi to kiepska rozrywka.

Musiałem jak najprędzej zmienić cel tej zabawy.

18.

Druga połowa maja była gorąca. W mieszkaniu panował zaduch, a matka nie pozwalała otworzyć okien. Nie wiem dlaczego. Być może chciała udręczyć siebie, a może nas oboje. Psychiatrzy oceniliby jej zachowania jako noszące znamię autodestrukcji. Wiem coś o tym.

Przynajmniej przestała mnie pilnować. Wychodziłem, kiedy chciałem, miałem jedynie wrócić przed zmrokiem. Często zrywałem się ze szkoły i maszerowałem nad Rusałkę. Od roku na jej północnym brzegu działał ośrodek wypoczynkowy z wypożyczalnią sprzętu wodnego. Wszystko było tam zorganizowane pod linijkę. Miejsca na trawiasto-piaszczystej plaży, ławki, nawet kilka stolików do gier.

Plażowicze pragnący zaznać intymności na prawdziwym łonie natury przenieśli się nieco dalej. O tym miałem się jednak dopiero przekonać.

W tamtym czasie całymi godzinami włóczyłem się wzdłuż brzegu i przypatrywałem się dziewczętom w strojach kąpielowych. Oczywiście, wyobrażałem sobie je nagie, leżące nieruchomo na stole sekcyjnym.

Całkowicie mi podległe.

Analizowałem meandry ich ciał, ruchy mięśni i skazy na skórze.

– Na co się gapisz?

Słowa rozdrażnionego dwudziestoparolatka wyrwały mnie z zamyślenia. Przeniosłem na niego wzrok, porzucając obserwowanie szczupłej brunetki. Obraz jej małych piersi zastąpił widok owłosionego, szerokiego torsu.

– Napatrzeć się nie możesz? Ty mały cwelu!

Mężczyzna zrobił kilka kroków w moją stronę. Parsknął z pogardą i z całej siły pchnął mnie na ziemię. Potknąłem się o jakiś korzeń, lecz udało mi się nie upaść. Zacisnąłem usta.

– Cały się zaśliniłeś, frajerze. Podoba ci się?

Nie odpowiedziałem. Spuściłem głowę i starałem się ominąć coraz bardziej pobudzonego mężczyznę. Ten jednak zastąpił mi drogę. Jego dziewczyna splotła ręce na piersi.

– Pieprzony zbok.

Mężczyzna ponownie pchnął mnie w klatkę piersiową. Tym razem zrobił to tak mocno, że nie utrzymałem równowagi i upadłem na ziemię.

Wtedy coś we mnie pękło.

Coś sprawiło, że straciłem nad sobą kontrolę.

Poderwałem się i błyskawicznie wyciągnąłem z kieszeni nóż. Zacisnąłem go mocno w dłoni.

Jednocześnie upewniłem się, że poza nami wokół nie ma nikogo. Ręka mi drżała, a oblepiona potem rękojeść noża ślizgała się w dłoni. Mimo to nie mogłem się już wycofać.

Byłem wściekły.

Teraz to ja byłem panem sytuacji.

– Ej, młody, spokojnie...

Nie zwracałem uwagi na to, co mówił ten gnojek. Podeszedłem do koszyka, przy którym znajdowały się rzeczy jego dziewczyny. Sięgnąłem po ręcznik. Przesunąłem go i zobaczyłem złożone majtki.

– Co ty, kurwa, robisz?

Działąłem jak w transie. Cały drżałem. Wyciągając przed siebie nóż, wziąłem majtki i schowałem je do kieszeni. Tamten stał o kilka kroków ode mnie, lecz bał się zbliżyć. Dziewczyna schowała się za nim. Miała kilkucentymetrową bliznę na wewnętrznej stronie prawego uda. Podobne szczegóły

zapamiętywałem przez całe życie tak, że pozwalały mi ożywiać napotkane kobiety w wyobraźni, nawet wiele lat po naszych spotkaniach.

Napięcie wciąż we mnie rosło. Mieszało się z podnieceniem i satysfakcją z tego, co zrobiłem. Dłoń tak mi drżała, że musiałem ją nieco cofnąć. Bałem się, że nóż mi się z niej wyślizgnie. Ścisnąłem go tak mocno, aż rozboleły mnie palce.

Zacząłem się powoli wycofywać.

Jeszcze raz zerknąłem na dziewczynę. Spojrzałem na jej biodra, abym potem jak najlepiej mógł sobie wyobrazić, na jakim ciele leżała bielizna upchnięta w mojej kieszeni. Wiedziałem, że doskonale ją zapamiętam.

Żółty kostium kąpielowy, wystające kości biodrowe, ładny pępek, w którym wciąż skrzyła się woda... No i tamta blizna na wewnętrznej stronie prawego uda.

Pewne wspomnienia zostaną we mnie nawet po śmierci.

Jestem o tym przekonany.

19.

Tamtego lata ukradłem z toreb, przenośnych leżaków i spod ręczników jeszcze kilka sztuk bielizny. Już nigdy nie odważyłem się nikogo zastraszać nożem. Czekałem, aż plażowicze wejdą do jeziora, i wówczas dopadałem do swojego łupu, najczęściej całkowicie niezauważony.

Starałem się wyławiać samotne kobiety. Wtedy było najłatwiej, a jednocześnie dawało mi to przyjemne podniecenie. Niestety, większość kobiet korzystała z terenu ośrodka wypoczynkowego. W zatoczkach oraz zaroślach na uboczu rozkładały się najczęściej pary chcące nacieszyć się tylko sobą. Wiesz, o czym mówię? Kilkukrotnie udało mi się przyłapać zakochanych na frywolnej zabawie. Nie mieli nawet pojęcia, że bawiłem się razem z nimi.

A jeżeli zdobyłem łup, mogłem odtwarzać w głowie te sceny po wiele razy.

Po powrocie do domu dotykałem się bielizną tak długo, aż osiągałem spełnienie. Wykorzystywałem ją kilka razy na dobę przez dwa, trzy dni. Potem sięgałem po kolejną. Musiałem ją skrzętnie ukrywać przed matką, dlatego powstrzymałem się przed stworzeniem kolekcji. Zawsze przechowywałem jedną, co najwyżej dwie sztuki.

Jedynie przed zimą, gdy brzegi Rusałki się wyludniły, zaryzykowałem i schowałem w mieszkaniu pięć czy sześć skradzionych par majtek. Wykorzystywałem je do znudzenia, tak że poznałem każdy splot ich materiału, każde zaciągnięcie i przebarwienie. Przeszkadzało mi, że z czasem traciły swój

zapach. Nie mogłem już wyczuć w nich kobiet. Pachniały tak samo jak moje łachy. Były bezużyteczne.

Pod koniec stycznia 1961 roku spaliłem je wszystkie w piecu. Przez kolejne tygodnie moja frustracja narastała. Lokatorzy kamienicy nie suszyli ubrań na podwórzu, więc nie miałem skąd zdobyć nowej bielizny.

Obsesyjnie przywoływałem wspomnienia skradzionych majtek oraz kobiet, które widziałem na stole sekcyjnym. Przypominałem sobie ich ciała. Myślałem o piersiach i łonach. Twarze większości stanowiły zamazaną plamę. Nigdy nie były dla mnie istotne. Nie rozumiałem zachwyty nad pięknymi rysami, mocnymi kośćmi policzkowymi czy wydatnymi ustami. Chodziło przecież o coś całkiem innego. Sedno stanowiło zaspokojenie, które sprowadzało się do tych najbardziej intymnych fragmentów. Czy w trakcie seksu twój kochanek obserwuje twoją twarz? Uwierz mi, że interesuje go coś zupełnie innego. Wszyscy jesteśmy tacy sami.

Ale wróćmy do sedna. To w końcu moja historia i nie chcę niczego pomieszać. Szczególnie nie chciałbym pomieszać moich i twoich myśli.

W pierwszy ciepły dzień wiosny wybrałem się nad jezioro. Jeszcze nikt w nim nie pływał, lecz na brzegu spacerowało sporo ludzi. Pojedyncze pary wygrzewały się na ręcznikach.

– Hej! Chcesz się ze mną przejść?

Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Nigdy wcześniej nie miałem odwagi odezwać się do obcej dziewczyny. Niska brunetka obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem. Była sama, lecz nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej moim pytaniem. Popatrzyła na mnie ironicznie. Miała granatową spódniczkę i bluzeczkę wywiniętą tak, że odsłoniła pępek.

– Mogę ci poopowiadać dowcipy – zapewniłem. – Mogę pokazać, gdzie jest najlepsze miejsce do łowienia ryb...

Dziewczyna zmrużyła oczy i się roześmiała.

– Czekam na kogoś – odparła i przeniosła wzrok na jezioro.
Podszedłem do niej i stanąłem tuż obok.

– Też jestem sam...

– Powiedziała, że czekam na kogoś.

Brunetka była o głowę niższa ode mnie i naprawdę drobna.
Czułem się przy niej wyjątkowo pewnie. Tak pewnie, że...

Nie mogłem się powstrzymać.

Chyba wyczuła narastające we mnie napięcie i cofnęła się.

Wtedy do niej dopadłem. Błyskawicznie i brutalnie. Dziewczyna
chciała pisnąć, lecz dłonią zakryłem jej usta.

Zaczęła się szarpać.

Byłem jednak silniejszy. Wolną ręką pogładziłem wewnętrzną
stronę jej ud i powiodłem ją wyżej, podwijając spódnicę.
Dotknąłem jej majtek. Wydawało mi się, że przez nie czuję gorąco
jej ciała. Kręciło mi się w głowie.

Zacisnąłem palce, lecz w tym samym momencie dziewczyna
szarpnęła. Udało się jej wyrwać z mojego uścisku. Zaczęła
rozpaczliwie wzywać pomocy. Na brzegu zobaczyłem dwie pary,
które, zaniepokojone jej krzykiem, ruszyły w naszą stronę.

Boże.

Musiałem się ratować.

Rzuciłem się do ucieczki. Nie mogłem zostać złapany za taką
bzdurę. Przecież nie zrobiłem nic złego...

Biegłem tak szybko, jak mogłem. Nóż przebił się przez materiał
kieszeni i ranił mi udo. Mimo to nie zatrzymywałem się dopóki
krzyki nie zostały daleko za mną. Dopóki zupełnie nie ucichły.

Padłem ledwo żywy przy jakimś krzaku i zaczerpnąłem
powietrza. Serce łomotało mi w piersi, a krew rozsadzała skronie.
Jednocześnie wciąż czułem podniecenie. Zacisnąłem w pięść dłoń,
którą przed paroma minutami gładziłem skórę dziewczyny,
i powąchałem palce.

Obliząłem je.

Z rozkoszy znów drżałem.

Żałowałem, że nie zmusiłem tej dziewczyny, by milczała. Mogłem przytknąć nóż do jej szyi albo do pleców. Chciałem jej tylko dotknąć. Uwierz mi, nie miałem zamiaru jej gwałcić ani skrzywdzić.

Naprawdę pragnąłem tylko dotyku.

I tego, aby była mi uległa.

Postanowiłem, że wrócę nad Rusałkę kolejnego dnia. A jeżeli padałby deszcz, to zrobię to kolejnego. A potem znów i znów.

Ta myśl sprawiła mi wiele radości.

Jednocześnie wzrastał mój głód.

20.

POZNAŃ

1962 R.

W 1962 roku w wyniku niefortunnego zbiegu okoliczności zostałem złapany na gorącym uczynku. Tak opisała to pewna gazeta... Nie chciałbym się wdawać w szczegóły, bo już ich dobrze nie pamiętam. Nie były warte miejsca w moim umyśle.

W każdym razie za zaczepianie na plaży kobiet w szumnie zwanych celach erotycznych wyznaczono mi kuratora. Mogło być jednak znacznie gorzej. Otarłem się o pobyt w poprawczaku, ale wyrok został zawieszony na dwa lata. Podobno znaleziono parę okoliczności łagodzących.

Ciekawe, dlaczego nie ma ich teraz? Czy zmieniłem się aż tak bardzo? Stałem się wyjątkowy, wiem o tym, lecz sama widzisz, jak wyglądało moje życie.

To było moje dzieciństwo. Uwierzyłabyś w podobną fabułę książki? Zakłady psychiatryczne, sanatoria, baraszkowanie w grobowcach i podglądanie kobiecych ciał, które patroszono jak drób lub świnie. Pierwsze doświadczenia seksualne z widokiem zwłok zamiast zdjęcia powabnej modelki nad łóżkiem.

Teraz wiem, że wtedy jedynie się kształtowałem. Nastolatek to plastyczna masa, którą wyrabiają okoliczności. Jego charakter nie ma żadnego wpływu na zdolności i zamiary rzeźbiarza, jakim jest czysty przypadek.

Czy to nie jest okoliczność łagodząca?

Przyznam ci się, że do tej pory nie miałem się czym przejmować. Nawet kurator nie stanowił większego problemu, a trauma

rozpraw nieco stępiła moje instynkty. Przetęła je na jakiś czas, lecz nie udało się jej ich zabić.

Jeszcze zanim skończyłem osiemnaście lat, przyszły pierwsze prawdziwe porażki.

A z nimi frustracja.

21.

POZNAŃ

1964 R.

Pamiętasz Tereskę, która mieszkała na parterze mojej kamienicy? Opowiadałem ci o niej i o jej wiecznie kpiącym ze mnie ojcu.

Po dwóch czy trzech latach zalotów, które kończyły się moimi półsłówkami lub uciezkami, Tereska postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce. Chyba nadal byłem dla niej po prostu imbecylem, lecz jednocześnie coś się jej we mnie spodobało. A może postanowiła mnie wykorzystać jako dobry obiekt do testowania? Do sprawdzenia, ile jest prawdy w tym, o czym tak pięknie opowiadali inni?

Nie wiem, od jakiego momentu można powiedzieć, że się ze sobą chodzi. Nie wiem, czy „chodzenie ze sobą” to dobre określenie dla pary siedemnastolatków. Ale to nic nieznaczące niuanse.

Pamiętam, gdy po raz pierwszy trzymaliśmy się za ręce. Spacerowaliśmy w pobliżu Okrągłaka i rozmawialiśmy, jakim cudem taka budowla może się nie zawalić. Teresa delikatnie wsunęła swoją dłoń w moją. Dokładnie w momencie, kiedy gapiłem się na jedno z okien i szukałem w nim naszego odbicia. Bałem się spojrzeć w prawdziwą twarz mojej towarzyszki. Plotłem trzy po trzy, czując, że pot spływa mi po plecach. Byłem szczęśliwy.

Serce łomotało mi w piersi tak mocno, jak w dniu, gdy nad Rusalką uciekałem z bielizną obcej dziewczyny. Czułem podobnie silne podniecenie.

– Ed!

– Tak? – Zdałem sobie sprawę, że Tereska od pewnego czasu coś do mnie mówi. Nie miałem jednak pojęcia co. Moje myśli i jej słowa plątały mi się w głowie.

– Możesz trochę zmniejszyć uścisk. To boli.

Przez chwilę tępo na nią patrzyłem. Wreszcie zrozumiałem, że miażdżą jej dłoń. Mnie również od zaciskania bolały palce. Jak wtedy, gdy kurczowo ścisakałem nóż.

– Ach, przepraszam.

Zelżyłem uścisk i uśmiechnąłem się krzywo.

– Wiem, że jesteś silny. Nie musisz tego pokazywać w ten sposób.

Z perspektywy lat dostrzegam w tych słowach ironię. Wtedy nie miałem o niej pojęcia. Szczere uczucie jest ślepe na subtelności i nie rozkłada sytuacji na części pierwsze. Przynajmniej w moim przypadku tak to działało.

Nie puszczając swoich dłoni, wróciliśmy pod kamienicę. Dopiero przed samym wejściem Tereska wywinęła się z mojego uścisku i nieco odsunęła. Widziałem, że zerknęła w okno swojego mieszkania. Na szczęście nie było w nim jej ojca.

Odetchnąłem.

Obok nas przeszła sąsiadka z pierwszego piętra. Prowadziła na smyczy czarnego sznaucera, który obrzucił nas podejrzliwym spojrzeniem. Jego właścicielka zrobiła to samo. Bąknąłem słowa przywitania, lecz nie odpowiedziała. Nie znosiły się z moją matką, choć nie wiem dlaczego. Może to ja byłem powodem?

Również tamtego dnia z Tereską powróciliśmy do swoich mieszkań bez pożegnania. Jakbyśmy oboje nie wierzyli, że pomiędzy nami wydarzyło się coś istotnego. Jakbyśmy chcieli to zlekceważyć. Przez wiele godzin w myślach odtwarzałem jej ciało. Po raz kolejny wyobrażałem sobie ją nagą.

Była piękna.

Tak bardzo piękna.

Rozbudziła we mnie pożądanie, stłumione przez zamieszanie z sądem i kuratorem. Zobaczysz, że moje libido to wieczna sinusoida.

Po kilku dniach wspólnych spacerów, trzymania się za ręce i przelotnych całusów po raz kolejny znaleźliśmy się w pobliżu Okrągłaka. Stał się naszym miejscem szczególnym, przy którym czyniliśmy sobie najszczerze wyznania.

Tym razem Tereska zatrzymała się i ujęła obie moje dłonie. Spojrzała mi prosto w oczy, ale nie uśmiechała się jak zwykle. Była zupełnie poważna. Zaczesała skrócone niedawno włosy za uszy i przygryzła wargę. Przez chwilę milczała.

– Coś nie tak?

Pokręciła głową.

– Dziś nie ma moich rodziców – powiedziała szeptem. – Jestem sama w mieszkaniu do późna.

– No i? – dopytałem jak dureń.

Tereska z niedowierzaniem wzniosła spojrzenie ku niebu. Nie wiem, czy dostrzegła tam jakiś znak.

Szczerze w to wątpię.

22.

W tym miejscu większość facetów opowiedziałoby więcej kłamstw, niż udało się im wpleść w jakąkolwiek inną historię. Część natomiast pominęłaby ten fragment milczeniem. Uśmiechałoby się znacząco i odchrząkiwali. Dawaliby do rozumienia, co się działo, pozwalając, by domysły wybiły się ponad ich własne słowa.

Nie znoszę domysłów.

Domysłem jest spoglądanie na bieliznę kobiety i wyobrażanie sobie, jak w niej wygląda. Domysłem jest myślenie, co ma pod spodem. Domysłem są jej prawdziwy zapach oraz gładkość jej skóry.

Nienawidzę domysłów.

Mimo to, gdy Tereska zdjęła bluzeczkę, siedziałem na jej łóżku jak sparaliżowany. Ręce mi drżały, a pot ściekał po czole.

Paliła się tylko jedna lampka w rogu pokoju. Tereska była do niej odwrócona plecami, więc jej ciało tonęło w półmroku. Musiała za to wyraźnie widzieć moje zdenerwowanie.

Podeszła bliżej i pocałowała mnie w usta. Usiadła na mnie okrakiem. Delikatnie popchnęła tak, że znalazłem się w pozycji półleżącej. Moje stopy wciąż opierały się na podłodze, a ja starałem się powstrzymać ich nerwowe drzenie.

Brakowało mi tchu.

Próbowałem zebrać myśli, lecz nie byłem w stanie. Wspomnienia z tamtego wieczoru są wyraźne, ale przemieszane.

Zdaje się, że Tereska zdjęła mi spodnie, a następnie rozpięła guziki koszuli. Przywarła do mnie, dotykając mojej piersi swoim stanikiem.

Całowaliśmy się.

Staralem się spojrzeć na jej pępek. Wydawało mi się, że jest mniej wklęsły niż wszystkie te pępki kobiet, które widziałem dotychczas. Mogłem odnieść jedynie takie złudne wrażenie, lecz nie potrafiłem przestać patrzeć. Dotknąłem go i rzeczywiście wyczułem nienaturalny kształt. A może to z tamtymi coś było nie tak? Może po śmierci zapadają się w głąb jamy brzusznej?

Ale przecież mój...

Ale przecież pępki tych kobiet w strojach kąpielowych...

Nie mogłem pozbyć się tych natrętnych myśli. Powracały i rozpraszały całą moją uwagę. Mimo to pożądanie wciąż we mnie narastało.

Tereska zrzuciła stanik i natychmiast przeniosłem wzrok na jej piersi. Ukradkiem dotknąłem wnętrza miseczki jej biustonosza. Nie wiem, dlaczego gładziłem ją, zamiast gładzić skórę mojej dziewczyny.

Byłem podniecony do granic obłędu.

Mimo to bałem się cokolwiek zrobić. Leżałem jak kołek, patrząc na jej krągłe, lecz niezbyt duże piersi. Nigdy z tak bliska nie widziałem kobiecych sutków.

Przypomniałem sobie cięcia, które lekarze prowadzili po klatkach piersiowych zwłok. Przypomniałem sobie, jak omijali sutki, by później zedrzeć cały płat skóry i wywinąć ją na brody zmarłych.

Tamte kobiety leżały nieruchomo, całkowicie podległe ich działaniom. Nie mogły ich powstrzymać i nie były zdolne do wyśmiania ich nieudolności.

Poczułem się skrępowany. Onieśmielała mnie pewność, z jaką Tereska mnie dotykała. Onieśmielały mnie jej spojrzenie i pojawiający się co chwilę na twarzy uśmiech. Drażnił mnie jej język, zbyt szybko mknący po moich wargach.

Wtedy po raz pierwszy zacząłem roztrząsać nasze uczucie. Dostrzegłem detale i wydało mi się, że od początku byłem tylko obiektem idiotycznych żartów.

Nie panowałem nad sytuacją.

Nie tak to powinno wyglądać.

Chciałem przejąć inicjatywę i położyć Tereskę na łóżku, lecz za bardzo się wstydziłem.

– Ej, przestań! – Zaśmiała się.

– Hm?

– To łaskocze!

Jedną dłonią gładziłem jej pępek, a drugą – miseczkę stanika. Gwałtownie zamarłem. Przeciągnąłem dłoń z pępka po wypukłości żeber i dalej ku piersiom. W ostatniej chwili ją cofnąłem. Może dotykając ją tam, również spowodowałbym łaskotki? Chyba nie na tym polegała miłość fizyczna. Pamiętałem kilka par, które podglądałem nad Rusałką, lecz z ich poczynań nie wyniosłem żadnej nauki.

Otarłem pot z czoła.

Teresa zdawała się już nie zwracać na moje zachowanie żadnej uwagi. Byłem jej manekinem. Lalką, która miała dać jej zadowolenie.

Podniosła się i ściągnęła majtki. Zachłannie chciałem spojrzeć na jej łono, lecz nie pozwoliła mi. Usiadła na moich kolanach. Dotknęła mojej twarzy i pocałowała mnie. Delikatnie przygryzła moją wargę.

Nie miałem ochoty na całusy. Pragnąłem jedynie patrzeć na jej ciało, a ona mi tego zabraniała. Nie pozwalała mi robić tego, na co miałem ochotę.

Nie tak to miało wyglądać.

Gdy poczułem, że jej dłoń wsuwa się do moich majtek, odsunąłem się.

– Co jest? – zapytała zaskoczona. – Coś ci się nie podoba?

Nie mogłem się zmusić do powtórnego podniecenia. Jej próby nie mogły doprowadzić mnie do takiego stanu, do jakiego doprowadził mnie kiedyś Świergol. Było zbyt ciemno, a ja nie widziałem jej ciała. Byłem za bardzo skołowany, by uruchomić wyobraźnię. Staralem się dotknąć jej stanika, lecz ten chyba spadł z łóżka.

– Nic z tego... – wybąkałem.

Wtedy Teresa zerwała się z łóżka. Zasłoniła się kołdrą i wściekle wskazała na drzwi. W tej pozycji światło oświetliło jej twarz. Zdaje mi się, że w jej oczach dostrzegłem łzy.

– Idź do domu – syknęła. – Wyjdź stąd.

– Ale...

– Natychmiast, bo zacznę krzyczeć!

Posłusznie się ubrałem i skołowany wyszedłem na korytarz. Po raz pierwszy byłem tak wściekły na siebie. Na siebie, na świat i trochę na Teresę.

– Nigdy się do mnie już nie odzywaj. Nie przychodź tu. – Usłyszałem, zanim trzasnęły drzwi.

Usiadłem na drewnianych schodach i kilkukrotnie walnąłem się dłonią po twarzy.

Chciałem się ukarać.

Chciałem zniknąć.

23.

Gdy wróciłem z mieszkania Tereski do domu, matka już spała. W tamtym czasie nie pilnowała pory moich powrotów, nigdy też nie czekała na mnie kolacja. Jednak nie byłem głodny.

Działalem jak automat. Nie wiedziałem, co się ze mną dzieje.

Czułem wstyd, rozpacz i pustkę.

Nie widziałem możliwości rozwiązania swoich problemów. Miałem siedemnaście lat i byłem bezużyteczny.

Staralem się przypomnieć sobie ciało Tereski, lecz nie potrafiłem. Mimo że tak wiele razy je sobie wyobrażałem, teraz, gdy naprawdę je zobaczyłem, stanowiło bezkształtną plamę. Nawet wypukłość pępka wydawała mi się jedynie jakimś zaburzeniem pamięci.

To było niemożliwe.

Nie mogła tak wyglądać.

Bałem się, że każda kobieta, którą spotkam, zrobi na mnie to samo wrażenie. Sparaliżuje mnie. Pokaże, jak bardzo jestem bezużyteczny. Wiedziałem przy tym, że bez kobiet nigdy nie będę w pełni zaspokojony.

Niech to szlag.

Telepałem się ze wściekłości.

Przeszedłem do kuchni i otworzyłem szafkę nad zlewem. Chciałem opłukać twarz, lecz nie było wody. Wyciągnąłem apteczkę. Przysunąłem się do okna, aby nie zapalać światła.

Tabletki na ból głowy, które regularnie łykała matka, znajdowały się w dużej fiolce. Ostrożnie przesypałem je na dłoń.

Raz.

Dwa.

Trzy.

Odliczyłem do dwudziestu. A potem dodałem jeszcze dwie. Na wszelki wypadek. Ktoś tak bezużyteczny jak ja nie powinien się w ogóle urodzić.

Lekarstwa z trudem mieściły mi się w dłoni. Mimo że nie miałem wody, zacząłem je łykać.

Jedna tabletką po drugiej.

W pewnym momencie czułem, że drażnią mi gardło i palą przełyk, ale nie przestawałem. Dwie czy trzy ostatnie rozgryzłem. Zadławiłem się proszkiem, lecz zatkałem usta. Nie mogłem ich zwrócić. Zmusiłem się do przełknięcia.

Tłumiłem odruch wymiotny i kaszel.

Przełykałem podchodzącą do gardła żółć zmieszana z rozgryzionymi tabletkami.

Usiadłem obok szafki i odchyliłem do tyłu głowę. Przez okno do kuchni wpadało światło księżyca. Bez problemu mogłem rozróżnić kształty szafek, stołu i kwadratowego zegara, który nie działał, odkąd ojciec przestał pojawiać się w domu. A może zepsuł się znacznie wcześniej?

Zaczęło mi się kręcić w głowie.

Wskazówki poruszyły się, odmierzając mój czas.

Moje serce biło w rytmie nieruchomego wahadła.

24.

POZNAŃ

1966 R.

Choć zapewne wielu bardzo tego żałuje, po nałykaniu się tabletek nie umarłem. Straciłem przytomność i wyrzygałem wszystko pod siebie. Ocknąłem się nad ranem z potwornym bólem głowy. Czasem wszystko działa na odwrót.

Albo to moje życie jest wywrócone do góry nogami.

Jak ludzkie wnętrzości w trakcie autopsji.

Z Tereską nie zamieniłem już ani słowa. Nie próbowałem naprawić naszej relacji. Nie sądziłem, że to w ogóle możliwe, a poza tym wiedziałem, że zostaliśmy skażeni. Nacechowała nas wzajemna niechęć. Mogła wiedzieć o mnie zbyt wiele. Lub domyślała się czegoś.

Tamta sytuacja sprawiła, że na wiele miesięcy spadło mi libido. Nie odczuwałem podniecenia, nie potrzebowałem wyobrazać sobie, jak mijane kobiety wyglądają nago, nie przywoływałem wspomnień.

Żyłem z dnia na dzień, starając się, by kolejne dni jak najszybciej minęły. Dlatego zlewają mi się one w jeden szary ciąg niezrozumiałych obrazów.

Do czasu.

W 1966 roku poznałem Krystynę – sympatyczną, rezolutną brunetkę, o której wiedziałem tylko to, że podobnie jak ja, lubi samotnie włóczyć się po rynku. Zbliżyło nas parę uśmiechów i piwo, które wypiliśmy przy jednym stoliku w barze. Sączyliśmy

je powoli, patrząc na przysłonięty mgłą budynek ratusza. Nie odezwaliśmy się do siebie.

Kiedy zbierałem się do wyjścia, Krystyna zaproponowała, byśmy wypili po jeszcze jednym piwie. Wzruszyłem ramionami i zgodziłem się, choć po dwóch kuflach zawsze robiło mi się niedobrze.

Nasza znajomość od początku była skażona.

Kilkukrotnie spacerowaliśmy wspólnie zaułkami Starego Miasta, lecz Krystyna nigdy nie zdradziła mi, gdzie mieszka ani czym się zajmuje. Ja też niewiele jej o sobie mówiłem.

Nie trzymaliśmy się nawet za ręce, lecz rozmawiało się nam zaskakująco dobrze.

Któregoś letniego wieczoru znów spotkaliśmy się na piwie. Tym razem Krystyna przyprowadziła ze sobą młodszego kuzyna. Chłopak miał czternaście, może piętnaście lat i kręcone brązowe włosy. Szczegółów jego twarzy już nie pamiętam.

– Cześć, facet. – Przywitał mnie właśnie takimi słowami.

Krystyna roześmiała się i poklepała go znacząco po ramieniu, jakby chciała mi dać do zrozumienia, że bym się nie przejmował.

Nie przejmowałem się.

– Mam nadzieję, że nie przeszkadza ci, że go przyprowadziłam – powiedziała, gdy chłopak oddalił się do toalety.

– Nie. W czym miałby mi przeszkadzać?

– A bo ja wiem? Czasem lepiej jest tylko we dwójkę.

Puściła do mnie oko i przysunęła swoją dłoń bliżej mojej.

– Akurat w barze raźniej jest w grupie. Poza tym to miły chłopak.

– Tak myślisz?

– Oczywiście. I całkiem podobny do ciebie.

Pamiętaj, że miałem wtedy prawie dwadzieścia lat i chciałem wydać się wyjątkowo doświadczonym mężczyzną, wbrew temu, co wydarzyło się z Tereską.

Mówiłem powoli i spokojnie. Mimo to nie odważyłem się utrzymać dłuższego kontaktu wzrokowego. Wolałem gapić się na wypukłość jej piersi. Wolałem wryć je w zakątki swojego umysłu.

– Ej, zostaw mnie! Odpieprz się!

Pokrzykiwania za moimi plecami nie mogły mnie rozproszyć. Ignorowałem je. W tym barze nie były niczym niezwykłym. Wciąż sączyłem piwo i spoglądałem na Krystynę. Ta jednak podniosła się od stolika. Po chwili na jej twarzy dostrzegłem strach.

Dopiero wtedy się odwróciłem. Dwóch podpitych mężczyzn przepychało się z jej kuzynem, który pojednawczo unosił dłonie. Nie zamierzał wdawać się w awanturę, jednak już było za późno. Wiele razy to widziałem. Spokojni faceci i podpici durnie, którzy za wszelką cenę chcą udowodnić, że są coś warci.

Co za ironia.

Wiedziałem coś o tym.

– Zostawcie go! – krzyknąłem, wstając od stołu.

Na niepewnych nogach ruszyłem za Krystyną. Jeden z mężczyzn uderzył jej kuzyna otwartą dłonią w policzek. Wokół nich zrobiło się nieco wolnego miejsca, inni goście usunęli się na boki. Kelnerki na razie nie zamierzały reagować.

Kolejny cios, w brzuch, sprawił, że chłopak zgiął się wpół. Jęknął. Krystyna pisnęła i rzuciła się w jego stronę. Wtedy niższy z mężczyzn odwrócił się do niej. Chwycił ją za ramię, po czym wygiął je za jej plecy.

– To twój chłoptaş? – zapytał pijackim głosem. – Nie ma szacunku dla starszych.

– Zostaw ją...

Moje słowa zwróciły jego uwagę. Puścił Krystynę i szeroko się uśmiechnął. Jego kompan wciąż przepychał się z nastolatkiem. Nie miał chyba jednak zamiaru wdawać się w większą awanturę.

– Dlaczego miałbym ją zostawić, co?

Mężczyzna pochylił się, jakby szykował się, by zaatakować mnie z byka. Miał łysą głowę z kilkoma kępkami włosów. Z ogorzałą skórą na jego czole kontrastowało kilka śnieżnobiałych blizn.

Ruszył do mnie i zacisnął pięści.

– Dlaczego miałbym ją zostawić? – powtórzył podniesionym głosem. – Kim ty w ogóle jesteś, gnoju, żeby mówić mi, co mam robić? No, już nie jesteś taki cwany?

Kilka osób starało się go uspokoić, lecz on, potykając się o krzesła, szedł w moją stronę. Nie zamierzałem dać się stłuc. Nie na oczach Krystyny. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem nóż.

Wokół rozległ się szmer zdenerwowanych głosów. Mimo to tamten jedynie się zaśmiał.

– Oj, chłopaku, chłopaku...

Pokręcił kpiąco głową. Nagle rzucił się na mnie i zamachnął pięścią. W ostatniej chwili uchyliłem się przed jego ciosem. Nie zdążyłem jednak w porę zabrać dłoni z nożem. Facet z impetem nadział się na ostrze. Wrzasnął z bólu.

Odwrócił się do mnie i w tym samym momencie ugięły się pod nim nogi. Padł na kolana, ściskając się za brzuch. Wytrzeszczył oczy i obrzucił mnie zdezorientowanym spojrzeniem.

– Ccoo... – wybełkotał.

Tymczasem ja stałem jak wryty. Nie protestowałem, gdy ktoś wyrwał mi nóż z dłoni.

Nigdy więcej nie zobaczyłem Krystyny ani jej kuzyna. Zostałem aresztowany i w błyskawicznym procesie skazany na trzynaście miesięcy odsiadki. Tym razem nie dostrzeżono żadnych okoliczności łagodzących.

25.

Wiesz, jak wygląda robienie sobie dobrze w pudle?

Może nie powinienem o tym opowiadać, ale przecież takie chwile tworzą człowieka. Wypełniają naszą przeszłość i tworzą przyszłość.

W pudle dobrze robią sobie tylko niektórzy, a ja do nich nie należałem. Byłem jedynie narzędziem służącym do rozrywki recydywistów. Nie potrafiłem grypsować ani nie zajmowałem dobrego miejsca w hierarchii. Byłem nikim. Kompletnym zerem.

– Spróbuj się opierać, to poderżnę ci gardło – wycedził niski grubas. Jego dwóch kumpli przyciskało mnie do ściany, a on przyłożył mi coś do szyi. Nie mam pojęcia, czy była to brzytwa, czy coś podobnego. Nie zamierzałem sprawdzać.

– Rozstaw nogi.

Nie poruszyłem się. Aby mnie zmotywować, jeden z osiłków rąbnął moją głową o ścianę. Poczulem krew spływającą wokół oka i przy nosie. Jej zapach i smak. Świat zawirował.

– Rozstaw nogi, powiedziałem.

Nadal stałem w tej samej pozycji. Tym razem przezornie napiąłem mięśnie karku, lecz niespodziewany cios spadł na moje podbrzusze. Potem ktoś zerwał mi majtki i zacisnął dłoń na jądrze. Wykręcił je tak, że odebrało mi dech.

– Jeżeli będziesz się stawiał, zaraz cię wykastruję.

Nabrałem powietrza, a potem posłusznie zmieniłem pozycję. Zacisnąłem zęby.

Chwilę później spłynęła na mnie ciemność.

Edmund Kolanowski został warunkowo zwolniony po odbyciu trzynastu z osiemnastu miesięcy kary pozbawienia wolności. Przyznał, że w jej trakcie został wielokrotnie zgwałcony doodbytniczo.

26.

POZNAŃ

1967 R.

Tym razem nie starałem się być miły ani szarmancki. W ogóle nie zamierzałem się odzywać. Była jesień i wiał zimny wiatr. Liście opadły już z drzew, ale na szczęście nie padało. Słońce wyszło zza chmur, więc w powietrzu bardziej czuło się wiosnę niż koniec października. Nazwałabyś ten dzień przyjemnym.

Mimo to w parku było niewielu spacerowiczów. Właściwie minąłem nie więcej niż pięć osób. W dłoni wciąż ścisnąłem tobołek, który zabrałem z zakładu karnego. Nie zaszedłem do domu ani nikogo nie odwiedziłem. Nie byłem też głodny ani śpiący.

Przez ostatnie dni myślałem tylko o jednym.

O tym, aby dotknąć kobiety. Aby urzeczywistnić obrazy, które coraz bardziej nieudolnie przywoływałem w wyobraźni.

Opatulona w szal dziewczyna w grubym płaszczu siedziała na ławce. Czytała książkę, która pochłaniała całą jej uwagę.

Przyśpieszyłem kroku i upewniłem, że wokół nie ma nikogo. Kilkadziesiąt metrów od nas bawiło się dwóch chłopców. Nie przejmowałem się nimi. Nie stanowili dla mnie żadnego zagrożenia.

Przebiegłem trawnik, nie zważając, że buty grzęzną mi w kretowiskach i są oblepiane przez gnijące liście. Byłem blisko.

Byłem tuż tuż.

Dziewczyna, skoncentrowana na lekturze, nie wyczuła mojej obecności. Nie poruszyła się nawet wtedy, gdy znalazłem się

ledwie metr za nią.

Napiąłem mięśnie.

Dopałem do niej jednym susem.

Bez wahania zasłoniłem jej usta dłonią. Drugą ręką rozchyliłem poły jej płaszcza i przez bluzkę zacisnąłem palce na staniku. Chciałem się do niego dobrać, lecz dziewczyna zaczęła się gwałtownie szarpać. Usiłowała mnie gryźć. Piszcziała i kopała, starając się wyrwać z mojego uścisku.

Nie miałem przy sobie noża, aby ją zastraszyć.

Nie miałem dość siły, by po raz kolejny walczyć.

Przytrzymałem ją tak długo, aż udało mi się palcem zrobić dziurkę w jej swetrze. Dotknąłem miseczki stanika. Pogłodziłem ją jedynie opuszką palca.

To wystarczyło, żeby zakreśliło mi się w głowie. Z jęknięciem wypuściłem powietrze wprost w jej ucho, a biorąc wdech, zaciągnąłem się jej świeżym zapachem. Do tej pory potrafię go przywołać.

Rozluźniłem chwyt i zabrałem dłoń. Nim dziewczyna zaczęła krzyczeć, rzuciłem się do ucieczki. W umyśle przewijały mi się obrazy zwłok leżących na stole sekcyjnym.

Uległych.

Posłusznych.

Takich jak dawniej.

Dlaczego z żywymi wiążą się jedynie problemy? Dlaczego nic nie może pójść łatwo i po mojej myśli? W końcu chciałem tak niewiele.

Naprawdę niewiele.

Jesteś w stanie mnie zrozumieć?

Proszę, zrozum mnie.

27.

POZNAŃ

1968 R.

Po wyjściu z pudła trudno ułożyć sobie życie. Mieszkaliśmy wtedy w zniszczonej kamienicy przy Łukaszewicza. Nie wiem, czy miasto ma jakikolwiek wpływ na człowieka, ale tamtą okolicę wspominam miło. Szpalery zieleni, zżyci sąsiedzi i spokój. Naprawdę panował spokój.

Aby wyrwać się z domu i poobserwować świat, spacerowałem na dworzec. Godzinami przechadzałem się w pobliżu torów kolejowych. Patrzyłem na przejeżdżające pociągi, liczyłem wagony i przypatrywałem się wysypującym się z nich podróżnym.

W tamtym czasie przestałem wyobrażać sobie nagie sylwetki. Przestały do mnie powracać wspomnienia prosektorium lub dotyku Tereski. Z perspektywy lat zdaje mi się to zdumiewające, lecz wówczas nie zwracałem na to uwagi. Już wspominałem ci o sinusoidzie mojego libido.

Żyłem z dnia na dzień. Niemal bez potrzeb i oczekiwań względem świata. Niekiedy odwiedzałem kościół Matki Boskiej Bolesnej, siadałem w jednej z tylnych ław i wsłuchiwałem się w ciszę. Nie modliłem się. Wspominałem czas, gdy niemal codziennie bywałem z matką na cmentarzu. Staralem się sobie przypomnieć brata, lecz poza tamtą jedną sceną nic nie przychodziło mi do głowy. Niekiedy usiłowałem z nim rozmawiać. Szeptalem do siebie i oczekiwałem odpowiedzi, których w końcu sam sobie udzielałem. Być może doskwierała mi samotność, być może plątało mi się w głowie.

W czerwcu lub lipcu poznałem Helenę. Nie pamiętam już, w jakich okolicznościach, lecz szybko przypadliśmy sobie do gustu. Spacerowaliśmy do ogródków działkowych i dalej, nad Wartę. Z tamtego lata przypominam sobie całe dni spędzone na brzegu. Helena brała ze sobą koc, a ja prosiłem matkę o kilka kanapek. Chyba była przekonana, że znalazłem pracę, lecz o nic nie pytała. W ogóle niewiele ze sobą rozmawialiśmy.

Z Heleną mieliśmy swoje ulubione miejsce. Po przedarciu się przez zarośla wychodziło się na lekko pochyłony brzeg, gdzie można było spokojnie usiąść, wystarczyło wydeptać trawę i rozłożyć koc. Nikt nam nie przeszkadzał, na drugim brzegu – skarpa i gęste krzaki, więc w zasięgu wzroku nie było nikogo. Wsłuchiwałem się w szmer rzeki. Czasem graliśmy w karty. Opowiadaliśmy sobie zabawne historie i dużo się śmialiśmy. Zawsze miałem poczucie humoru.

Któregoś dnia Helena rozłożyła koc nieco dalej od brzegu. Oddzielała nas od niego pochyłona niemal do ziemi wierzba. Z drugiej strony ciągnęły się chaszczki.

– Dlaczego...

Nie zdołałem sformułować pytania, bo Helena przywarła do moich ust. Poczulem jej język przemykający po mojej wardze. Przylgnęła do mnie. Chwilę później zsunęła mi spodnie i majtki. Nie odezwała się ani słowem. Sama również się rozebrała i położyła na kocu.

Stałem nad nią, starając się chłonąć piękno jej ciała. Udając zawstydzenie, zasłaniała dłońmi piersi. Widziałem meszek na jej łonie.

– Chodź tu – nakazała, przywołując mnie palcem.

Stałem oszołomiony. Choć kipiały we mnie emocje, znów nie potrafiłem się podniecić. Nie wiem dlaczego. Zdaje się, że po prostu to nie był mój czas.

– Ed...

– Tak? – zapytałem, udając beztroskę.

– Co z tobą?

Skupiłem się na swojej męskości, lecz nie mogłem nic zrobić. Zacząłem drżeć z nerwów i oblał mnie pot. Ponownie czułem się upokorzony. Mimo że Helena delikatnie mnie dotknęła, wyrwałem się jej. Bez słowa się ubrałem i uciekłem.

Pobiegłem na oślep przez krzaki, nie bacząc, że kolce ranią mi ręce i twarz. Biegłem tak długo, aż znalazłem się na klatce schodowej mojej kamienicy.

Matki nie było w domu. Przez kilka minut miotalem się po mieszkaniu, nie umiejąc znaleźć sobie miejsca. Płakałem.

W końcu dopadłem do swojej szafki i wyciągnąłem z niej nóż. Miałem dość. Siebie, życia i kobiet. Dość podniecenia, dość wspomnień, dość płaczących się myśli.

Dość.

Naprawdę dość.

Latem 1968 roku, po nieudanym stosunku, Edmund Kolanowski podjął kolejną próbę samobójczą. Zadał sobie nożem cios w brzuch.

Został uratowany, lecz tydzień spędził w szpitalu.

28.

Na Boże Narodzenie 1968 roku pojechałem na wieś do znajomych matki. Okazja była podwójna, bo ślub brała jedna z ich córek. Wydaje mi się, że matka chciała mnie poznać z drugą, która była wolna, lecz nie miałem najmniejszego zamiaru się z nikim spotykać.

To, że wbiłem sobie nóż w brzuch, nie było reakcją na zawód miłosny. Było reakcją na coś zupełnie innego, czego moja matka nie mogła zrozumieć.

Czego nie mogłem zrozumieć ja sam.

Mówiłem ci, że mam całkiem sporo wspomnień ze świąt spędzonych na cmentarzu, ale żadnych z tych, które spędzaliśmy w domu. Z tych w 1968 roku pamiętam niewiele.

W trakcie wesela piłem wódkę, co w moim przypadku zawsze kończyło się potwornym kacem. Kolejny dzień spędziłem na przemian w łóżku i w kiblu. Nie potrafiłem nawet zebrać myśli.

Mam jedynie pojedyncze przebłyski wspomnień tego, że już w remizie bawiłem się z Gabrielą. Była dużo niższa ode mnie i w tańcu sprawiała wrażenie całkowicie uległej. Mogłem ją objąć, zakrywając niemal całą jej postać. Niemal – oprócz wyjątkowo szerokich bioder, które przykuły moją uwagę.

Dzień po weselu Gabriela kilkakrotnie zachodziła sprawdzić, jak się trzymam. Niewiele rozmawialiśmy, lecz po raz kolejny poczułem się przy kimś dobrze. Po prostu.

Nie wydarzyło się wtedy nic więcej.

Nawiązaliśmy przyjacielską relację, ale nie było tam niczego głębszego. Gabriela pracowała w zakładzie karnym i z

ciekawością słuchałem jej opowieści. Ludzie w zamknięciu tworzyli swój własny świat. Przez trzynaście miesięcy w pace zdołałem się o tym przekonać i teraz zaciekała mnie odmienna perspektywa. Słuchałem. A kobiety lubią, gdy się ich słucha.

Wiosną 1969 roku zaczęliśmy przebąkiwać coś o małżeństwie. Czasem w żartach, a czasem nieco poważniej. Niczego jednak nie planowaliśmy.

I wtedy, jak zwykle, w tryby mojego życia wdarł się pech.

W kwietniu bądź maju zachorowała jej matka i wszystko się posypało. Gabriela zwolniła się z zakładu karnego, by móc się nią opiekować. Do tego okazało się, że również ma chore nerki.

Nasz kontakt się urwał. Nie wiem dlaczego. Może po raz kolejny uciekłem albo po raz kolejny zostałem porzucony. Nie zastanawiałem się nad tym.

To dziwne, że czasem na prawdziwą miłość należy czekać. To dziwne, że czasem losy ludzi rozplatają się, by spleść się z nową mocą dopiero po wielu latach. Tak w życiu bywa. Jeszcze nie raz usłyszysz o Gabrieli. Zapamiętaj dobrze tę niską sylwetkę, szerokie biodra i skrzące się oczy.

Z PROTOKOŁU

Kolanowski spodobał się mi. Przez jakiś okres czasu, dokładnie nie pamiętam, przyjeżdżał do mnie mniej więcej raz na dwa miesiące [...].

Mój ojciec był przeciwny mojemu małżeństwu z Kolanowskim, ale dlaczego mu się Kolanowski nie podobał, tego nie potrafię podać.

29.

W pewnym momencie poczułem się zdesperowany. Miałem dwadzieścia dwa lata i jeszcze ani razu tak naprawdę nie obcowałem z kobietą. Bałem się, że już na zawsze pozostanę prawiczkim. Bałem się, że nigdy w pełni nie posiadę kobiety.

Znów chciałem się zabić.

Jednak nawet w życiu największego pechowca trafiają się szczęśliwe chwile. *Lucida intervalla*, jak określają je psychiatrzy. Dobrze zapamiętałem ten termin.

Lucida intervalla.

Raz po raz sięgałem do kieszeni, upewniając się, że nie zgubiłem banknotów. Było gorąco i pieniądze stały się lepkie od potu.

Słyszałem o Bronisławie, ale nie miałem pojęcia, czego dokładnie mogę się spodziewać. Gdy zapukałem, otworzyła drzwi niemal od razu, jakby na mnie czekała.

Była wysoką blondynką z krótko ściętymi włosami. Miała na sobie białą podomkę i pończochy. Spojrzała na mnie zdziwiona.

Stałem w progu, nie bardzo wiedząc, co zrobić. Po raz kolejny włożyłem dłoń do kieszeni i wyciągnąłem gotówkę. Pokazałem ją, a wtedy Bronisława uchyliła szerzej drzwi.

– Wejdz. – Zaprosiła mnie skinieniem głowy. – Szybko.

Zrobiłem krok i znalazłem się w niewielkim mieszkaniu, które było przesiąknięte smrodem potu oraz alkoholu. Kobieta przekręciła zamek drzwi.

– Ja...

Urwałem. Wzruszyłem ramionami, gotów w każdej chwili uciec.

Bronisława uśmiechnęła się do mnie pokrzepiająco. Wyciągnęła dłonie.

– Forsa.

Bez słowa podałem jej banknoty, które starannie przeliczyła. Znałem kwotę. Byłem przygotowany. Następnie skierowała się do pokoju, który niemal w całości zajmowało łóżko – niewielkie, leżała na nim zmierzwiona pościel, przez ledwie rozsuniętą zasłonę do środka wpadało mało światła.

– Nigdy cię tu nie było.

– Nigdy – wyszeptałem ze ściśniętym gardłem.

– Rozbierz się.

Posłusznie zrzuciłem ubranie i stanąłem przy łóżku.

– Co mam robić? – zapytała.

To ja powinienem zadać to pytanie, jednak sprawiło mi wyraźną przyjemność. Dało mi pozorne poczucie panowania nad sytuacją.

– Połóż się – poprosiłem.

– Tu? – Bronisława rozłożyła się na samym skraju łóżka. Pasek jej podomki rozwiązał się, jej poły opadły na boki. Wbiłem wzrok w owłosione łono, po czym spojrzałem wyżej, ku zagłębieniu pępka i sporym, niezbyt jędrnym piersiom.

– Tu – potwierdziłem, czując narastające podniecenie.

Położyłem się obok niej i obróciłem na bok.

– Nie ruszaj się – nakazałem, choć zapewne brzmiało to jak prośba. Rozchyliłem jej nogi, po czym dotknąłem ich wewnętrznej strony. W kieszeni spodni miałem krótki nóż. Pomyślałem, że mógłbym ją rozciąć tak, jak rozcinano zwłoki.

– Nawet nie drgnę – zapewniła Bronisława.

W mieszkaniu panowała potworna duchota i zobaczyłem kropelki potu na jej podbrzuszu. Czuję jej intensywny zapach.

Przeczesałem palcami jej włosy łonowe, a następnie dotknąłem pępka. Posłusznie leżała całkowicie nieruchoma. To sprawiło, że moje podniecenie narastało.

Usiadłem na niej okrakiem i złapałem obiema dłońmi za piersi. Były bardziej miękkie, niż sądziłem. Powiodłem palcem po linii, którą lekarze nacinali skalpelem. Powoli ominąłem sterczący sutek. Zanurzyłem palec w zagłębieniu jej pępka.

Nigdy wcześniej nie byłem tak podniecony. Poprowadziłem wyimaginowane nacięcie w kształcie Y. Zakończyłem je na jej podbrzuszu. Opuszką palca roztarłem kropelki potu.

Bronisława wciąż się nie odzywała. Leżała nieruchomo, ze wzrokiem wbitym w sufit. Nie wiem, czy dziwki mają jakiś dodatkowy zmysł, czy był to jej instynkt przetrwania. Obiecałem sobie, że jeśli drgnie, zabiję ją.

Ponownie ścisnąłem jej pierś i pogładziłem skórę na żebrach. Bronisława była dość puszysta, więc wiedziałem, że po rozpruciu powłok zobaczyłbym warstwę żółtego tłuszczu. Kiedy o tym pomyślałem, wstrząsnął mną dreszcz.

Wszedłem w nią i zacisnąłem palce na pościeli.

Po raz pierwszy byłem w kobiecie. Po raz pierwszy nie nawaliłem, tylko zachowywałem się jak prawdziwy mężczyzna.

Wciąż leżała nieruchomo. Nie wydała z siebie żadnego odgłosu. Raz po raz nacierałem na nią, spoglądając na jej falujące piersi. Działąłem jak w transie.

Ani razu nie zerknąłem na jej twarz. Nie obchodziła mnie.

Doszedłem niemal natychmiast, lecz i tak byłem z siebie zadowolony. Powoli podniosłem się z łóżka. Ubierając się, jeszcze raz łypnąłem na jej mokre, spocone łono. Zdobyłem je i naznaczyłem. Czułem rozpierającą mnie dumę.

Dopiero gdy włożyłem marynarkę, Bronisława usiadła na łóżku. Sięgnęła pod poduszkę i wyciągnęła paczkę papierosów.

– Chcesz? – zapytała, odpalając jednego.

Pokręciłem głową. Serce waliło mi w piersi, miałem zaciśnięte gardło.

Nie odezwałem się. Wzulem buty, po czym ruszyłem do drzwi.

– Dziękuję – powiedziałem, odsuwając zasuwę.

Po raz pierwszy w życiu chciałem płakać ze szczęścia. Upewniłem się, że w kieszeni wciąż mam nóż, i wyszedłem na zalany słońcem korytarz.

Tego dnia ożyła we mnie bestia.

Choć jeszcze przez krótki czas musiała tkwić w uśpieniu.

30.

POZNAŃ

1969–1970

– Widzę, że po ranie już ani śladu?

Podniosłem głowę i zobaczyłem uśmiechniętą kobietę. Miała ładną twarz, lecz uwagę przede wszystkim zwracały jej oczy. Żywe i skrzące. Rzadko zdarzało mi się tak długo utrzymać z kimś kontakt wzrokowy.

– Nie poznajesz mnie? – Kobieta się uśmiechnęła. Machnęła ręką i ruszyła dalej.

Szła obok parku Chopina w stronę placu Wiosny Ludów. Pamiętam, że zgraja dzieci bawiła się na tyłach kolegiaty. To ich krzyk przywołał mnie do rzeczywistości.

Podbiegłem za nieznajomą i delikatnie chwyciłem ją za ramię. Odwróciła się, ani trochę niezaskoczona.

– Przypominam sobie, że się gdzieś widzieliśmy... – wysapałem.

– Tak. Mieliśmy okazję.

– Ale...

– Nie pamiętasz mnie. A zdążyliśmy już nawet przejść na „ty”. – Puściła do mnie oko i wskazała na torbę zakupów. – Podprowadzisz mnie na przystanek?

Skinąłem głową, wziąłem torbę i zafascynowany, ruszyłem za nieznajomą.

– Spróbuj mnie sobie przypomnieć. Jeżeli ci się uda...

– Co wtedy?

Wzruszyła ramionami.

– Wtedy pomyślimy, Edmundzie.

Słyszając swoje imię z jej ust, mimowolnie zadrżałem.

Wysiliłem pamięć, lecz nie potrafiłem osadzić tej postaci w żadnym kontekście. Przypatrywałem się jej kształtom, ubraniu, zerkałem na twarz. Ciągłe bezskutecznie. Analizowałem wszystkie poznane kobiety i choć nie było ich wiele, musiałem bezradnie rozłożyć ręce.

– Przepraszam – westchnąłem. – Znamy się z dzieciństwa?

– Zimno. Bardzo zimno.

– Poznaliśmy się niedawno?

– Ciepłej.

Przygryzłem wargę. Zwolniłem kroku, pozwalając jej mnie wyprzedzić. Patrzyłem na nią z pewnej odległości. Wpatrywałem się w jej biodra i tyłek. Wyobrażałem ją sobie nago.

Nagle coś przyszło mi do głowy. Domyśliłem się nawet, dlaczego nie poznałem jej od razu.

– To wszystko przez fartuch! – krzyknąłem podekscytowany.

Zofia się odwróciła. Przypomniałem sobie nawet jej imię. Była salową w szpitalu, w którym cerowano mnie po próbie własnoręcznego wyprucia sobie flaków.

– Brawo, brawo! Wreszcie sobie przypomniałeś! A już się martwiłam, że sama będę musiała odświeżyć ci pamięć.

– Nigdy wcześniej nie widziałem cię ubranej... w normalne ciuchy.

– Wybaczam ci.

Roześmiałem się i poklepałem po brzuchu.

– I tak, masz rację. Po ranie została już tylko blizna. Poza tym ani śladu.

– Cieszę się. Żal było patrzeć, jak przy każdym kaszlnięciu rozrywałaś sobie szwy.

Parsknąłem. Wolałbym o tym zapomnieć.

Zofia zatrzymała się przy przystanku. Zerknęła na rozkład i skinęła na mnie palcem. Zmarszczyłem brwi.

– Co takiego? – zapytałem, zbliżając się do niej.

– Zakupy. Masz moje zakupy.

Zmieszany, pośpiesznie podałem jej torbę.

– Dziękuję.

– Spotkamy się jeszcze? – wybełkotałem ledwie zrozumiale.

Skinęła głową. Na przystanek właśnie zajechał tramwaj. Zadzwoił dzwonek i otworzyły się drzwi.

– Jutro o tej samej porze i w tym samym miejscu? – zawołała, wsiadając. – Znowu pomożesz mi przy zakupach.

Zdażyłem się jedynie uśmiechnąć. Pobiegłem za tramwajem, unosząc kciuk i mając nadzieję, że Zofia zrozumie, co mam na myśli.

31.

Nie uprawialiśmy seksu. Zofia postanowiła, że zaczekamy z tym aż do ślubu. Nie protestowałem. Właściwie – nie przeszkadzało mi to. Moje libido znów wkroczyło w okres uspokojenia. Nie potrzebowałem wyobrażeń. Nie potrzebowałem wspomnień.

Przynajmniej przez jakiś czas.

Pobudzenie zacząłem odczuwać dopiero na krótko przed weselem. W umyśle ponownie przewijały mi się obrazy spotkanych kobiet i zwłok podglądanych w Krośnicach.

Jednak powstrzymałem się. Mimo pokusy nie wybrałem się nad Rusałkę i zrezygnowałem ze spacerów po parkach. Bałem się, że gdyby mnie przyłapano, wszystko bym zepsuł.

Między innymi przez to psychiatrzy uznali, że przez całe życie byłem poczytalny. Według nich wyrachowanie przeczy szaleństwu. Jeśli mają rację, to wolę się nawet nie domyślać, czym jest szaleństwo.

Przecież to coś innego niż głupota.

A ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że moment zaspokojenia jest blisko. Marzyłem jedynie, by Zofia była równie uległa jak tamta prostytutka. Gdy dowiedziałem się, że będę jej pierwszym facetem, nie miałem już wątpliwości. Brałem ją całą w posiadanie.

Wreszcie stała się moja.

Jakiegolwiek obawy okazały się bezpodstawne. Naszą pierwszą noc spędziliśmy na igraszkach. Zofia była mi posłuszna, a ja udawałem wielce doświadczonego mężczyznę. Chyba jej to odpowiadało. Może nigdy nie domyśliła się prawdy, a może rozgryzła mnie już na początku. Kilukrotnie się nad tym

zastanawiałem. Zdaje się, że wcale nie chciałem poznać odpowiedzi.

Przez pierwsze miesiące kochaliśmy się nawet ponad dwadzieścia razy w tygodniu. Czasem trzy lub cztery razy dziennie. Poznawaliśmy swoje ciała i dusze. Przenikaliśmy się.

Robiłem to, na co miałem ochotę. Zofia nigdy nie protestowała i była mi tak uległa, jak tylko może być świeżo poślubiona, niedoświadczona żona. Nigdy nie odważyłem się jej poprosić, aby zamknęła oczy lub leżała całkowicie bezwładnie, ale ona jakby wyczuwała moje pragnienia i robiła to. Rozkładała ręce na boki i pozwalała mi działać. Kilka lat później powiedziała mi, że w takich chwilach po prostu się modliła. Odczuwała przyjemność i jednocześnie chciała, by ta jak najszybciej się zakończyła. To bez sensu.

Wkrótce Zofia zaszła w ciążę i wszystko musiało się skończyć. Trzeba było przerwać nasze zabawy dokładnie w momencie, gdy odczuwałem najsilniejszy popęd. W czasie, kiedy stałem się w pełni świadomy własnej siły i seksualności.

Nie chciałbym zrzucać całej odpowiedzialności na kobiety.

Nie szukam winnych, bo tym zajął się już sąd.

Mimo to kobiety są moim usprawiedliwieniem.

Wkrótce wyruszyłem na łowy. Ta historia jest jak seks i właśnie zmierzamy do punktu kulminacyjnego. Przyjemności należy sobie dozować.

32.

– Zabiję cię. Przysięgam, że cię zabiję.

Dyszałem. Zaciskałem pięści i zęby. Z trudem przełykałem ślinę.

– Jeśli jeszcze raz to zrobisz, zabiję cię.

Przyciągnąłem Zofię do siebie i spojrzałem gdzieś za nią. Nawet w takich chwilach nie potrafiłem patrzeć jej w oczy.

– Rozumiesz?! Rozumiesz, kurwa, co powiedziałem?

Splunęła mi w twarz i się wyszarpnęła. Po raz kolejny upokarzała mnie, nazywając nierobem, menelem lub degeneratem. Kpiła ze mnie.

– Pieprz się – wycedziła. – Nie boję się takiego zera jak ty. Prędzej znów wbijesz sobie nóż w brzuch, niż zdołasz nim kogokolwiek trafić.

Z kołyski naszej córki dobiegł płacz.

– Widzisz, do czego doprowadzasz? Potrafisz tylko tyle. – Zofia spojrzała na mnie z wyrzutem i zaczęła uspokajająco cmoktać.

Awantury zaczęły się kilkanaście dni po porodzie. Zdaje się, że właśnie wtedy rodziny powinny być najszczęśliwsze.

Brakowało mi seksu i poczucia sensu. Uwaga Zofii skupiła się na naszej córce, a ja trafiłem w kąt jak niechciana zabawka. Włóczyłem się po mieście, a po powrocie celowo szukałem pretekstu do kłótni. Nieprzygotowany obiad, zaległości w płatnościach, brak czegoś w lodówce... Wszystko mogło być winą Zofii. A ona zaczęła odważnie odbijać piłeczkę. To doprowadzało mnie do jeszcze większej wściekłości.

– Ciii... ci... – Nachyliła się nad kołyską i uspokajała dziecko. Kiedy przestało płakać, odwróciła się do mnie. Pokręciła

wymownie głową.

„Pieprz się” – pomyślałem, ale nie powiedziałem już ani słowa.

Otarłem jej ślinę z twarzy i ciężko tupiąc, ruszyłem do wyjścia. Zbiegłem po schodach, po czym z ulgą wypadłem na dwór. Chciałem od razu biec nad Rusałkę. Chciałem pędzić do parku i dotknąć jakiegokolwiek kobiety.

Chciałem odwiedzić Bronisławę.

Zrobiłem kilkadziesiąt kroków i przystanąłem. Mój nóż został schowany w szafce. Bez niego czułem się niepewny i słaby. Nerwowo grzebałem dłonią w kieszeni.

– Przepraszam.

Tłusta brunetka trąciła mnie ramieniem. Nasze spojrzenia spotkały się na moment, po czym jednocześnie spuściliśmy wzrok. Po chwili popatrzyłem za nią.

Być może wcale nie była tłusta, lecz ciężarna. Szła ciężko, szeroko rozstawiając nogi. Miała wydatny tyłek, na którym opinała się zielona sukienka w białe grochy. Pamiętam jej zgrabne, umięśnione łydki.

Nie.

Nie była tłusta.

Musiała być w ciąży.

Kobiety w ciąży działały na mnie zniechęcająco. Nagle uleciało ze mnie całe podniecenie. Nabrałem powietrza i zawróciłem do domu. Moje życie miało się zmienić w sposób całkowicie inny, niż przypuszczasz. Nie miałem wtedy przy sobie noża, a z gardła ofiary nie dobywał się charkot.

Przypadek. Ludzkim losem rządzi przypadek.

Ten sam, który rozdziela między nich chciane i niechciane dzieci. Który rozdziela między nich życie i śmierć. Jeśli mi nie wierzysz, zaraz sama się przekonasz.

33.

POZNAŃ

1970 R.

– Pójdź do pani Wandy po sól. Znowu zapomniałam jej kupić, a o tej porze...

– Tak, wiem. Znowu, kurwa, zapomniałaś.

Wstałem z fotela i przeciągnąłem się. Na dworze było już ciemno. Nasza córka spała w kołysce, a Zofia od ponad godziny robiła coś w kuchni. Nie interesowałem się tym. Odpowiadało mi jednak, że mam spokój. Pograżyłem się w myślach.

– Potrzebuję jej jak najszybciej!

– Dobrze, już dobrze.

Wyszedłem na korytarz i trzasnąłem drzwiami. Zapukałem do mieszkania naprzeciwko. Odczekałem kilka sekund, lecz nie było żadnej reakcji. Wanda Kłosowa miała ze sto lat i sądzę, że była przygłucha, więc zapukałem jeszcze raz.

Znacznie mocniej.

Wręcz waliłem do drzwi.

Nic.

Cisza.

Starowina nigdy nie wychodziła po zmierzchu, więc uznałem, że zapewne śpi. Nie słyszałem w rurach szumu wody, nie dobiegł mnie dźwięk telewizora ani radia.

Nacisnąłem klamkę.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłem, lecz był to jeden z tych razów, kiedy poprowadził mnie instynkt. Drzwi nie były zamknięte i ustąpiły.

W mieszkaniu Kłosowej nie paliła się żadna lampa. Zasłony w salonie nie były zaciągnięte i do środka wpadało nieco światła z ulicy. Dostrzegłem okrągły stół, wysokie krzesła, kredens zastawiony porcelanowymi figurkami i łóżko.

– Proszę pani!

Nic.

Cisza.

Zrobiłem krok naprzód i zajrzałem do kuchni. Nie było w niej nikogo. Drzwi do łazienki były uchylone, a światło – zgaszone.

– Halo?

Nie miałem pojęcia, co mogło zmusić Kłosową do wyjścia z domu i zostawienia otwartych drzwi. Sądziłem, że poszła do któregoś z sąsiadów. Może jej również skończyła się cholerna sól.

Zawróciłem do drzwi, gdy przez myśl przeszło mi, że powinienem coś sprawdzić. Wychyliłem się w stronę salonu. Zdawało mi się, że na łóżku dostrzegam jakiś nieregularny kształt. Zmrużyłem oczy, lecz nie byłem pewny.

Zrezygnowany, zbliżyłem się i tuż po przekroczeniu progu pomieszczenia zrozumiałem, że nieregularny kształt to zarys sylwetki. Stałem przy łóżku i przyjrzałem się jej z bliska.

– Proszę pani...

Kłosowa leżała na boku, a jej lewa ręka bezwładnie zwisała ku podłodze. Miała lekko rozwarte usta. Dotknąłem jej szyi, próbując odszukać puls, lecz nie udało mi się.

– Boże...

Nie uwierzysz, co przeszło mi przez myśl. To zabawne.

Zastanowiłem się, czy pamiętam, co się ze mną działo przez ostatni kwadrans. Nie byłem pewny, czy od wyjścia z mieszkania minęło kilka czy kilkanaście minut. Może nie chciałem tego wiedzieć. Przerażony sprawdziłem, czy na ciele Kłosowej nie ma ran zadanych nożem. Obróciłem ją na plecy i przegladziłem grubą

koszulę nocną. Bałem się zapalić światło. Bałem się, że straciłem pamięć.

Gdy nie znalazłem śladów krwi, poczułem ulgę. Odetchnąłem.

I w tym samym momencie wreszcie stałem się sobą.

Choć przysięgam, że z jej śmiercią nie miałem nic wspólnego.

Z PRZESŁUCHANIA EDMUNDA KOLANOWSKIEGO

Większą przyjemność sprawiały mi narządy niż kobiety. Ze względu na to, że może jakąś awersję trzymam do kobiet...

34.

Dlaczego miałbym wiecznie walczyć z kimś, kto ucieka? Albo dążyć do osiągnięcia szczęścia z kimś, kto wyznacza mi pory i warunki tych dążeń? Kto mnie deprymuje? Kto stara się pokazać, że mną gardzi?

Zadziwiająco łatwo usprawiedliwić się przed samym sobą.

Znów uruchamia się film.

Dotykam nogi Kłosowej. Jest zimna, a jej skóra – sucha. Podwijam koszulę nocną. Wciąż nie zapaliłem światła, pokój wypełnia półmrok. Nie przeszkadza mi to.

Przeciągam dłonią po jej pokrzywionym przez wiek kolanie. Gładzę pomarszczone udo. Sprawia mi to tak wielką satysfakcję, że cały drzę.

Nagle przerywam.

Wyprostowuję się i opierając się na łóżku, przesuwam się w stronę głowy kobiety. Odciągam jej koszulę nocną i wsadzam dłoń za dekolt. Chwytam jej obwisłą, galaretowatą pierś. Zaciskam na niej wszystkie palce. Pocieram o nią dłoń.

Już dawno nie czułem się tak podniecony.

Skóra na drugiej piersi jest szorstka i jakby poraniona. Mimo to jej dotykanie sprawia mi przyjemność. Niemalże tracę dech.

Ponownie przesuwam się i niechcący trącam ciało. Głowa bezwładnie opada na bok. Nie zwracam na to żadnej uwagi. Tym razem wsuwam dłoń głębiej między jej uda. Od wewnętrznej strony są mokre. Nie wiem, czy od potu, czy od moczu. Nie interesuje mnie to. Jest moja i tylko moja.

Gdy moje palce dotykają jej rzadkich, szorstkich włosów łonowych, eksploduję. Gładzę jeszcze opuszką kciuka srom.

Nie muszę się dotykać. Rozprężenie przychodzi samo. Przetacza się po moim ciele lodowatym dreszczem. Na chwilę tracę oddech i kręci mi się w głowie. Powstrzymuję się, żeby nie opaść na zwłoki staruszki. Chciałbym dokończyć w niej, lecz już jest za późno.

Mógłbym wszystko powtórzyć.

Tak, mógłbym to wszystko powtórzyć i nikt by się o tym nie dowiedział. Nikt by się mi nie sprzeciwił.

Jednak w momencie, gdy pojawia się ta pokusa, słyszę pukanie. To Zofia dobija się do drzwi sąsiadki. Węszy za mną.

Zaczynam jej nienawidzić.

35.

No dobrze. Kapitan utrzymywał, że mam dobrą pamięć. Rzeczywiście tak jest. Już jakiś czas temu powiedziałem, że wyruszyłem na łowy. Musiałaś na to zwrócić uwagę.

Choć żartowałem, że Zimny chirurg raczej wyrusza na operacje. Nieważne.

Nim zmarła stara Wanda Kłosowa, miałem swoje przyjemności. Czasem się ich wypieram, a czasem wydają mi się jedynie wytworem fantazji.

Ale teraz wiem, że naprawdę ich doświadczyłem.

Pamiętaj, że jestem całkowicie szczerzy.

36.

Przez ostatnie tygodnie ciąży Zofia odsunęła się ode mnie. Nie spaliśmy nawet w jednym łóżku. W połowie października 1970 roku trafiła do szpitala. Alarm był przedwczesny, lecz lekarze postanowili ją zatrzymać aż do rozwiązania.

„Rozwiązanie” to dobre słowo.

Ciąża była problemem.

Problemy się rozwiązuje.

Nie miałem wtedy nic do roboty, więc dużo spacerowałem. Regularnie zapuszczałem się w okolice Dworca Zachodniego, aby oglądać pociągi. Już nie liczyłem przejeżdżających wagonów. Wystawałem w poczekalni i godzinami przyglądałem się wysiadającym z pociągów kobietom.

Przed dworcem był wielki parking. Wokół półokrągłego skweru zawsze tłoczyło się mnóstwo aut, nie tylko podróżnych, lecz także klientów Poczty Głównej, mieszczącej się przy Głogowskiej. Było więc na co patrzeć.

Mówiłem już, że Poznań to piękne miasto.

W hali dworcowej panował duszny, nieprzyjemny zapach. Mimo to naprawdę lubiłem spędzać tam czas. Niekiedy po prostu obserwowałem wskazówki wielkiego zegara, innym razem sterczałem przy wejściu na perony.

Kobieta w tandetnym czerwonym płaszczu stała przy oknie. Doskonale pamiętam jej skórzaną torbę. Szarpała się z nią.

Zadziałałem odruchowo, co każe mi myśleć, że jednak jestem dobrym człowiekiem.

– W czymś pomóc? – zagadnąłem.

Podniosła się i spojrzała na mnie niepewnie. Wreszcie wskazała na uchwyt.

– Oderwał się. Nie mogę jej nieść.

– Mogę zerknąć?

Skinęła głową.

Kucnąłem przy torbie i przyjrzałem się mocowaniu uchwytu. Rączka była oderwana. Mocujący ją nit pękł, ale zaciskając go palcami, zdołałem wygiąć blaszkę tak, że zahaczyła o skórę. Zadowolony zatarłem dłoń.

– Powinno wystarczyć. Przynajmniej na jakiś czas.

Kobieta się uśmiechnęła. Chwyła torbę i przyjrzała się uchwytowi.

– Pięknie dziękuję.

– Nie ma za co – zapewniłem szarmancko. A może jedynie to wybełkotałem.

– Bez uchwytu miałabym cholerny problem. Nie wiem, jak panu dziękować...

– Wystarczy, że wypije pani ze mną kawę.

Zmarszczyła czoło i zmrużyła oczy.

– Nie mam czasu. – Potrząsnęła głową. – Dziś bardzo się śpieszę.

– A jutro?

– Ja...

– Tu, w kawiarni dworcowej.

Przez chwilę się zastanawiała, wreszcie obrzuciła mnie zaciekawionym spojrzeniem. Uśmiechnęła się.

– Zgoda. O tej porze, co dziś. Około szesnastej.

Przyznam się ci, że nie wierzyłem, że kobieta się pojawi. Mimo to kolejnego dnia ubrałem się w najlepsze łachy i wyczekiwałem. Na dworcu byłem już po piętnastej.

Chodziłem między podróżnymi i łypałem na przesuujące się wskazówki zegara. Gdy dochodziła za trzy czwarta, a ona wciąż

się nie pojawiła, poczułem zrezygnowanie. Stałem przy samej kawiarni. Założyłem ręce na piersi i czekałem.

Pięć, dziesięć minut.

Po kwadransie schowałem dłonie do kieszeni i uznałem, że powinienem wrócić do domu. Naszły mnie wątpliwości. W końcu moja żona lada dzień miała urodzić nasze dziecko. Czego w ogóle oczekiwałem po tym spotkaniu?

– Przepraszam za spóźnienie! – Usłyszałem, gdy zbliżałem się do wyjścia.

A więc przyszła.

Natychmiast się odwróciłem i szeroko uśmiechnąłem. Zza pazuchy wyciągnąłem czerwoną różę.

37.

– Do Baborówka.

– Jeden?

– Dwa.

Pamiętam, że kasjerka miała prostokątne oprawki okularów i duże złote kolczyki. Zdaje się, że była tak szczupła, że pod zakietem nie dostrzegłem nawet wypukłości piersi. Zwróciłem na to uwagę. Ten szczegół utkwił mi w pamięci na zawsze.

Dziewczyna, z którą wypiliśmy kawę, przedstawiła się jako Kazia. Po trwającej co najwyżej pół godziny rozmowie o niczym zaproponowała, byśmy pojechali do jej domu koło Szamotuł. Twierdziła, że jest zmęczona, lecz chciała, bym dotrzymał jej towarzystwa. Namawiała mnie, a ja się nie opierałem.

Nie wiem, w jakiej miejscowości mieszkała. Zdradziła mi tylko, że musimy wysiąść w Baborówku. To wszystko.

Jeszcze nim znaleźliśmy się w pociągu, wyobraziłem ją sobie nago. Pomyślałem o jej łonie i gładkości ud. Pożądałem jej, lecz nie miałem odwagi tego powiedzieć. Czekałem na rozwój wypadków.

W przedziale razem z nami siedziało starsze małżeństwo oraz kilkoro uczniów. Dzieciaki wracały pewnie po lekcjach do domów. Zerkwały na mnie tak, jak niekiedy zerkają na ciebie w autobusie. Czasem żartowały, a ja nie miałem pojęcia, czy nie śmieją się właśnie ze mnie. Nigdy nie przepadałem za gówniarzami.

W pewnym momencie Kazia złapała mnie za rękę i delikatnie ją pogładziła. Nachyliła się, po czym oparła głowę na moim ramieniu.

– Podobam ci się? – zapytała szeptem.

Wypuściła powietrze w stronę mojego ucha tak, że przebiegł mnie dreszcz. Odwróciłem się do niej. Monotonny stukot kół i panujący w wagonie zaduch nieco przytępiły moje zmysły. Zrobiłem się śpiący, lecz zadane pytanie natychmiast mnie otrzeźwiło.

Spuściłem oczy. Wciąż nie potrafiłem utrzymać z kobietami kontaktu wzrokowego. Nie potrafiłem utrzymać go z nikim. Nawet z własnym odbiciem.

– Tak... – wymamrotałem.

– Nie brzmisz przekonująco.

– Nie, wcale nie.

– Czyli ci się nie podobam – udała obruszenie.

– Nie. Nie w tym rzecz. Chodziło mi o bycie przekonującym. Nie o podobanie.

– Czyli podobam ci się?

– Tak. Bardzo.

Kazia uśmiechnęła się i pogładziła mnie po udzie. Przez chwilę milczeliśmy. Siedzące naprzeciw nas małżeństwo roztrząsało, jak wielki błąd popełnili, sprzedając samochód. Jakby w życiu nie było większych problemów.

Kazia przysunęła się jeszcze bliżej mnie. Nasze ubrania się stykały.

– A co ci się we mnie podoba?

Wzruszyłem niezdarnie ramionami.

– No... Wszystko.

– Powiedz konkretnie. Co ci się we mnie podoba?

Powiodłem wzrokiem po jej sylwetce, a wtedy Kazia wybuchła śmiechem.

– Jesteś uroczy – wyszeptała i ugryzła mnie w płatek ucha. – Chcę się z tobą kochać. Potrzebuję tego.

Zamurowało mnie. Chciałem natychmiast odpowiedzieć, lecz czułem, że załamaby mi się głos. Wbiłem sobie paznokcie we wnętrza dłoni i powoli uspokoiłem oddech.

– Ja też – odparłem wreszcie.

Przeszło mi jeszcze przez myśl, że może Kazia jest prostytutką i będzie chciała za to pieniędzy. A potem pomyślałem, że być może uśmiechnęło się do mnie szczęście.

Moje szczęście było pechem dla innych.

Tak już się to wszystko toczyło.

38.

– U mnie w domu będzie wygodnie. Zobaczysz, spodoba ci się.

Zastanowiłem się, czy moja żona w coś mnie nie wrabia. Czy Kazia nie jest przypadkiem jej znajomą, która ma sprawdzić moją wierność.

Nie. To niemożliwe.

Poza tym... Wystarczyło, że powiodłem za nią wzrokiem i popatrzyłem na jej biodra. Wszystkie wątpliwości natychmiast się rozwiały.

Wyskoczyłem za nią z pociągu i ruszyłem po niewielkim peronie. Było już ciemno, ale jak na koniec października – pogodnie i ciepło.

– Lubisz tarniówkę?

Kazia była kilka kroków przede mną. Skręciliśmy w wąską ścieżkę przy nieużytkach. Szedłem powoli, nie wiedząc, czy nie ma w niej dziur.

– Lubię – skłamałem, bo po tarniówce zawsze piekielnie bolała mnie głowa. Zresztą nie lubiłem żadnych smakowych alkoholi.

– Mam też cassisa. Co prawda, to nie Słoneczny Brzeg, ale wszystko da się wypić, nie?

Mówiła zbyt pewnym głosem. Zachowywała się, jakby już o wszystkim zdecydowała. Było w niej zbyt wiele życia oraz niefrasobliwości. Było w niej zbyt wiele wiary w siebie.

– Ano.

– Najpierw walniemy sobie po kielonku, a potem się zabawimy, Edku. Edku? A może wolisz: Edmundzie?

– Wszystko jedno. Może być Ed.

– Ed też brzmi świetnie. Niech będzie Ed. Jeszcze nie spotykałam się z żadnym Edem, więc możesz czuć się wyróżniony!

– Cieszę się.

– To naprawdę ciekawe. Choć poznałam jednego Edwarda i był naprawdę w porządku. Do niego mówiłam „Edku”.

– Dlatego ja wolę być Edem.

– Dla odmiany? Jesteś indywidualistą? Zawsze podobali mi się indywidualiści.

Ścieżka stawiała się wyboista i nagle zakręciła w las. Kazia nadal szła kilka kroków przede mną, jakby chciała się pochwalić, jak dobrze zna drogę.

Zaczynałem się dziwnie denerwować. Mimo że było chłodno, oblał mnie pot.

Przed oczami stanął mi obraz jej całkowicie nagiej, wyliczającej, co będziemy robić. Mówiącej, w jakiej pozycji powinienem ją wziąć. Szepczącej do ucha perwersyjne rozkazy. Wymagającej posłuszeństwa.

Wymagającej uległości.

– To niedaleko – zapewniła. – Nie zdążysz nawet się zmęczyć. Zresztą dobrze, żebyś zachował siły. Cassis stawia na nogi lepiej niż kawa. Lubisz kawę?

– Nie bardzo.

– Ja też. Procenty działają szybciej i mocniej. Jesteś rozsądnym człowiekiem. Naprawdę coraz bardziej mi się podobasz. Do tego...

Przestałem słuchać. Każde wypowiedziane pewnym tonem słowo wbijało się w moje podniecenie jak drzazga. Sprawiało mi nieprzyjemny ból. Czułem się, jakby ta kobieta umyślnie mnie obrażała.

Jakby ze mnie drwiła.

Wiedziałem, że nie dam rady jej zaspokoić.

– Kaziu...

– Tak?

– Kaziu... – powtórzyłem.

Zatrzymała się i zerknęła przez ramię.

W tym momencie z całej siły uderzyłem ją grubym konarem.

Słyszałem, jak pęka jej kość policzkowa.

Zachwiała się, więc natychmiast uderzyłem ją po raz kolejny.

I znów.

Wtedy upadła na ziemię.

Nie mogła mi się przeciwstawić.

Była cała moja.

Cała.

39.

Suchy konar łamie się na kawałki. Razem z nim łamie się nos Kazi. Po jej twarzy spływa krew. Ale to nic.

Twarze nigdy mnie nie interesowały.

Ci, którzy mówią, że oczy są zwierciadłem duszy, mogą mieć nieco racji. Wypływające z oczodołów gałki oczne z pewnością ulatują z ciała razem z duszą.

Nachylam się nad Kazią i słyszę gasnące rżenie, które miesza się z odgłosami lasu głąskanego delikatnym wiatrem. Kobieta oddycha przez pełne powybijanych zębów, zmasakrowane usta. Jej nos jest wygięty w prawo niemal pod kątem prostym.

Ścieżka wydaje się całkowicie nieuczęszczana, ale nigdy nic nie wiadomo. Poza tym nie jest jeszcze zbyt późno. Ktoś mógłby nią iść choćby właśnie z dworca do domu. Jak jeszcze przed chwilą my dwoje.

– No dobrze... – mówię do siebie, starając się nieco uspokoić. – No dobrze...

Chwytam Kazię za nogi i ciągnę ją na skraj lasu. Nie ma tu krzaków, lecz nikt idący drogą nie dałby rady nas zobaczyć. Kryją nas powalone drzewo oraz hałda ziemi.

– Ej... – Trącam Kazię czubkiem buta.

Nie rusza się. Nie słyszę już również rżenia.

– Kaziu...

Kucam, po czym podciągam jej pobrudzony płaszcz. Z każdą sekundą mam coraz mocniejsze poczucie kontroli i wzrasta we mnie podniecenie. Wyrywam guzik, by móc wywinąć połę płaszcza jeszcze mocniej.

Następnie podnoszę jej sukienkę. Ściągam majtki i przytykam je do nosa. Zaciągam się zapachem Kazi. Przez chwilę głęboko nabieram powietrza i powoli je wypuszczam.

Dość.

Nie mam czasu.

– Tak bardzo bym chciał wziąć cię do siebie do domu...

Wsadzam jej majtki do kieszeni, lecz zaraz się rozmyślam. Nie. Tym razem zrobiłem coś naprawdę wspaniałego i nie może się skończyć po prostu na bieliźnie.

Wyciągam z kieszeni scyzoryk. Przeciągam Kazię za nogi tak, by światło księżyca padało na jej łono.

Nie mogę tego zepsuć.

Wbijam ostrze w skórę i prowadzę je pewnym ruchem. Kazia jest ogolona, lecz staram się ciąć po linii włosów łonowych.

Pod palcami czuję, że wypływa z niej krew.

Nagle słyszę ciche jęknięcie, a po jej ciele przebiega dreszcz, jakby wzdrygała się przed moim dotykiem.

– Źle ci? – pytam, dysząc. – Źle ci, kurwa?!

Rozchylam jej uda i schodzę cięciem niżej. W tym miejscu muszę głębiej wbijać nóż. Krew razem z wydzielinami spływa mi pomiędzy palcami.

Prowadzę ostrze ku górze i łączę linie. Moje dzieło jest prawie skończone.

Ocieram scyzoryk o trawę.

Wkładam palce w ranę i oddzielam moje trofeum od reszty ciała. Rozrywam przegapione mięśnie i ścięgna. To brzmi jak ciche, niezadowolone mlaśnięcie. To jej ostatni protest.

Wyrywam kobiecość Kazi.

Jest moja.

Teraz naprawdę jest cała moja.

Z PROTOKOŁU

Po wycięciu tych narzędzi chodziłem trochę po tym lesie i zauważyłem doły po wybieraniu piasku. Wtedy wziąłem zwłoki [...], zaciągnąłem do tego dołu. Ułożyłem przy samej skarpie i zasypałem je piaskiem.

40.

Po zasypaniu zwłok opada ze mnie napięcie. Nie widzę obrazu w czasie terażniejszym. Film się odtwarza, lecz jego jakość nie jest już tak dobra.

Ściskając wycięte narządy Kazi, wróciłem do miejsca, gdzie dokonałem swojej pierwszej operacji. W powietrzu wciąż unosił się specyficzny, słodkawy zapach. Zrobiłem kilka kroków w jedną i w drugą stronę. Nadal byłem pobudzony.

Przy drodze zobaczyłem worek po cemencie, do którego wrzuciłem zakrwawiony srom. Zawinałem go i pomyślałem, że nikt nie zwróci na mnie uwagi.

Przynajmniej nikt nie powinien tego zrobić.

Chciałem zaryzykować.

Nie. Wcale nie chciałem.

Musiałem.

Starannie otarłem o zroszoną rosą ściółkę krew z dłoni. Potem na wszelki wypadek jeszcze kilkukrotnie szorowałem je piaskiem. Tarłem tak mocno, że sam się poraniłem. Drobinki piasku wbijały mi się w skórę i wchodziły pod paznokcie.

Nie mogłem ściągnąć na siebie uwagi przez cholerną krew. Choć z przyjemnością zachowałbym na sobie smak Kazi.

Nie. Nie mogłem tego tak zostawić.

Jeszcze kilkukrotnie roztarłem w dłoniach piach zmieszany z grudami ziemi. Wreszcie uznałem, że po krwi nie ma już ani śladu.

Szkoda.

Chciałem wziąć coś ze sobą. Mój wzrok padł na białą torebkę, którą Kazia wciąż ścisnęła w dłoni. Zastanowiło mnie, co może być w środku. Pokusa momentalnie zwyciężyła. Delikatnie rozprostowałem jej palce i wyjąłem z nich uchwyt. Złożyłem torebkę na pół, aby nikt nie zwrócił na nią uwagi. Przez całą drogę powrotną trzymałem ją tuż przy sobie. Opierałem się o nią plecami lub zasłaniałem połą kurtki. Przyjemnie było czuć jej bliskość.

Dopiero gdy wróciłem do domu, odważyłem się przejrzeć jej zawartość. W portmonetce znalazłem sto dwadzieścia złotych oraz kilka zdjęć. Poza tym trafiłem na jakieś papiery i dokumenty. Nawet ich nie oglądałem. Życie Kazimierzy już mnie nie interesowało.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Kiedy w końcu przyszło odprężenie, towarzyszyły mu najwspanialsze sny erotyczne, jakie kiedykolwiek śniłem. Taka jest siła pierwszego razu. Obudziłem się świeży i wypoczęty. Umyłem się, porządnie wyszorowałem ubrudzone ziemią oraz piaskiem dłonie, po czym zjadłem obfite śniadanie. Dopiero przy nim uświadomiłem sobie, że przez ostatnie kilkanaście godzin nic nie jadłem. Z samego rana odwiedziłem Zofię. Dziecko wciąż nie chciało przyjść na świat i moja żona strasznie się męczyła. Ścisnąłem jej dłoń. Pocieszałem.

Choć w głowie nadal przewijały mi się wspomnienia z poprzedniego wieczoru, czule głaskałem jej włosy. Uśmiechałem się, jakby zamiast całego świata istniała dla mnie tylko ona. A wtedy już wiedziałem, że to nieprawda.

– Co tam masz? – Wskazała nagle na moją torbę na zakupy.

Wzruszyłem ramionami. Byłem dobrym mężem.

– Kupiłem parę warzyw na obiad. Kiedy wrócisz, lodówka nie może świecić pustkami.

Zofii zaskrzyły się oczy.

– Dziękuję. Już nie mogę się doczekać.

Ciężko stęknęła i bezsilnie opadła na poduszkę. Czoło miała pokryte potem, a jej pierś unosiła się w rytmie przyspieszonych oddechów.

– Gdy wyjdiesz ze szpitala, zrobię dobry obiad – obiecałem.

– Mhm...

– Zosiu...

– Nie mogę się doczekać.

– Ja też, kochanie.

Być może właśnie wtedy rozpoczął się poród, a może tylko nadal trwały katusze. Nie chciałem na to patrzeć. Pąsowiejące policzki, pękające naczynka w oczach, głębokie wdechy i szybkie wydechy.

Pośpiesznie wyszedłem ze szpitala i skierowałem się w stronę Warty. Już wcześniej wszystko obmyśliłem. Pamiętam, że przed laty byłem z matką na otwarciu mostu Marchlewskiego[3]. Pamiętam pierwsze tramwaje, które po nim przejechały. Wówczas jednak był środek upalnego lata, a teraz – szary październik. Szedłem szybkim krokiem, starając się rozgrzać. Nie kipiały we mnie żadne emocje. Nie myślałem już nawet o Zosi ani o porodzie. Na głowie miałem coś innego.

Dochodziła dziesiąta rano i ruch był niewielki. Spojrzałem na leniwy nurt Warty. Poziom rzeki był dość niski, ale biło od niej chłodem. Wychyliłem się i ukradkiem wyrzuciłem białą torebkę. Jednak jeszcze nie zapomniałem o Kazi.

W domu czekała na mnie jej najistotniejsza część.

Z PROTOKOŁU

Przez parę dni je [narządy płciowe Kazimierzy] miałem. Nie preparowałem ich ani też nie przyszywałem do lalki, bo wtedy jeszcze lalki nie robiłem. Miałem je kilka dni, a potem wyrzuciłem.

Wyrzucona przez Kolanowskiego torebka ofiary nie trafiła do Warty, a wylądowała obok koryta. Została znaleziona przez robotnika prowadzącego w pobliżu prace. Choć

odkryto na niej ślady krwi, nie zdołano dokonać żadnych konkretnych ustaleń. Technika badań pozwalała ówczesnie wskazać jedynie grupę krwi bez możliwości porównania próbki z DNA. Wszczęte wówczas dochodzenie zostało zamknięte bez rozstrzygnięcia.

[3] Obecnie most św. Jadwigi – przyp. autora.

41.

Co stało się potem? Nic. To jedyna właściwa odpowiedź.

Nic, co sprawiłoby mi satysfakcję.

Zofia urodziła mi córkę, lecz nie czułem do niej żadnego głębszego uczucia. Bałem się jedynie, że mógłbym jej zrobić krzywdę.

Upuścić. Zgnieść.

Lub że mógłbym jej pożądać, co wzbudzało we mnie odrazę.

Przez pewien czas nasze awantury nie wybuchały tak często jak dawniej. Staraliśmy się odnosić do siebie z pewną czułością. Byliśmy mamuszką, tatuśkiem oraz bobasem. Tworzyliśmy normalną rodzinę. Być może był to nawet najlepszy okres naszego związku.

Tydzień... Dwa...

Wyciszyłem się. Śmierć Kazi sprawiła mi ulgę. Jakby to moje życie dobiegło końca. Na pewien czas zaspokoilem swój popęd. Przestały ożywać we mnie wspomnienia i przewijać się obrazy. Wystarczyło, że kilkukrotnie się zaspokoilem, dotykając wyciętych z kobiety narządów.

Potem całkowicie o niej zapomniałem.

Chyba już rozumiesz, dlaczego stojąc nad staruszką Wandą, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie straciłem pamięci. Czy nie zamordowałem jej tak jak Kazimiery. Bałem się, że straciłem na chwilę świadomość i kontrolę nad sobą.

Zacząłem panikować. Przez moment czułem się, jakby zepchnięto mnie na skraj obłądu. A potem, gdy zrozumiałem, że staruszka po prostu umarła, spłynęła na mnie ulga. Wraz z nią

pojawił się gwałtowny popęd. Pobudzała go świadomość, że będzie mi tak samo posłuszna jak Kazia.

Mam nadzieję, że choć trochę mnie rozumiesz. Jeśli nie – nie zamierzam się więcej tłumaczyć.

Życie toczy się własnymi ścieżkami. Ktoś może się mną brzydzić, a ktoś – podziwiać. Sam staram się spojrzeć na to z różnych perspektyw. Akurat na roztrząsanie własnej przeszłości mam dużo czasu. A później okazuje się, że mam ją głęboko w dupie. Jestem tu i teraz, a jutro może mnie nie być.

Szlag.

Znowu zaczynam o tym myśleć i staję się nerwowy. Muszę się uspokoić. No więc dobrze, powróćmy do naszej historii.

W 1972 roku urodziła się moja druga córka. To jeden z faktów, które większość rodzin odnotowuje wielkimi literami. Córka, córeczka, powód do dumy ojca.

Księżniczka. Słodziutka.

Ja wtedy spojrzałem na to całkiem inaczej.

42.

– Kocham cię.

Nie wiem, czy brzmiałem przekonująco. Nie wiem, czy kiedykolwiek Zofia wierzyła w te słowa. Przede wszystkim nie mam bladego pojęcia, czy sam w ogóle rozumiałem, czym jest miłość. Lekarze wzbudzili we mnie wątpliwości. Wątpliwości drążą duszę i każą się zastanawiać.

Mam to gdzieś.

Przynajmniej tak zapewniam.

Z całą pewnością do Zofii czułem mocny, niesłabnący pociąg. Gdy leżała obok mnie na łóżku, gładziłem jej piersi. Przytulałem ją i pieściłem. Całowałem jej brzuch.

W kołysce obok nas leżał noworodek. Druga córka spała na łóżeczku w kącie pokoju.

– Kocham cię – powtórzyłem i po raz kolejny zacisnąłem dłoń na piersi Zofii. Przyciągnąłem ją mocniej do siebie. Miała luźną koszulę nocną, a dotykanie jej materiału nakręcało mnie jeszcze bardziej.

– Przestań.

Nie zwróciłem uwagi na ten protest. Pieściłem ją nadal i oddychałem coraz szybciej.

– Powiedziałaś: przestań.

– Kocham cię.

– Chcesz mieć kolejnego bachora? Zastanów się lepiej, jak nas utrzymasz.

– Ale, Zosiu...

Dotknąłem jej brzucha. Drgnęła i odwróciła się do mnie plecami.

- Nawet nie próbuj.
- Pragnę cię. Ja muszę...
- Jesteś zwierzęciem, że musisz?

Sapnąłem. Zacisnąłem zęby i zerwałem się z łóżka. Wiedziałem, że teraz szybko nie zasnę.

To ostatnio powtarzało się codziennie. Przestaliśmy uprawiać seks, co na pewno jest szalenie istotne dla podtrzymania miłości. Zofia przeraźliwie bała się następnej ciąży. Nie chciała słyszeć nawet o seksie z zabezpieczeniami ani o innych zabawach. Nie interesowały ją żadne igraszki. Jakby razem z macierzyństwem uleciała z niej cała fizyczność i stała się jakąś cholerną świętą. Robiła nawet świętoszkowatą minę, która doprowadzała mnie do furii. Zaspokojenie mnie przestało się dla niej liczyć. Skupiona na noworodku i niemowlęciu przestała interesować się moim szczęściem.

Być może wszystko jest winą kobiet.

Być może ty również jesteś winna swojej ciekawości. W końcu słuchasz tej historii i nie starasz się mi przerywać.

Wiem, że nie chciałem cię skrzywdzić, potrzebowałem jedynie zaspokojenia.

43.

W lipcu lub sierpniu 1972 roku, po latach omijania go szerokim łukiem, znów wróciłem na cmentarz miłostowski. Był późny wieczór, właściwie noc. Nagrzana w ciągu dnia ziemia oddawała teraz swój grobowy zapach. Gdzieniegdzie migotały znicze. Ich światło wyraźnie znaczyło drogę.

Przeszedłem niezauważony przez mur. Zapewne znajdowałem się tu całkiem sam, jednak w każdej chwili byłem gotów rzucić się do ucieczki. Woląłem uniknąć wylegitymowania i jakichkolwiek problemów.

Znałem niemal każdy kawałek tego terenu. Przed oczami znów przewinęły mi się wspomnienia: brata, matki i godzin, które spędziłem w uszkodzonym grobowcu. To były dobre chwile. Wtedy byłem naprawdę szczęśliwy. Choć może to czas wypacza odbiór rzeczywistości i to, co bezpowrotnie minęło, zawsze zdaje się lepsze od tego, co jest.

To ładna myśl, lecz nieprawdziwa. W dzieciństwie nigdy nie czułem się tak jak wtedy, gdy dotykałem Kazi lub starej sąsiadki. Nigdy nie wprawiłem się w stan podobnej ekscytacji. To coś metafizycznego. Chciałbym opisać to jak najdokładniej, lecz nie potrafię. Chciałbym do tego wrócić...

Drogę na cmentarz pokonałem w stanie odurzenia, jakbym wcześniej wypił kilka głębszych lub dał sobie w żyłę. Jednak powoli obraz się wyostrza i wspomnienia ozywają ze zdwojoną siłą.

Już tam dotarłem. Jestem podniecony i nabuzowany energią.

Chwytam kolejne zasłaniające świeży grób płyty. Staram się nie narobić przy tym zbędnego hałasu, więc męczę się podwójnie. Zamiast przesuwac, unoszę je i odkładam na bok.

Wyprostowuję się, aby ochłonać. Po czole ścieka mi pot, do którego przykleja się pył. Ocieram go dłonią, a następnie biorę głęboki wdech. Rozglądam się wokół. Z ulgą upewniam się, że nikogo nie ma.

Nie mogę się doczekać tego, co stanie się za kilka chwil. Zaczynam drzeć z podniecenia. Otwór jest dość duży, bym mógł się przez niego prześlizgnąć.

Już.

Czekałem wystarczająco długo, by niczego nie odwlekać.

Zeskakuję do środka i staję obok trumny. Wspomnienia sprzed lat ozywają jeszcze mocniej. Przez moment nie mogę skupić myśli na niczym innym.

Dość.

Powoli wciągam powietrze. Z trudem się uspokajam i jeszcze raz nasłuchuję. Ciszy cmentarza nie zakłóca żaden niepokojący dźwięk. Nawet wiatr nie porusza liśćmi drzew.

To dodaje mi sił.

Dopadam do śrub mocujących wieko trumny i pośpiesznie je usuwam. Nie ma z tym żadnego problemu. Przesuwam pokrywę na tyle, by dostrzec ciało.

Widzę czarną suknię i lśniące buciki.

Z ulgą wypuszczam powietrze. Podniecony, niemal osuwam się na kolana. Opieram się na skraju trumny i dotykam zwłok. Twarz tonie w mroku, lecz zdaje się, że zmarła miała trzydzieści albo czterdzieści lat. Wciąż ma jędrną skórę, ale pokrywa ją śliski nalot. Nie zważając na niego, podwijam jej suknię.

Cały drzę.

Gładzę wewnętrzną stronę jej ud. Są wilgotnawe i zimne. Znacznie zimniejsze niż uda starej sąsiadki. Delikatnie je

rozchylam. Dotykam bielizny, po czym powoli ją ściągam.

Żałuję, że nie wziąłem latarki. W półmroku ledwie rozróżniam kształty, lecz przez to dotyk przynosi mi jeszcze większe doznania.

Prawą dłonią dotykam sromu kobiety. Palce lewej kompulsywnie zaciskają się na brzegu trumny. Z trudem oddycham. Niemalże się zataczam, bo nie mogę powstrzymać narastającego podniecenia.

Jestem jak pijany.

Podniecenie rozsadza mnie od środka niczym narkotyk.

Wyprostowuję się i staram odłożyć w czasie moment spełnienia, ale nie jestem już w stanie. Niemal natychmiast ponownie pochylam się nad trumną, po czym oburącz pieszczę nieruchome ciało. Krocem dotykam do skraju trumny. Ocieram się o nią i upajam się chwilą szczęścia.

Jest dokładnie tak, jak sobie wymarzyłem. Sam o wszystkim decyduję. Szumi mi w głowie, a serce dosłownie łomocze o żebra. Wbijam palce w martwe łono.

Drzę, drzę, drzę...

Szczęście rozlewa się po całym moim ciele i odbiera mi czucie w nogach. Z głośnym jękiem opadam na kolana.

Z PROTOKOŁU

Miałem przypadek wykopania zwłok kobiecych z grobu na cmentarzu w Miłostowie. Zrodził się u mnie taki pomysł, aby wykopać zwłoki. Trudno mi jest określić, co było powodem tego. Przystępując do odkopywania grobu, byłem już w podnieceniu. Było to jakiegoś takie napięcie, że aż się trzęsłem.

44.

Gładzę ją. Gładzę jej zimną, wilgotną skórę. Zrzucam z niej czarną żałobną suknię, ściągam ją, zrywam.

Gubię się w fałdach materiału, wreszcie rozszarpuję go na strzępy. Dyszę, rozrywając kolejne szwy. Dopadam do niewielkich, dziwnie bezkształtnych piersi. Zaciskam palce na sutkach. Miażdżę je.

Schodzę niżej po twardym, rozdętym brzuchu. Jakby zmarła była w ciąży. Być może nadal tkwi w niej dziecko. Tylko czy w takich przypadkach nie dokonuje się sekcji? Widziałem jedną, gdy na stole leżała ciężarna, w tym momencie jednak nie potrafię przywołać tego wspomnienia.

Tamten film się zacina.

Jestem tu i teraz.

Na ciele zmarłej z pewnością nie czuję śladów po szwach, a przecież tak dobrze wiem, któredy powinny być prowadzone nacięcia. Nie skupiam się na tym. Wiodę dłońmi niżej, niżej...

Dopadam do ud kobiety i je rozchyłam. Pochyłam się nad trumną, po czym zaczynam całować zimną, lepką skórę. Liżę ją. Kosztuję centymetr po centymetrze.

Wyprostowuję się i zaciskam palce na jej udach. Wkładam je do sromu zmarłej, później do pępka. Robię to, na co tylko mam ochotę. Nikt nie może mnie powstrzymać.

Moje dłonie są lepkie od potu. Ocieram je o zimne, mocno zarysowane biodra. Głaszczę je tak, jak dzieci głaszczą koty.

Wyprostowuję się i spoglądam w twarz kobiety. Jest sztywna, a jej rysy – napięte. Nagle wąskie, blade usta się otwierają

i wyginają w uśmiechu. Widzę rzędy zepsutych czarnych zębów. Ze środka wychyla się obrzęknięty, gnijący język.

Przypatruję się temu z zaciekawieniem, ale po plecach spływa mi dreszcz. Nie wiem, czy ze strachu, czy z podniecenia.

Nie mogę się jednak powstrzymać. Ponownie patrzę na jej kobiecość i w tej samej chwili chcę osiągnąć spełnienie.

Już.

Teraz.

Natychmiast.

– Edmund!

Otwieram oczy. Nabieram powietrza i mrugam. Przez chwilę nie wiem, gdzie jestem, lecz w końcu rozpoznaję swoją sypialnię. Słyszę płacz córki. Zofia stoi obok łóżka i trzyma ją w ramionach.

– Twój wrzask ją obudził! Co się z tobą dzieje?

– Ja... Ja... Nie wiem.

– Odbija ci! To już kolejny raz. Drzesz się jak zarzynane zwierzę!

– To tylko cholerny sen.

– Jesteś nienormalny.

„Jestem” – myślę, ale już się nie odzywam.

Leżę złany potem i wpatruję się w sufit. W umysł wżyna mi się płacz młodszej córki. Starsza gaworzy coś do matki. Przed oczami wciąż mam wykrzywioną twarz martwej kobiety. Nie wystraszyła mnie. Była mi tak samo obojętna jak wszystkie twarze kobiet.

Nie wierzę w znaczenie snów, lecz potrafię dokonać tylko jednej jego interpretacji. Mój popęd musi zostać zaspokojony. Znów jestem w fazie, kiedy po prostu potrzebuję dać upust emocjom. Skoro Zofia nie chce ich ze mną dzielić, muszę sobie radzić inaczej.

Jeżeli zdam się tylko na sny, kiedyś oszaleję. Nie można tak dłużej żyć.

Nie można tego tłamsić.

Nie można.

Wstaję z łóżka i idę do łazienki. Obmywam twarz zimną wodą, po czym wracam do sypialni. Poljot z pękniętą szybką wskazuje kwadrans po piątej. Za niespełna godzinę powinno świtać. Potem będę musiał jakoś przetrwać albo...

45.

Przyciągnąłem do siebie Zofię. Pocałowałem ją i pogładziłem po włosach. Odtrąciła mnie z jęknięciem odrazy. Jakby się mną brzydziła.

– Przestań. Mówiłam ci...

– Nie – przerywam jej stanowczo. – To ja mówię ci, że jesteś moją żoną.

Nie zwracałem uwagi, że nasze córki nie śpią i patrzą na nas. Ponownie chwyciłem Zofię za nadgarstek. Drugą dłoń zacisnąłem na jej pełnej mleka piersi.

– Puść mnie!

– Bo co?

– Powiedziałam: puść mnie!

Zofia wyrwała się i rąbnęła mnie otwartą dłonią w twarz. Była gotowa bronić się za wszelką cenę. Jej oczy płonęły wściekłością, a na policzki wystąpił rumieniec. Jeden z psychiatrów pytał, czy fascynowało mnie upokarzanie kobiet albo czy podniecał ich ból.

Nie. Wyjaśnijmy to sobie raz na zawsze. Nigdy nie widziałem w tym nic podniecającego. Interesował mnie tylko skutek. Właśnie dlatego jeszcze raz podszedłem do Zofii, gotów na siłę włożyć dłoń do jej majtek. Gdy zrobiłem krok, ponownie się zamachnęła. Jej ręka przecięła powietrze tuż przy mojej twarzy. Płakała. Łzy ciekły jej po policzkach, a zaciśnięte usta drżały.

– Ty sukinsynu – odezwała się w końcu. Pokręciła głową i wydeła wargi w pogardliwym uśmiechu. – Doniosę na ciebie. Zobaczysz. Jeśli tylko jeszcze raz spróbujesz się do mnie zbliżyć. Jeśli tylko mnie tkniesz!

– Rób, co chcesz... – wycedziłem.

Nagle poruszyłem się, jakbym chciał się na nią rzucić. Pisnęła i zasłoniła się rękoma. Jedyne się roześmiałem. To ja miałem być górą.

Odwróciłem się i na sztywnych nogach poszedłem do kuchni. Kolejne godziny spędziłem, gapiąc się przez okno. Nie patrzyłem na nic konkretnego. Powoli zaczynało świtać, w mieszkaniach kamienicy naprzeciwko zapalały się światła, a potem z bramy zaczęli wychodzić ludzie.

Zapowiadał się pogodny dzień. Cieszyło mnie to i liczyłem, że znów dopisze mi szczęście. Musiałem się zaspokoić, a tamtego dnia wspomnienia nie chciały przybrać realnych kształtów. Jak na złość zapomniałem wyglądu Teresy i starej sąsiadki. Martwe kobiety miały twarze ze snu. Nie mogłem skupić się na ich prawdziwej kobiecości.

Żałowałem, że nie wyciąłem kawałka zwłok. Dzięki niemu mógłbym się teraz zaspokoić i nie musiałbym nigdzie wychodzić. W kilka minut byłoby po wszystkim.

No i nie stałoby się to, co się stało... Ale skąd mogłem wiedzieć?

Pośpiesznie zjadłem śniadanie i się ubrałem. Upewniłem się, że w kieszeni spodni jest mój scyzoryk.

Nie pożegnałem się z żoną. Puściłem za to oko do jednej z córek. Uśmiechnęła się jak zawsze, gdy robiłem do niej miny.

Chwilę później wyszedłem z mieszkania.

Przymknąłem cicho drzwi.

Miałem tam nigdy nie wrócić.

46.

Nad Rusałkę dotarłem niemal biegiem. Zmęczyłem się i zasapałem. Może w ten sposób chciałem rozładować emocje. Może chciałem zatrzymać to, co miało się zaraz wydarzyć?

Zmęczenie nie wpłynęło jednak na moje libido. Z każdą sekundą byłem coraz bardziej nakręcony.

Przeszedłem wąską ścieżką na uboczu. Nie spotkałem na niej nikogo, więc poczułem irytację. Cały świat robił mi na przekór.

Znów miałem pecha. Zrezygnowany przystanąłem przy kępie drzew i zerknąłem na zegarek. Było dopiero wpół do dziewiątej.

Przedarłem się przez zarośla, nie bacząc na gałęzie drapiące mi skórę. Stałem na trawiastym brzegu jeziora i zaciągnąłem się jego świeżym zapachem. W okolicy ośrodka pojawiali się pierwsi ludzie. Zorganizowane, kilkusobowe grupy wypoczywających. Z kocami, parasolkami i całymi torbami.

Nie. Tam nie miałem czego szukać.

Za plecami usłyszałem dźwięk rozmowy

Dwóch mężczyzn i długonoga blondynka szli, wymijając pozostałe po wczorajszym deszczu kałuże. Ulewa mogła schłodzić wodę jeziora. Mogła odstraszyć od wypoczynku na brzegu...

Zacząłem się denerwować. Ruszyłem za tamtą trójką i przez kilka minut trzymałem się parę kroków za nimi. Podziwiałem kształty blondynki. Chłonałem szerokość jej bioder i wypukłość pośladków. Wyobrażałem sobie, że dotykam jej ud. Nie były mokre ani oślizgłe. Przeciwnie. Skóra na nich była gładka i jędrna. Gładziłem ją, a potem...

Kątem oka dostrzegłem rozkładającą koc w jednej z zatoczek nastolatkę. Mogła mieć piętnaście lub szesnaście lat. Może mniej, w końcu nie miałem zielonego pojęcia o nastolatkach.

Od razu zarejestrowałem, że kraciasty koc jest zbyt mały, by pomieścić więcej niż jedną osobę. Poza tym przy dziewczynce stała tylko niewielka torebka. Żadnych innych rzeczy. Niczych butów ani ubrań.

Rozejrzałem się, dokładnie się upewniając, że jest sama.

Rodzice lub chłopak mogli jeszcze nie nadejść. Przystanąłem, odliczając w myślach sekundy. Starłem się nie patrzeć w jej stronę, aby jej nie spłoszyć. Zrobiłem kilka kroków w bok, schowałem się za linią drzew.

Dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści...

Pół minuty to za mało. Dopiero ucichł odgłos rozmowy tamtej trójki.

Oparłem się o drzewo i przymknąłem oczy. Znow zacząłem drżeć z podniecenia.

Siedemdziesiąt trzy, siedemdziesiąt cztery...

Wokół nie było nikogo.

Siedemdziesiąt siedem, siedemdziesiąt...

Nagle ciszę przerwał cichy plusk. Przestraszyłem się, że z wody wyszedł towarzyszący dziewczynie chłopak. Natychmiast przestałem liczyć. Ruszyłem w kierunku zatoczki i wyciągnąłem z kieszeni scyzoryk. Odetchnąłem.

Nastolatka weszła do jeziora i stała po kostki w wodzie. Sama. Z tego miejsca było widać jedynie niezmaconą taflę jeziora. Chaszcze zasłaniały widok od strony ośrodka. To całkowicie mi odpowiadało.

Musiałem wykorzystać tę okazję. Nie potrafiłem się już powstrzymać. Koniec z liczeniem.

Szybkim krokiem podszedłem do dziewczyny. Usłyszała mnie dopiero wtedy, gdy wszedłem do jeziora w butach i spodniach. Nie

zamierzałem tracić czasu na rozbieranie się lub czekanie, aż wyjdzie na brzeg.

Odwróciła się i spojrzała na mnie zaskoczona. Przez jej twarz przebiegł grymas zdziwienia. Cofnęła się, lecz w tym miejscu woda robiła się szybko głęboka, więc się zawahała.

Popełniła błąd.

Naprężyłem mięśnie i momentalnie do niej dopadłem. Chwyciłem ją w pasie, po czym przytknąłem scyzoryk do jej brzucha.

– Jeśli zaczniesz się drzeć, wypatroszę ci flaki. Rozumiesz?

Cicho pisnęła. Zaczęła się trząść z przerażenia. Gdy ją odwróciłem, nasze spojrzenia na ułamek sekundy się spotkały. Z jej oczu płynęły łzy, a usta miała rozwarte, uchylone zupełnie jak u tego trupa z mojego snu. Gotowe na śmiertelny pocałunek.

Dłonią, w której trzymałem scyzoryk, chwyciłem ją za pierś. Była mała i miękka. Drugą rękę wsunąłem jej w majtki. Przytuliłem się do niej jak do ulubionej kochanki. Mogliśmy nawet razem zatańczyć.

Kręciło mi się w głowie, lecz na chwilę musiałem się opanować. Zerknąłem na ścieżkę. Z tamtej strony nie dobiegał żaden dźwięk. Poza tym szansa, aby nas zobaczono, była znikoma.

Dziewczyna łkała. Dygotała ze strachu, co wprawiało mnie w jeszcze większe podniecenie. Wibracje naszych ciał zgrywały się coraz dokładniej. Dotykałem jej, gdzie tylko pragnąłem. Zaciskała uda z całej siły, lecz nie mogła mnie powstrzymać. Nie mogła mi uciec. Włożyłem w nią palec, a wtedy wybuchła głośnym szlochem.

– Ciii...

Znów traciłem czucie w nogach. Uginały się pode mną jak wówczas na cmentarzu. Powąchałem kark dziewczyny i przygryzłem jej włosy. Jeszcze mocniej zacisnąłem palce na jej

piersi. Scyzoryk wypadł mi z dłoni. Jednocześnie zanurzyłem się jeszcze głębiej w nastolatce.

Nabrałem łapczywie powietrza i spojrzałem w błękitne niebo. Promienie słońca przebijały między zielonymi liśćmi ponad nami. To był piękny widok.

Moje członki znieruchomiały.

– Zostaw ją! Puść ją i odsuń się na odległość kilku kroków!

Boże...

Na ścieżce przecież nadal nie było nikogo.

Zdałem sobie sprawę, w którym kierunku od kilkudziesięciu sekund spoglądała ta cholerna gnida. Rozluźniłem uścisk i odwróciłem się w stronę jeziora.

Z łódki wyskoczyło dwóch umundurowanych milicjantów. Wycelowali we mnie lufy pistoletów.

Z tej odległości nie mogli chybić.

Nie miałem jak uciec.

Doszedłem.

47.

ZAKŁAD KARNY W POZNANIU 1972–1979

Chwila spełnienia skończyła się potężnym wyrokiem. Tym razem nie znaleziono okoliczności łagodzących. Wręcz przeciwnie. Potraktowano mnie, jakbym co najmniej zgwałcił tę dziewczynę, a przecież nic jej nie zrobiłem. Na jej ciele nie pozostał po mnie najmniejszy ślad.

Zabrano mi siedem lat życia.

Wiesz zapewne, jak wygląda odsiadka kogoś skazanego za przestępstwa seksualne. Nie mam pojęcia, jakim cudem nagle cały zakład karny dowiaduje się, za co dostało się wyrok. Chciałem utrzymywać, że jestem zwykłym złodziejem.

Prawda jednak szybko wyszła na jaw.

Bałem się chodzić do więziennego fryzjera. Kilukrotnie wyraźnie mi sugerował, że nożyczki mogą mu się przez przypadek omsknąć. Wolałem nie wystawiać jego zręczności na próbę.

Osadzono mnie z dobranymi skazańcami, lecz ci urządzili mi piekło. Stałem się od nich całkowicie zależny. Musiałem dostać zgodę na skorzystanie z toalety czy położenie się na własnym łóżku. Miałem wstawać, gdy oni wstają, i nie odzywać się bez pozwolenia.

Znienawidziłem cały świat.

Pocieszałem się tylko, że nie poznano moich najskrytszych sekretów. Mimo to pragnąłem być kimś. Podczas badań psychiatrycznych sugerowałem lekarzom, że jestem wyjątkowy.

Liczyłem na izolatkę. Marzyłem, aby trafić do celi z dala od wszystkich.

Pociąg do martwych ciał na psychiatrach nie zrobił niemal żadnego wrażenia. Odnotowali to wyznanie, lecz zachowali się, jakby wspominał im o tym niemal każdy więzień. Nie uwierzyli, gdy powiedziałem, że rozkopywałem groby... Wymienili tylko porozumiewawcze, kpiące spojrzenia. Ukradkiem mnie wyśmiali jako kolejny przypadek mitomana.

Musiałem stać się jeszcze bardziej wyjątkowy.

Wtedy po raz pierwszy nazwałem się w myślach Zimnym chirurgiem. Ale to była moja tajemnica. Za każdym razem zwracałem się tak sam do siebie. Rozmawiałem ze sobą.

To pozwoliło mi przetrwać.

W 1975 roku dostałem wiadomość, że na wniosek Zofii nasze małżeństwo zostało unieważnione. Jakby nigdy nie miało miejsca! To był cios w plecy. Nie potrafiłem o niej myśleć inaczej niż z odrazą. Od tamtego czasu już nigdy nie umiałem wspominać jej nagiego ciała. Nigdy więcej ten obraz mnie nie podniecił.

Wyobraź sobie, że nie mając aktualnie nic, tracisz nadzieję zyskania czegokolwiek. Nadzieja ta była wszystkim, czego trzymałem się przez ponad dwa lata. A potem...

Pff... Pustka.

Nie ma znaczenia, czy wyjdę z pudła, czy zostanę w nim na zawsze. Narastała we mnie nienawiść do świata i tylko ona uświadamiała mi, że jednak mam po co żyć.

Nienawiść i ogromny popęd.

Potrzebowałem kobiety.

Musiałem ją zdobyć.

Czasem zastanawiałem się, co słyszać u moich córek. Ledwie je pamiętałem. Ich twarze zlewały się ze sobą. Ich ciała...

Czasem myślałem też o nich.

48.

POZNAŃ

1979 R.

Zamknąłem życie w małym tobołku i ruszyłem przez miasto. Kluczyłem dawno niewidzianymi ulicami. Chłonałem otwarte przestrzenie placów oraz parków. Cieszyłem się, widząc ludzi, którzy nie zwracają na mnie żadnej uwagi. Mijali mnie, nie krzywiąc się, nie buczeli ani nie odwracali wymownie wzroku. Nic o mnie nie wiedzieli i nie chcieli zrobić mi krzywdy.

Kilkukrotnie obszedłem budynek dworca kolejowego. Nie, nie myśl, że wypatrywałem ofiary. Gdy odzyskałem wolność, dziwnym trafem spadło we mnie napięcie. Myślałem o córkach i żonie. Nie potrzebowałem seksu ani emocji. Miłość fizyczna mogłaby dla mnie wtedy nie istnieć.

Sinusoida. Pamiętasz?

Ktoś mógłby powiedzieć, że przynajmniej zdarzało mi się być normalnym. Ja dostrzegam w tym jedynie okoliczność łagodzącą. Nie roztrząsam tego, kim jestem, ani tego, kim mógłbym się stać w innych okolicznościach.

Przypadkowo usłyszałem o budowanym od paru lat osiedlu Kopernika. Zaciekawiony wybrałem się tam na piechotę tylko po to, by zobaczyć, co powstało w miejscu, które pamiętałem jako nieuporządkowane rubieże miasta. „Dziki Zachód”, jak mawiali niektórzy. Tajemniczy Fort Numer Osiem. Znasz te poznańskie legendy?

Po godzinie marszu znalazłem się na wielkim placu budowy. Świeżo wykończone kilkunastopiętrowe bloki zrobiły na mnie

porażające wrażenie. Do tego pusta przestrzeń wokół, klepiska i tereny przygotowane pod następne prace... Byłem urzeczony.

Próbowałem się dostać na klatkę jednego z budynków, lecz nikt z niej nie wychodził. Może byłem zbyt niecierpliwy. Po pobycie w pudle, gdzie wszystko jest w wiecznym ruchu, chciałem działać natychmiast. Marzyłem o tym, żeby spojrzeć na Poznań z góry. To musiał być piękny widok.

Nie był mi dany – jak wiele innych rzeczy.

Po kwadransie lub dwóch, zrezygnowany, zawróciłem w stronę centrum.

Włóczyłem się tak długo, aż zaczęły boleć mnie nogi. Po siedmiu latach w więzieniu nie miałem wprawy w długich spacerach.

Skierowałem się do naszego mieszkania. Przeraziła mnie myśl, że nasze córki mają już siedem i dziewięć lat. Siedem i dziewięć! Wydawało mi się, że są już niemal dorosłe. Nie wiedziałem, czy mnie poznają. Starsza może i tak, ale młodsza... Na pewno nie. W końcu zostawiłem ją jako noworodka.

Mimo zmęczenia klatkę schodową pokonałem biegiem. Niewiele się na niej zmieniło. Wciąż tak samo pachniała i nadal trzeszczały te same stopnie. Przed drzwiami starej Wandy nie stały już jednak żadne rupiecie. Jej dzieci miały dość czasu, by podzielić się lichym majątkiem.

Zanim zapukałem, przyglądałem włosy. Na tysiąc sposobów zastanawiałem się, jak zacząć rozmowę. Jak zacząć wszystko od nowa... Nadal byłem wściekły na Zofię. Wciąż nie wybaczyłem jej tego, co zrobiła. Ale mimo wszystko chciałem spróbować się pogodzić. Miałem dość czasu na przemyślenia. Niekiedy zaczynałem rozumieć swoją winę i szczerze pragnąłem się poprawić. Przede wszystkim zaś – nie zamierzałem wrócić do pudła. A już samo to mogło sprawić, że stanę się lepszym człowiekiem. Prawda?

Uniosłem dłoń i zapukałem. Najpierw delikatnie, a potem dwa razy mocniej. Uśmiechałem się, wciąż nie mając przygotowanego powitania.

Usłyszałem szcęk zamka i przełknąłem ślinę.

„Jakoś to będzie” – pomyślałem. – „Jakoś to, kurwa, będzie”.

Wtedy drzwi się otworzyły i stanął w nich nieznany mi mężczyzna. Czterdziestoparoletni, szpakowaty, z gęstymi węsami. Była to jedna z tych twarzy, które zapamiętałem całkiem dobrze.

– Ta?

Spojrzał mi w oczy, a ja natychmiast mimowolnie się cofnąłem. Przełknąłem ślinę. Zbiegłem po schodach, potykając się o własne nogi.

A więc nie było dla mnie powrotu.

49.

Mogłem się skierować już tylko do jednych drzwi. Nie zostało mi nic innego. Zmęczony i głodny powłóczyłem się do kamienicy, w której mieszkała moja matka. Kamienicy, w której zostały upchnięte moje dziecięce wspomnienia i przyczyny, bez których nie opowiadałbym ci teraz tej historii.

Zrobiło się już ciemno. Zerwał się sierpniowy, chłodny wiatr. Z zachodu nadciągały chmury, które stopniowo pokrywały niebo. Powietrze wypełnił specyficzny zapach nadchodzącej burzy. Gdy dochodziłem do kamienicy, w oddali przetoczył się pierwszy grzmot. Pogoda w sam raz na powitanie na wolności kogoś takiego jak ja. Psychiatrzy nazwaliby to neurotyzmem.

Zatrzymałem się i zadarłem głowę. Przez kilka minut stałem wpatrzony w okna. W kuchni paliło się światło, lecz sylwetka matki ani razu nie mignęła mi za firanką. Wyobrażałem sobie, że czyta na krześle przy małym okrągłym stole.

Chciałem odwlec tę chwilę jak najdłużej.

W tej okolicy znałem każdą bramę i każdy zaułek. Mimo że wycięto kilka drzew, a przy ulicy stał rząd aut – niewiele się zmieniło. Od dworca wciąż dzieliła mnie taka sama odległość. Od dworca, od nieba i od piekła...

Czasem przychodziły mi do głowy zdania, z których można by ułożyć niezły wiersz. Przynajmniej tak myślę. Kiedyś wpadł mi w ręce tomik Wojaczka i zapamiętałem dwa wersy.

*Ty kupiłaś moje ciało i śmierć
w nim wezbraną – przeżyłaś.*

Ładne, prawda? Tylko o co właściwie w tym chodzi?

Z zamyślenia wyrwały mnie wielkie krople deszczu, które rozbryzgnęły się na moich ramionach. Spojrzałem w górę. Pozwalałem kolejnym kroplom obmywać mi twarz. Po siedmiu latach w zamknięciu zwykły deszcz może sprawić cholerną radość.

Rozcierałem je po policzkach i zlizywałem z palców. Płakałem. Nie potrafiłem zebrać się do kupy. Przed oczami stanęły mi obrazy córek, a później Zofii. Pomyślałem, że muszę je odnaleźć, muszę z nimi porozmawiać, a potem...

A potem: co?

Mężczyzna z maleńkim psem przeszedł za moimi plecami, lecz nie zwrócił na mnie żadnej uwagi. Kulił się pod parasolem, którym bardziej osłaniał się od wiatru niż od deszczu. Pies mókł i co chwilę się otrzepywał.

Zrobiło mi się piekielnie smutno.

Z impetem rąbnąłem pięścią w załamek muru. Z rozciętej skóry popłynęła krew. W świetle latarni miała ciemny, niemal czarny kolor. Obserwowałem, jak miesza się z kroplami deszczu i skapuje na chodnik.

– Dość – szepnąłem. – Dość tego.

Wreszcie zebrałem się w sobie. Otarłem twarz i przyglądałem mokre włosy. Deszcz padał coraz mocniej. Brama była otwarta, co potraktowałem jako zaproszenie. Skręciłem w prawo na klatkę schodową. Z ociąganiem wspiałem się na piętro.

Tym razem zapukałem natychmiast. Nie miałem na co czekać i nie potrafiłem odkładać niepewności już ani o chwilę.

Drzwi nie były zamknięte, bo nie usłyszałem dźwięku przekręcanego zamka. Klamka się poruszyła i po chwili matka pojawiła się w progu. Przez siedem lat odwiedziła mnie ledwie dwa razy. Postarzała się, jej włosy zupełnie posiwiały, a skóra pod oczami przybrała brązowy odcień. Zdawało się, że cała jej twarz jest jedną wielką zmarszczką. Wrażenie potęgowało padające z tyłu światło.

– Czego chcesz? – zapytała oschle.

Pochyliłem głowę i głęboko nabrałem powietrza. Sądzę, że nie tylko ja doświadczyłem wyklęcia. Nigdy mi o tym nie mówiła, lecz domyślałam się, że było jej prawie tak ciężko jak mnie. Odwróciła się od niej większość znajomych i sąsiadów. Zbliżyła się tylko z jedną osobą, ale o tym opowiem ci za chwilę. To naprawdę ciekawe...

– Mogę przenocować? – bąknąłem ledwie słyszalnie.

Wciąż trzymałem spuszczoną głowę i gapiłem się w podłogę mieszkania. Nadal stałem na korytarzu. Matka ciężko westchnęła.

– Nie.

– Nie? Po prostu nie?

– Narozrabiałeś, więc teraz musisz sobie radzić. Dorośnij w końcu.

– Mamo, przecież...

– Nie – przerwała mi surowo. – Porozmawiaj z Zofią albo idź do któregoś z kumpli. Dziś nie chcę cię pod swoim dachem.

– Nie mam kumpli – mruknąłem. – Jestem zupełnie sam.

– Nie obchodzi mnie to.

Matka przymknęła drzwi, lecz w ostatnim momencie jakby się rozmyśliła. Zostawiła wąską szparę, przez którą na korytarz wpadało światło. Zrobiłem krok w stronę mieszkania, ale powstrzymał mnie jej zdecydowany głos.

– Zaczekaj.

Zatrzymałem się w progu. Skołowany strzepnąłem wilgoć z włosów. Nie wiem, czy z oczu ciekły mi łzy, czy to nadal był deszcz. Bezsilnie oparłem się o ścianę.

Po chwili matka znów pojawiła się w progu. Wyciągnęła do mnie dłoń.

– Weź. Przyda ci się.

Zerknąłem. Kilka banknotów. Błyskawicznie je przeliczyłem i bez słowa po nie sięgnąłem. Skinąłem głową.

– Tylko wydawaj rozsądnie, bo nic więcej nie dostaniesz.

Zawróciłem w stronę schodów, lecz przystanąłem na ich skraju. Liczyłem, że matka jednak ulegnie i zaprosi mnie do mieszkania. Oczekałem kilka sekund.

Wtedy usłyszałem, że zamyka drzwi. Tym razem na klucz.

50.

Przez kolejne dni włóczyłem się to tu, to tam. Spałem przy dworcu i w parku. Pilnowałem się jednak, by nie rzucać się w oczy. Nie chciałem, aby znów mnie zatrzymano. Wstawałem przed wschodem słońca i przemykałem zaułkami do późnego wieczoru. I tak dzień w dzień przez tydzień lub dwa. Wtedy nauczyłem się być niewidzialny. Mogłem przemknąć obok ciebie, a ty nawet byś tego nie zauważyła. Mogłem szeptać bądź gapić się na ciebie i nie zwróciłabyś na to uwagi. W końcu przyszło oprzytomnienie – choć raczej po prostu głód stał się zbyt dojmujący.

Tym razem los szybko się do mnie uśmiechnął. Zatrudniono mnie w Łożyskach Tocznych i w związku z tym dostałem pokój w hotelu robotniczym. Nie mogłem chcieć niczego więcej. Pracowałem sumiennie i miałem nadzieję, że wreszcie osiągnąłem spokój. Niedawno skończyłem trzydzieści trzy lata, lecz całkowicie straciłem popęd seksualny. Nie przejmowałem się tym.

Któregoś dnia, gdy – swoim zwyczajem – po skończonej robocie spacerowałem w okolicach dworca, w oczy rzuciła mi się znajoma sylwetka. Niska i kształtna. Przez chwilę zastanawiałem się, skąd pamiętam tę okrągłą, czerstwą twarz.

– Gabriela! – krzyknąłem, unosząc dłoń. – Gabriela!

Pamiętasz Gabriele? Tę, która opiekowała się mną po świątecznym weselu i której ojciec nie chciał słyszeć o naszym ślubie?

To właśnie ona zmierzała teraz w moją stronę. Poznała mnie i szeroko się uśmiechnęła. Uścisnęła serdecznie.

– Jakiś czas temu spotkałam twoją matkę – odezwała się. – Powiedziała mi, że siedzisz.

– Tak...

Nie wiedziałem, co jeszcze matka jej powiedziała, i wolałem nie opowiadać jej o odsiadce ze szczegółami.

– Jesteś na przepustce czy... – Zawiesiła głos.

– Nie dali mi żadnej przepustki. Ale już nie zamierzam wracać.

– Mówisz, jakbyś prysnął z więzienia.

– Nie – wyszeptałem.

– Och, jaki pan tajemniczy!

– Po prostu nie chcę o tym gadać...

Gabriela się zaczerwieniła.

– No tak, przepraszam. Przejdziemy się?

– Jasne.

Wzięła mnie pod rękę i ruszyliśmy w kierunku Zamku Cesarskiego. Odkąd poszedłem siedzieć, najbardziej zmienił się ruch uliczny. Znacznie przybyło aut, do tego pojawiło się kilka ich nowych modeli. Od parunastu dni to przede wszystkim przykuwało moją uwagę.

Przez kilkanaście minut szliśmy, rozmawiając na błahe tematy. Podpytywałem Gabrielę o jej stosunki z moją matką, lecz wydawało mi się, że unika konkretnej odpowiedzi. Nie zamierzałem drążyć. Wiedziałem jednak, że podczas mojej odsiadki widziały się co najmniej kilkakrotnie.

W pewnym momencie przystanęliśmy i Gabriela pogładziła dłonią moją twarz. Uśmiechnęła się. Wtedy kątem oka na jej palcu dostrzegłem obrączkę. Przebiegł mnie nieprzyjemny dreszcz i nim zdążyłem się zastanowić, zapytałem:

– Jesteś mężatką?

Wzruszyła ramionami.

– Mam męża – odparła, lecz zaraz dodała: – Tylko ze sobą mieszkamy. Nie łączy nas nic więcej.

– Aha.

Jej słowa były oczywistą zachętą. Dłoń wsunięta w moją – również. Po latach emocje ożyły w nas ze zdwojoną siłą. Jak dzieciaki spacerowaliśmy w tę i we w tę po Starym Mieście. Zapuszczaliśmy się w uliczki, którymi nigdy wcześniej nie szedłem. Obserwowaliśmy zegar na ratuszu, zaglądaliśmy ludziom w okna i bez przerwy żartowaliśmy.

Wracając, zatrzymaliśmy się przy budynku Bałtyku[4]. Spojrzałem w witrynę księgarni KAW. Do szyby przyklejone były zdjęcia, proporzec PZPR oraz kartki z propagandowymi hasłami.

– Czeka na nas wiek XXI – przeczytałem i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Trzeba zacząć od własnego podwórka... – Gabriela odczytała kolejne hasło.

– Ano. I doczekać do tego XXI wieku.

Objąłem ją i przytuliłem. Nie powstrzymywała mnie. Nagle ponownie ożyło we mnie libido. Poczułem powoli narastające podniecenie.

Dotknąłem jej włosów i założyłem za uszy. Stanęła na palcach i nachyliła się do mnie. Pocałowałem ją.

Mocno i drapieźnie. Nasze języki spotkały się i zawirowały w tańcu. Zacisnąłem dłoń na jej pośladku. Gabriela oparła się o szklaną witrynę. Całowaliśmy się, nie bacząc na przemykających za moimi plecami przechodniów.

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że od wielu lat nie miałem kobiety. Zapomniałem, że bliskość nie zawsze musi się łączyć z bólem i upokorzeniem.

Zatrząsałem się i nagle otworzyłem oczy. Spojrzałem na swoje odbicie w witrynie. Wydało mi się, że widzę obcą twarz. Od dawna nie przeglądałem się w lustrze. Mówiłem ci już, czym groziła mi wizyta u więziennego fryzjera.

Spuściłem wzrok i jeszcze mocniej przycisnąłem do siebie Gabriellę.

– Nie kochałeś się, odkąd wyszedłeś? – zapytała szeptem. – No, mów!

Pokręciłem przecząco głową.

– W takim razie musimy coś z tym zrobić. Chodź.

Pociągnęła mnie za rękę, rozwiewając wszelkie wątpliwości.

[4] Wieżowiec – przyp. autora.

51.

NOWA SÓL

28 LIPCA 1980 R.

Przez pewien czas spotykałem się z Gabriellą regularnie, co kilka dni. Rozbudził się we mnie niepohamowany popęd, którego niekiedy nie mogliśmy zaspokoić. Nie było okazji, warunków lub czasu.

W lipcu 1980 roku wyjechała na kilka dni z mężem, załatwić jakieś sprawy. Nie wiem dokąd. Nie interesowało mnie to. Jednocześnie z godziny na godzinę rosło we mnie napięcie. Potrzebowałem kobiety. Po raz kolejny wiedziałem, że nie zaspokoję się sam ani z prostytutką. Odczuwałem ten sam rodzaj pobudzenia, co dawniej. Popęd, przytłumiony przez wszystkie spędzone w więzieniu lata, teraz po prostu zmuszał mnie do działania.

Już.

Natychmiast.

Te myśli dudniły mi w głowie.

Przez całą niedzielę chodziłem roztrzęsiony. Powstrzymywałem się przed wypadem nad Rusałkę. Wiedziałem, że jeśli tam trafię, nie będę potrafił się opanować. Przerażliwie bałem się kolejnej odsiadki.

Psychiatrzy nazwą to elementem planowania. Okolicznością świadczącą o tym, jak bardzo w swoim działaniu byłem wyrachowany. Zresztą już ci chyba o tym wspominałem. Podkreślę raz jeszcze. To nie było wyrachowanie, a cholerny instynkt

przetrwania. Tylko idiota daje się złapać dwukrotnie w tym samym miejscu.

Wieczorem wyszedłem na rynek, lecz po kilkunastu minutach wróciłem. Był ciepły wieczór, i wszędzie tłoczyło się zbyt wielu ludzi. Rzuciłem się na łóżko, a dzielący ze mną mieszkanie pracownik Łóżysk Tocznych przyniósł piwo. Wypiliśmy po dwie butelki, niemal nie zamieniając ze sobą słowa. W ogóle mało rozmawialiśmy.

Gdy w końcu położyłem się spać, przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Przypomniało mi się, że dziesięć lat temu byłem u brata Zofii w Nowej Soli. A koło ich domu znajdował się... Nieważne.

Udało mi się zasnąć, lecz zerwałem się skoro świt. W tamten poniedziałek miałem wolne i już po siódmej znalazłem się na dworcu. Od razu dopadłem do wielkiej tablicy pośrodku hali. Sprawdziłem rozkłady pociągów.

Połączenie do Nowej Soli miałem dopiero o dziesiątej, lecz byłem tak pobudzony, że nie robiło mi to żadnej różnicy. Przesiedziałem te trzy godziny w dworcowej poczekalni, obserwując wskazówki zegara.

Staralem się zagłuszać myśli. Przed oczami znów przewijały mi się wspomnienia. Obserwowałem przechodzące po hali kobiety i, jak dawniej, wyobrażałem je sobie nago. Nieruchome. Milczące. Całkowicie podległe mojej woli.

Do Nowej Soli dojechałem pociągiem przez Czerwieńsk i Zieloną Górę. Na miejscu byłem przed piętnastą, lecz postanowiłem być cierpliwy. Skoro wytrzymałem tyle czasu, nie mogłem popełnić błędu. Musiałem poczekać. Wiedziałem, że moja cierpliwość zostanie wynagrodzona.

Byłem pewny.

Czułem to.

Z PROTOKOŁU

Przez cały czas, aż się ściemniło, łąziłem po mieście. Byłem na piwie w jakiejś knajpie przy dworcu. Jak się ściemniło, poszedłem na cmentarz.

52.

Oczywiście, że nie ciągnęło mnie do odwiedzenia kuzynostwa byłej żony. Nie utrzymywałem z nimi żadnego kontaktu. Nawet nie pamiętałem ich imion.

Poprzedniego wieczora przypomniało mi się coś zupełnie innego. To, że niedaleko ich domu znajduje się cmentarz. Nie wiem, jaka myśl przywiodła mnie do tego skojarzenia, mimo to od razu wiedziałem, że muszę się tam udać.

Nie byłem w stanie się jej oprzeć. Pośpiesznie zarysowany plan całkowicie mną owładnął. Czekałem na wieczór, a wiesz, jak późno przychodzą lipcowe wieczory... Gdy wreszcie zapadł zmrok, mogłem działać. Od razu skierowałem się w stronę cmentarza. Nie miałem problemu z dostaniem się na jego teren. Była jeszcze szarówka, gdy rozpocząłem powolną wędrówkę pomiędzy nagrobkami. Nie znalazłem żadnego świeżego grobu, zupełnie jakby w tej cholernej miejscinie nikt nie umierał.

Po kilkudziesięciu minutach dałem sobie spokój, tym bardziej, że zrobiło się już tak ciemno, że niewiele widziałem. Miałem nawet ze sobą latarkę, lecz bałem się jej użyć na otwartej przestrzeni. Zawróciłem do kostnicy. To była moja ostatnia szansa. Pokonałem zbyt długą drogę, by teraz zrezygnować. W ostateczności...

Tak. Zaświtała mi myśl, że w ostateczności będę musiał zapolować na kogoś żywego. Nie chciałem tego, ale tej nocy musiałem się zaspokoić.

Zapaliłem na moment latarkę. Kostnica miała od tyłu szereg niewielkich okien na wysokości około dwóch metrów. O ścianę pod

nimi oparta była drabina, która zapewne służyła grabarzom. Przystawiłem ją do muru, po czym powoli wszedłem po kilku stopniach. Wstrzymałem oddech i łokciem wybiłem szybę.

Szkoło rozpadło się z okropnym brzękiem. Na kilka sekund zamarłem. Byłem gotów rzucić się do szaleńczej ucieczki, jednak hałas nie zwrócił niczyjej uwagi.

Odetchnąłem.

Wskoczyłem do trupiarni i ponownie zapaliłem latarkę. Znajdowałem się w dużym pomieszczeniu, na którego środku zamontowano podest. Wyobraź sobie moją radość, gdy dostrzegłem ustawioną na nim trumnę. Film znów się zaczyna.

Robię kilka kroków. Światło latarki przesuwa się po ścianach, krzyżu i jakiejś figurze. Staram się oświetlać przede wszystkim podłogę.

Paroma susami dopadam do trumny. Jej wieko jest zamknięte, lecz jestem przygotowany. Bez problemu odkręcam śruby. Zrzucam pokrywę, błagając o kolejne szczęśliwe zrządzenie losu.

Drzę.

Cały drzę na widok kobiety w ciemnej, gładkiej sukni. Serce łoskocze mi w piersi, a oddech przyśpiesza. Działam mechanicznie. Przez ostatnie godziny przygotowałem się na każdą ewentualność. Wolałbym dozować przyjemność, ale muszę się śpieszyć. Wciąż boję się więzienia. Myśl o nim pozwala mi na moment opanować popęd.

Zrywam ze zmarłej suknię. Rozcinam ją scyzorykiem, by szybciej się jej pozbyć. Ściągam rajstopy, a potem majtki. Rzucam je na ziemię.

Opieram latarkę na skraju trumny. Teraz są mi potrzebne obie dłonie. Wbijam scyzoryk w lewą pierś kobiety i prowadzę równe cięcie. Oddzielam tkankę tłuszczową od mięśni i ścięgien. Zataczam koło. Pierś odrywa się od reszty ciała, staje się całkowicie wiotka. Przypomina kawał krwistego kotleta. Trofeum

wrzucam do nieprzezroczystej torby. Do tej pory nawet nie zdawałem sobie sprawy, że wziąłem ją ze sobą i upchnąłem do kieszeni. Oto moje wyrachowanie.

Najlepsze, jak zawsze, zostawiłem sobie na koniec.

Przesuwam latarkę, by lepiej oświetlić krocze kobiety. Nacięcie rozpoczynam od podbrzusza i prowadzę je w dół. Powoli rozcinam skórę przy szorstkich pachwinach. Wbijam ostrze na całą długość we fragment tkanki nad odbytem. Następnie nadkrojoną część podważam palcami drugiej dłoni. Czuję gęsty zapach ropy, lecz nie przeszkadza mi to. Jestem zbyt podniecony.

Odkrawam ostatnie ścięgno i chowam scyzoryk do kieszeni. Nawet go nie ocieram. Wbijam rękę w nacięcia, po czym delikatnie ciągnę. Ściskam w dłoni kompletny srom. Udało mi się go wyciąć dokładnie tak, jak planowałem. Palcami wybieram część tkanki tłuszczowej. Nie chcę nią uświnić całej reszty. Po tej pobieżnej obróbce wrzucam srom do torby, którą starannie zawijam.

Nawet nie wiem, kiedy szczytowałem. Przez ostatnie minuty byłem w nieustającej euforii, która nie miała na celu osiągnięcia jednego konkretnego momentu kulminacji. Do tego nieustannie towarzyszy mi myśl, że to jeszcze nie koniec. Że tym razem zabieram zdobycz ze sobą.

Kilka kroków do okna pokonuję na sztywnych nogach. W żyłach buzuje mi adrenalina. Wciąż się trzęsę.

A teraz...

Z PROTOKOŁU

Pojechałem pociągiem do domu. Najpierw do Zielonej Góry, a potem po przesiadce do Poznania. W Poznaniu byłem w nocy. Nie wiem, która była to godzina.

53.

Parę zwiniętych szmat i ukradzionych nawet nie wiem kiedy pończoch. Do tego kobiece majtki oraz dwa staniki. Kilka par rajstop i gąbka. Wszystko przypominało kobiecie korpus, z tułowiem oraz nogami mniej więcej do kolan.

Bez rąk i głowy. One były mi całkowicie zbędne.

Przyciskam wycięte w Nowej Soli krocze kobiety do lalki. Igłą i nitką przyszywam je do materiału. Skóra jest elastyczna, lecz dość twarda. Igła kilkukrotnie się wygina, ale nie łamie.

To dobrze.

Bardzo dobrze, bo nie mam drugiej.

Ostrożnie rozcapierzam palce, aby się nie skaleczyć. Nie chcę zabrudzić lalki własną krwią.

Tkanka tłuszczowa jest zbrylona, ale pozwala mi modelować całość. Po wypatroszeniu zostawiłem jej bardzo cienką warstwę. Poza tym dzięki niej czuję coś więcej niż tylko skórę. Choć być może popełniłem błąd, bo tłuszcz wydziela specyficzny aromat i zaczyna się roztopiać.

Mimo to jestem zadowolony ze swojej roboty. Bez problemu mogę sobie wyobrazić, że trzymam w dłoniach kobietę. Cichą i spokojną. Pozwalającą mi dotykać siebie tak, jak tego chcę.

– Będę cię pieścił.

Przeprowadzam nic przez lekko owłosione podbrzusze. Mogłem poprowadzić cięcie nieco wyżej, zahaczając o pępek. Ale to nic. Mam wszystko, czego potrzebowałem.

Lalka jest już gotowa.

– Kocham cię.

Nie muszę się śpieszyć. Mój współlokator lada moment może wrócić ze zmiany, lecz zamknąłem pokój na klucz.

Kładę lalkę na łóżku i się rozbieram. Obrzucam wzrokiem swoje dzieło. Nie mam czego się wstydzić. Opieram się na materacu, a następnie powoli ocieram o lalkę. Nachylam się jeszcze mocniej. Zamykam oczy i myślę o kobiecie, którą widziałem w pociągu. A potem wyobrażam sobie kolejną, którą minąłem w drodze do mieszkania.

Ruchy stają się coraz szybsze. Krew łomocze mi w skroniach, a przed oczami robi się ciemno. Zaciskam palce na poduszce. To mój prawdziwy pierwszy raz.

Wymarzony.

Dokładnie taki, jakiego zawsze pragnąłem.

Dokładnie taki.

Z PROTOKOŁU

Miałem wyciętą skórę z okolic krocza przez dwa dni w mieszkaniu. Później wyrzuciłem ją na śmietnik. W tym czasie miałem zrobioną lalkę i do niej przyszywałem narządy.

Edmund Kolanowski wkrótce po sprofanowaniu zwłok z kaplicy w Nowej Soli zamieszkał z Gabrielą przy ul. Półwiejskiej w mieszkaniu należącym do jej męża. Ten nie miał nic przeciw ich pożyciu. Mieszkanie stało się dla Edmunda doskonałym punktem wyjściowym do spacerów po parku Dąbrowskiego. Ponoć można go było tam spotkać regularnie.

Po krótkim czasie para przeprowadziła się na ul. Wodną do samego centrum Poznania. Miejscem przechadzek mężczyzny stało się Stare Miasto. Jednak znacznie istotniejsze okazały się jego wędrówki na przynależny do mieszkania stryszek.

W międzyczasie z powodu owrzodzenia dwunastnicy Kolanowski przeszedł na rentę. Wkrótce zatrudnił się jako palacz w hurtowni farmaceutycznej „Ziołolek”. Ta ostatnia decyzja miała mieć dla niego tragiczne konsekwencje.

54.

WARSZAWA

16 MARCA 1981 R.

Wyobraź sobie papiery wyfruwające z okna pociągu. Niech przed twoimi oczami pojawi się urzekający widok wirujących w powietrzu kartek. Niech w twoich uszach zabrzmiały szum powietrza i stukot kół. Taki mógłby być początek, lecz to właściwie był już koniec.

Zaczął się od podróży w przeciwną stronę. Około drugiej w nocy wyjechałem pociągiem pośpiesznym z Poznania do Warszawy. Od znajomego dowiedziałem się, że na stołecznych bazarach można kupić zegarki, które u nas kosztowały znacznie więcej. A ja, jak zwykle, potrzebowałem pieniędzy.

– Co podać?

Uroczą kelnerka otarła dłonie szmatką. Choć był wczesny ranek, wyglądała na potwornie zmęczoną.

– Tylko jajecznicę.

– Z dodatkami?

– Nie. Żadnych dodatków.

– Do picia?

– Nic.

Po kilku minutach stanął przede mną talerz z solidną porcją. W Średnicowym przy Jerozolimskich stołowałem się już kilkakrotnie. Nigdy się nie zawiodłem. Najważniejsze, że było tam tanio.

Najadłem się i przesiedziałem jeszcze kilkanaście minut nad pustym talerzem. Nie śpieszyło mi się. Gdy dochodziła ósma,

wyszedłem na dwór, a potem powlokłem się na bazar Różyckiego. Droga zajęła mi ponad godzinę, lecz nie lubiłem korzystać z tramwajów. Wiecznie wsiadałem do niewłaściwych i tylko traciłem przez to czas. Jediną przyjemnością w komunikacji miejskiej była możliwość dotykania kobiet. Ocierania się o nie bez potrzeby jakiegokolwiek tłumaczenia. Tłok zacieśniał więzi między współpasażerami.

Tego ranka myślałem jednak przede wszystkim o handlu. Udało mi się kupić kilka zegarków po naprawdę dobrej cenie. Mogłem na nich solidnie zarobić i już cieszyłem się na myśl o przyszłym zysku. Na pewno wiesz, jakie to uczucie. Nagle wydaje ci się, że nie tylko los się do ciebie uśmiechnął, lecz także – że wreszcie bierzesz go w swoje ręce.

Na obiad zamówiłem podwójną porcję. Bar Praga znajdował się przy moście Śląsko-Dąbrowskim, niedaleko budynku Komitetu Centralnego. Nie był wytworną restauracją, lecz zostawiłem w nim więcej pieniędzy, niż powinienem. Mimo to byłem w naprawdę dobrym nastroju.

Planowałem wracać do Poznania, ale uznałem, że przed podróżą wypiję jeszcze kawę. Miałem ochotę spełnić każdą swoją zachciankę. I nie doszukuj się w tym żadnego podtekstu.

Danusia znajdowała się niedaleko dworca, przy wyjściu z przejścia podziemnego. Zgodnie z rozkładem do kolejnego pociągu miałem ponad godzinę.

– Podróżny?

Z zamyślenia wyrwał mnie niski kobiecy głos. Podniosłem głowę i zobaczyłem dość wysoką, ładną blondynkę. Miała na sobie wiśniowe spodnie sztruksowe oraz jasnobrązowy sweter.

– Tak – odparłem zaciekawiony.

– Z daleka?

– Z Poznania.

Kobieta myślała przez chwilę, po czym dosiadła się do mojego stolika.

– Chce pan zaznać trochę przyjemności w stolicy? – zapytała bez ogródek.

Pochyliła głowę i głęboko nabrała powietrza. Jej piersi się uwypukliły. Pociągnęła za najdelikatniejszą strunę mojej psychiki. Natychmiast obudziła moje pożądanie. Choć przed kilkunastoma godzinami kochałem się z Gabriellą, poczułem, że muszę się znów zaspokoić.

– Cholera... – Zdałem sobie sprawę, że niemal wszystkie pieniądze przeznaczyłem na zegarki. – Wydałem prawie wszystko... – mruknąłem.

– Ile pan ma?

Wyciągnąłem portfel i pokazałem blondynce jego zawartość. Powoli przeliczyłem banknoty.

– Siedem tysięcy – westchnąłem. – I jakieś drobne.

– Da się zrobić. – Poglądziła mnie po dłoni. – O ile za te drobne postawi mi pan koniak.

Rozochocony bezzwłocznie poszedłem do baru. Zamówiłem po pięćdziesiąt gramów w dwóch kieliszkach. Zostało mi jeszcze parę groszy na drugą kolejkę.

Przez kilka minut niemal w milczeniu sączyliśmy alkohol. Wypaliłem parę papierosów, starając się w ten sposób zabić ciszę. Zaczynałem się niecierpliwić, a ochota na seks we mnie rosła.

– Jak masz na imię? – zapytałem w końcu.

– Iwona. – Kobieta, uśmiechając się, podała mi dłoń nad stolikiem. – Dopijamy i idziemy? – Puściła do mnie oko.

– Jasne.

Nigdy nie miałem mocnej głowy, ale za każdym razem, siadając do alkoholu, o tym zapominałem. Już przy drugiej pięćdziesiątce koniaku poczułem się skołowany. Zaczęło mi się robić niedobrze.

Mimo to zawartość kieliszka wypilem do dna. Podnosząc się, zahaczyłem o stolik.

– Uwaga, uwaga...

Blondynka wzięła mnie pod rękę i pociągnęła do wyjścia. Pamiętam, że zataczając się, straciłem jeden z kieliszków. Rozbił się o podłogę, a ja tępo wpatrywałem się w szkło. Zbierało mi się na wymioty.

Z PROTOKOŁU

Wtedy też urwał mi się film. Nie wiem, co się dalej działo. Doszedłem do siebie i stwierdziłem, że jestem w okolicy jakiegoś parku. Miejsce nie było mi znane. Zapytałem jakichś ludzi i powiedzieli mi, co to za miejscowość. Dowiedziałem się, że jestem w Wawrze.

55.

Lekko bolała mnie głowa, lecz udało mi się doprowadzić się do porządku. Od razu zdałem sobie sprawę, że z mojej ręki zniknął stary poljot, a z tylnej kieszeni spodni – dwa tysiące złotych. Na szczęście wciąż miałem pięć tysięcy, które zawczasu przełożyłem do kieszeni koszuli. Jakbym wszystkiego się spodziewał. Nie straciłem również dwóch z trzech kupionych zegarków. Jak to mówią, szczęście w nieszczęściu... Mimo to byłem wściekły. Na siebie, na alkohol, a przede wszystkim – na tę cholerną dziwkę. Przez kolejne dwie godziny krążyłem po okolicy, naiwnie licząc, że na nią trafię. Wyobrażałem sobie, co jej zrobię. Widziałem ją nagą i poranioną. Fantazjowałem, że odcinam jej głowę. Wrywałem jej język i wyłupywałem oczy.

Nie miała pojęcia, z kim zadarła.

Byłem gorzej niż wściekły. Po raz pierwszy nie panowałem nie tylko nad popędem, lecz także nad złością.

Do tego wciąż czułem piekielną potrzebę rozładowania się. Raz rozbudzona, musiała zostać zaspokojona zbliżeniem. Nie było na to rady.

Zrobiło się już ciemno, gdy po raz kolejny szedłem wzdłuż torów kolejowych. Nie wiem, co mnie do nich przyciągało. Może ich bliskość pozwalała mi sądzić, że zawsze trafię do domu? Nieważne.

Dwóch podpitych mężczyzn minęło mnie, podśpiewując. Przeciąłem niewysoki nasyp i zszedłem na utwardzaną ścieżkę.

Kilkanaście metrów przede mną szła kobieta. W mroku ledwie rozróżniałem jej kształty, ale wyraźnie widziałem falujące włosy

i zarys bioder.

Przyśpieszyłem. Jednocześnie starałem się iść jak najciszej, aby jej nie spłoszyć. Ostrożnie stawiałem kroki.

Nagle stanąłem na czymś twardym. Kobieta odwróciła się i obrzuciła mnie krótkim spojrzeniem. Przystanąłem i pochyliłem się, udając, że wiążę but. Okazało się, że kopnąłem metalowy pręt zbrojeniowy.

To było jak przeznaczenie.

Rozumiesz?

Nie wierzę w zbiegi okoliczności ani horoskopy.

Chwyciłem pręt i błyskawicznie się podniosłem. Zarys kobiety wprawiał mnie w ekscytację. Nie zastanawiałem się już nad niczym. Zarejestrowałem, że w niewielkiej willi za linią drzew palą się światła. Wokół nie było jednak żadnych przechodniów.

Niemal bezgłośnie przebiegłem kilkanaście metrów. Kobieta usłyszała mnie w ostatniej chwili. W momencie, gdy po raz kolejny się odwróciła, uderzyłem ją prętem w głowę.

A potem znów.

I znów.

Aż upadła.

56.

Kobieta leży na ziemi całkowicie nieruchomo. Z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk. Nie zdążyła choćby pisnąć.

Martwa.

Jest martwa. A przynajmniej wydaje się taka.

Nie robi mi to żadnej różnicy. Choć może to nawet lepiej, bo gdyby żyła, nie wiedziałbym, czy ją dobić. Tak, tak na pewno lepiej.

Ciągnę ją na bok, w stronę krzaków. Mimo że w okolicy nie ma nikogo, rozsądniej nie być na widoku. Nie mam pojęcia, dokąd prowadzi ścieżka.

Powoli odwracam ciało na plecy. Na twarz zerkam tylko z ciekawości. Niestety, to nie ta dziwka z baru. To byłoby zbyt wiele szczęścia.

Nachylam się i, dysząc, zdzieram z kobiety ubranie. Nie mogę poradzić sobie ze stanikiem, więc rozcinam go scyzorykiem. Nie zwracam uwagi na to, że ranię przy tym martwe ciało. Wyprostowuję się i przez chwilę patrzę na nagą sylwetkę. Chłonę każdy jej szczegół. Kosztuję jej, zastanawiając się, co powinienem z nią zrobić.

Tym razem wycinam lewą pierś. Udaje mi się to bez problemu, bo kobieta jest wyjątkowo kształtna. Wystarczy ścisnąć jej cycek i poprowadzić mocne cięcie. Pierś odchodzi od tułowia jak udko kurczaka od korpusu. Nie muszę nawet miażdżyć żadnych kości. To dziecinnie proste. Poza tym mam już trochę doświadczenia.

Powoli ulatuje ze mnie napięcie. Wiem jednak, że kiedy wrócę do domu, wszystko zacznie się od nowa. Za kilka lub kilkanaście

godzin. Najpóźniej następnego dnia. Znowu poczuję podniecenie i będę je musiał natychmiast rozładować. Muszę być przezorny.

Wycięcie krocza idzie mi równie sprawnie. Cała operacja trwa kilkadziesiąt sekund. Podobnie jak ostatnio, palcami usuwam część grudek tłuszczu. Resztą zajmę się w domu. Przez chwilę trzymam wykrojony narząd i gładzę go wierzchem dłoni. To sprawia mi przyjemność.

W końcu wycieram o trawę ubabrane ręce. Dyszę z euforii i poczucia spełnienia. Jak zwykle w takich chwilach, drzę na całym ciele. Zaciskam szczękę tak mocno, że bolą mnie zęby.

Rozluźniam palce kobiety i wyciągam z nich uchwyt torby, którą trzymała. Otwieram ją. Grzebię w środku i trafiam na jakiś papier.

Dobrze.

W znaleziony papier zawijam odcięte pierś oraz krocze, a następnie pakuję je do torby. Do drugiej dłoni biorę metalowy pręt.

Wychodzę z krzaków i kieruję się z powrotem ku torom. Idę szybko i po kilkuset metrach łapie mnie zadyszka. Wyrzucam pręt w jakieś chaszczki.

Czuję się wolny. Czuję się niepowstrzymany.

I mam świadomość, że to jeszcze nie koniec.

Z WIZJI LOKALNEJ

Rozpiąłem jej spodnie, zsunąłem je, nie zdejmując, rajstopy i majtki. Wtedy wyciąłem jej narządy rodne.

57.

Nie pamiętam większości drogi powrotnej. Wiem, że bocznymi ścieżkami doszedłem na dworzec w Wawrze. Zdaje się, że dotarłem na niego, gdy minęła dwudziesta pierwsza, a na dworze zrobiło się całkowicie ciemno.

Chyba swoim zwyczajem przez pewien czas szedłem wzdłuż torów, ale nie jestem pewny. W dłoni ścisakałem torbę, w której znajdowało się moje papierowe zawiniątko. Kilkukrotnie zatrzymywałem się i je oglądałem. Poza nim wciąż miałem przy sobie dokumenty należące do tamtej kobiety. Nie chciałem zostawiać ich przy zwłokach. Wiedziałem, że zabierając je ze sobą, utrudnię identyfikację i śledztwo.

O tak. Przyznaję. Działalem z pełną premedytacją. Czy to dziwne, że nie chciałem zostać złapany? Czy szaleńcy naprawdę muszą być pozbawieni rozumu i instynktu?

Na Dworcu Centralnym umyłem ręce i się odświeżyłem. Rękawy koszuli miałem poplamione krwią oraz tłuszczem, dlatego je podwinąłem. Tuż po dwudziestej drugiej wyjechałem pośpiesznym do Poznania.

W pociągu nie było tłoczno. Udało mi się nawet pobyć przez chwilę na korytarzu całkowicie samemu. Konduktor poszedł już dalej, a w przedziałach toczyły się przyciszone rozmowy. Część podróżnych spała.

Otworzyłem okno i wystawiłem twarz do wiatru. Przez chwilę cuciełem się, chłonec pęd pociągu. Uspokajałem się. Spowolniłem oddech i powstrzymywałem się przed kolejnym zerknięciem na wycięte narządy. Nie mogłem tego zrobić w pieprzonym pociągu.

Wreszcie upewniłem się, że nikt mnie nie obserwuje, i sięgnąłem do torby. Wyrzuciłem z niej wszystkie dokumenty, zostawiłem jedynie mój pakunek.

Mówiłem, że właśnie taki był koniec. Wyobraziłaś sobie wirujące w powietrzu kartki? Czy w twoich uszach zabrzmiały szum powietrza i stukot kół? Połączył nas ten obraz, tyle że ja pod paznokciami wciąż miałem fragmenty tkanki i krew.

Poza tym jesteśmy tacy sami – choćbyś nie wiem jak chciała zaprzeczać.

Wreszcie około drugiej pociąg dotarł na miejsce. Z torbą pod pachą przebiegłem przez dworzec i skierowałem się do domu. Wtedy jeszcze mieszkaliśmy z Gabrielą na Półwiejskiej. Na podwórzu znajdowała się szopa na węgiel i to za nią schowałem moje zawinięte w papier trofeum. Wolałem nie kusić losu. Jeśli jesteś dość dociekliwa, pewnie znajdziesz tę szopę nawet dzisiaj.

Ja powróciłem tam tylko raz.

W nocy nie mogłem zasnąć. Leżałem, gapiąc się w sufit i niecierpliwie czekając na świt. Znów narastało we mnie napięcie. Znów zacząłem odczuwać popęd, a Gabriela nie znosiła, gdy ją budziłem. Nie lubiła porannego seksu.

Gdy tylko wyszła do pracy, zbiegłem na podwórze. Przyniosłem do domu fragmenty ciała. Dłonie drżały mi z rosnącego podniecenia. Nie mogłem się doczekać, aż...

Z PROTOKOŁU

Wyciąłem tkankę tłuszczową, a skórę przyszyłem do manekina, który miałem. Potem się brandzlowałem.

58.

POZNAŃ

20 MARCA 1981 R.

W tamtym czasie swoją lalkę trzymałem schowaną w niewielkiej komórce. Nikt do niej nie zaglądał, dodatkowo założyłem własną kłódkę. Mimo to po kilku dniach postanowiłem pozbyć się fragmentów ciała. Bałem się, że ktoś przez przypadek odkryje mój sekret.

Sama wiesz, że nieszczęścia chodzą po ludziach... A ja miałem szczęście do nieszczęść. To kolejna z moich niewielu poetyckich myśli.

Wróciłem ze zmiany i zaczekałem, aż Gabriela wyjdzie z dziećmi na spacer. Wreszcie, gdy koło południa opuściła mieszkanie, pobiegłem do schowka. Wyciągnąłem z ukrycia lalkę. Krocze zaczęło już czernieć i cuchnąć. Pierś całkowicie straciła kształt. Brodawka sutkowa niemal odłączyła się od skóry.

Odprułem je od manekina i zawiązałem w jakąś tekturę. Całość upchnąłem do pieca kuchennego, po czym dołożyłem trochę węgla. Wrzuciłem do środka zapalnik. Tektura powoli zajęła się ogniem. Patrzyłem, jak w powietrze strzelają pojedyncze iskierki. Postanowiłem, że za jakiś czas dorzucę do pieca szczapę drewna. Wcześniej musiałem się pozbyć lalki, na której zostało trochę krwi i tłustych plam. Wyrzuciłem ją do śmieci na podwórzu, przysypałem workami, a następnie szybko wróciłem do mieszkania.

W progu niemal zderzyłem się z Gabrielą.

– Tak szybko? – zapytałem zaskoczony. – Już wracacie?

Wzruszyła ramionami.

– Zaczęło padać. Przecież nie będziemy łązić po deszczu. Dzieci się przeziębią.

Nawet nie zauważyłem, że padało. Rzeczywiście miałem mokre włosy oraz koszulę.

– No tak – bąknąłem.

– A ty gdzie byłeś?

– Schodziłem na dół.

– To wiem, ale po co?

Zacisnąłem usta. W gardle rosła mi gęła. Przeszedłem obok Gabrieli i schowałem dłonie do kieszeni. Miałem wrażenie, że wciąż pokrywa je krew.

– Nie odpowiesz?

– Przestań.

– Ed...

– Powiedziałem: przestań! – Rąbnąłem pięścią w ścianę. – Nie mogę, do kurwy nędzy, wyjść na dwie minuty bez twojego pozwolenia?! – wrzasnąłem prosto w twarz Gabrieli. – Jestem tu pieprzonym więźniem?

– Nie, ale...

– W takim razie się nie dopytuj. Niech cię to, kurwa, nie interesuje.

Westchnęła. Nie chciała się kłócić. Zerknęła na piec i przeszła obok mnie. Weszła do kuchni.

– Trzeba opróżnić palenisko. Paliłeś tu coś?

Nie odezwałem się. Cholerne zawiniątko musiało niedokładnie zająć się ogniem.

Obserwowałem, jak Gabriela otwiera metalowe drzwiczki i sięga po pogrzebacz...

Z PROTOKOŁU ZEZNAŃ GABRIELI

Kolanowski wtedy już pracował jako palacz w kotłowni. Kolanowski był wtedy w domu. Ja chciałam wygarnąć popiół z popielnika w piecu kuchennym stojącym w kuchni. Zobaczyłam wtedy w popielniku pipkę nieowłosioną. Zapytałam się Kolanowskiego, co to jest. Wtedy on mnie wypchnął zaraz do pokoju i zabronił mi wychodzić z pokoju. Po krótkim czasie poczułam smród i musiałam otwierać okna. Wyszłam z dziećmi na spacer, a Kolanowski został w mieszkaniu.

59.

POZNAŃ

28 CZERWCA 1981 R.

Na placu Mickiewicza znalazłem się gnany ciekawością. Właściwie już jakieś sto metrów od niego zatrzymał mnie zwarty tłum. Ryk syren i krzyki przypominały mi te sprzed dwudziestu pięciu lat.

Ćwierć wieku! Wyobraź sobie, że właśnie minęło ćwierć wieku od dnia, gdy po raz pierwszy widziałem trupa. Taka jest moja perspektywa. Nie ma w niej miejsca na politykę i ocenianie wydarzeń. Nie interesuje mnie, kto i dlaczego wtedy strzelał. Tak, wiem, że ludzie byli głodni, a ceny – obłędne. Matka mi o tym opowiadała. Poza tym dobrze pamiętam hasła wypisane na transparentach – oprócz tego jednego, który widziałem od tyłu.

Pomnik, który dziś odsłaniano, stał już od kilku dni. Wszyscy ciągle o nim gadali. O nim i o telegramie, który podobno wysłał Jan Paweł II i który miał zaraz zostać odczytany.

Zrobiło mi się duszno. Ludzie stali ściśnięci. Mimo że wokół mnie znajdowało się kilka kobiet, nie miałem ochoty ich dotykać. Od paru tygodni zupełnie tego go nie potrzebowałem.

Zacząłem się wycofywać. Niesione echem słowa przemówienia wżynały mi się w mózg. Wokół było zbyt wielu ludzi, zbyt wiele twarzy.

Zbyt wiele uśmiechów.

Ktoś, rozzłoszczony, że się przepycham, odepchnął mnie. Wpadłem na kolejnych ludzi, którzy obrzucili mnie wyzwiskami. Przeprosiłem i skuliłem się w sobie.

Ostrożnie, krok po kroku, starałem się opuścić tłum.

W pewnym momencie dostrzegłem przed sobą kobietę. Zmierzała w tę samą stronę co ja, a jej rysy wydały mi się znajome.

To...

– Hej!

Nie usłyszała mnie. Krzyknąłem raz jeszcze, ale nie miałem możliwości przebić się przez ogólną wrzawę. Przepchnąłem się przez grupkę mężczyzn w strojach roboczych i ruszyłem za nią. Wreszcie znaleźliśmy się w miejscu, gdzie tłum nieco się przerzedził.

– Hej! – zawołałem ponownie.

Tym razem zatrzymała się i odwróciła. Zerknęła na mnie zaskoczona.

– Tak?

– Czy... – Odchrząknąłem. – Nie poznajesz mnie?

Patrzyłem na Tereskę. Jej włosy nieco pociemniały i nabrały barwy trąconego patyną mosiądzu. Były długie, choć już nie tak długie jak w dzieciństwie. Pod oczami pojawiły się zmarszczki, a usta – nieco się zwężyły.

Nie, chyba...

– Tereska? – zapytałem mimo narastających wątpliwości.

Uśmiechnęła się zakłopotana. Odgarnęła z czoła kosmyk włosów i pokręciła głową.

– Chyba mnie pan z kimś pomylił.

– Przepraszam...

Wycofałem się, ponownie przedzierając się przez tłum. Ktoś właśnie odczytywał papieski telegram, więc wokół panowała niemal kompletna cisza, niczym na mszy.

Przed oczami wciąż miałem twarz Tereski. Przypomniała mi się i poczułem za nią dziwną tęsknotę. A gdyby się nam ułożyło? Gdyby przed dwudziestu pięciu laty nie było mnie pod ponurym

gmachem? Gdyby wtedy nie padł strzał? Gdyby Tereska się na mnie nie zezłościła...

Niech to lichy.

Wyrwałem się z tłumu i biegłem opustoszałą ulicą. Nie wiem, dlaczego z oczu ciekły mi łzy. W tyle usłyszałem odgłos wspólnej modlitwy tysięcy poznaniaków. Mimowolnie również zacząłem recytować jej słowa.

I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy...

Zatrzymałem się i, dysząc, oparłem się o kamienicę. Powinienem wrócić do domu. A może zamiast iść do domu, powinienem zgłosić się na milicję? Po raz pierwszy poczułem wyrzuty sumienia. Właściwie nie umiałem określić, czego żałowałem. Po prostu było mi źle z samym sobą.

Rodzące się wyrzuty sumienia błyskawicznie zagłuszył euforyczny wrzask tłumu.

Ruszyłem w stronę domu.

60.

POZNAŃ/NARAMOWICE

26 LUTEGO 1982 R.

Gabriela przez wiele tygodni trzymała się na uboczu. Unikała kłótni i rozmów. Nasze relacje pogorszyły się, a napiętność ustąpiła miejsca nieufności. Ona nie wiedziała, czego się po mnie spodziewać, a ja nie miałem pojęcia, czy na mnie nie doniesie.

Oddaliliśmy się od siebie, choć nadal zajmowaliśmy jedno mieszkanie. Minęło lato, a sytuacja nie przestawała być napięta. Czasem się kochaliśmy, jednak nie był to dawny spontaniczny seks. Udawaliśmy przed sobą kogoś innego. Staliśmy się sobie obcy.

Nigdy nie wróciliśmy w rozmowach do tamtego dnia. Nigdy nie zająknęliśmy się na temat tego, co Gabriela znalazła w piecu. Miałem nadzieję, że z perspektywy czasu wyda się jej to tak absurdalne, że przestanie wierzyć własnym wspomnieniom. Miałem nadzieję.

Z czasem znów zaczęliśmy się kłócić, lecz nie godziliśmy się już w łóżku. Zamiast kilkunastu razy na tydzień seks uprawialiśmy parę razy na miesiąc, jednak nie przeszkadzało mi to.

Po obcowaniu z tamtą kobietą w Wawrze znów wkroczyłem w fazę uspokojenia. Czasem ją wspominałem, a czasem myślałem o swoich byłych partnerkach. Mimo to nie czułem konieczności natychmiastowego rozładowania popędu.

Mimo że po przeprowadzce z Półwiejskiej na Wodną zamiast lichej komórki do dyspozycji miałem cały stryszek, nie stworzyłem kolejnej lalki. I być może to był mój błąd. Mogłem ją mieć i pieścić,

nie gromadząc w sobie podniecenia. Teraz właśnie tak to postrzegam – przez miesiące je kumulowałem, aż w końcu po prostu musiałem je rozładować. Nie mogłem się powstrzymać.

Ten stan pojawiał się zupełnie niespodziewanie. Zresztą już ci o tym opowiadałem. Nachodził mnie bez uprzedzenia i w jednej chwili przestawałem myśleć normalnie. Teraz to wiem. Choć nawet z tą świadomością nie mam pojęcia, czy postąpiłbym inaczej. Instykt był zbyt silny.

Wieczorem dwudziestego szóstego lutego poczułem, że muszę się rozładować. Ot, tak. Jakby ktoś nakręcił zabawkę, która musiała się poruszać.

– To coś obrzydliwego. – Wstałem od stołu i odsunąłem od siebie talerz z parówkami. – Smakują jak gówno.

– Pewnie wiesz, jak smakuje gówno?

W spojrzeniu Gabrieli kryło się wyzwanie. Nie podniosła się z krzesła. Nie przestała nawet jeść, lecz wymownie się uśmiechała.

– Chciałaś coś powiedzieć?

– Nie, dlaczego? Ale skoro mówisz, że to smakuje jak gówno, to domyślałam się, że wiesz, jak smakuje gówno. Tylko tyle.

Znowu ten uśmiech.

Teraz myślę, że chyba nie zdawała sobie sprawy, co mogłem jej zrobić. Jej i tym cholernym bachorom.

Jednak potrafiłem się opanować. Czy to znów świadczy na moją niekorzyść?

Ubrałem się i pośpiesznie wyszedłem na podwórze. Przez kilkanaście minut plątałem się bez celu. Byłem skołowany. Nagle zatrzymał się przy mnie autobus jadący na Naramowice. Mówiłem ci, że nie jestem przesądny, lecz wierzę w przeznaczenie. Dziwisz się?

Cmentarz naramowicki nie jest duży i zazwyczaj nie ma na nim wielu ludzi. O tej porze roku nawet w ciągu dnia pojawiali się na

nim przede wszystkim żałobnicy. Poza pogrzebami było pusto.

Wiedziałem o tym. Nie wspominałem ci, że czasem zapuszczałem się na poznańskie cmentarze tylko po to, by się po nich powłóczyć. Poza tym mam kilka swoich tajemnic. Wszyscy je mamy, prawda? Gdybym zdradził ci swoje, pewnie już nigdy nie potrafiłbym zaznać spokoju.

To skomplikowane, ale nie roztrząsajmy tego tematu.

Oprzytomniałem dopiero w Naramowicach. Działąłem, jakbym od dawna zaplanował każdy swój krok. Maszerowałem po ciemku prosto ku cmentarnej kaplicy. Nie rozglądałem się ani nie szukałem świeżych grobów.

Nie miałem problemu ze sforsowaniem drzwi. Były zamknięte na licheski zamek, więc wystarczyło mocniej popchnąć. Języczek wyleciał na posadzkę.

Nie bałem się. Idąc między grobami, nie dostrzegłem zupełnie nikogo. Nie było tu również stróża ani patroli milicji. Mogłem robić, co tylko chciałem. Mogłem delektować się każdą chwilą.

Film znowu rusza...

Kaplicę przesiąka zapach wypalonych świec, kwiatów oraz kadzideł. Zaciągam się nim. Działa na mnie pobudzająco. Wdychałem go tak wiele razy.

Na katafalku leży trumna. W świetle latarki już z odległości paru kroków widzę, że jest otwarta. Dopadam do niej kilkoma susami i z ulgą widzę, że znów mam szczęście. Zmarłą jest starsza kobieta.

Tym razem jednak zaczynam czuć się dziwnie nieswojo. Może to przez wiatr świszający przez drzwi, a może przez niosący się po kaplicy pogłos.

Denerwuję się. Chciałem, żeby było idealnie, a coś wybija mnie z nastroju.

Szlag.

Chwytam zwłoki pod ramiona i wywlekam z trumny. Z dłoni zmarłej wypadają książeczka do nabożeństwa oraz różaniec. Buty zsuwają się jej ze stóp. Z głuchyn hukiem kobieta pada na posadzkę. Dla wygody zaciskam dłonie na jej kostkach i ciągnę ku wyjściu. Nie jest ciężka.

Żeby było szybciej, biorę ją na ręce. Niosę ją jak dziecko troskliwie pielęgnowane przez ojca. Wiem, że za cmentarzem są tory kolejowe. W końcu tę okolicę wielokrotnie oglądałem z okna przejeżdżającego pociągu.

Idę w kierunku nasypu. Mimo że lekkie, zwłoki zaczynają mi ciążyć. Dwukrotnie je upuszczam i wlekę przez kilkanaście metrów po ziemi. Dyszę ze zmęczenia.

Przyjemność zawsze jest okupiona cierpieniem.

Przerzucam zwłoki przez niskie ogrodzenie. Sam nad nim przeskakuję i ciągnę ciało w stronę krzaków. Mam dość. Nie mogę już dłużej czekać.

Suknia zmarłej jest brudna i zniszczona. Rwę ją na strzępy. Odślaniam łono. Pieszczę je, przepuszczam między palcami rzadkie włosy.

– Tęskniłem – szepczę. – Tak bardzo tęskniłem.

Przechodzi mnie dreszcz i wiem, że długo tak nie wytrzymam. Odślaniam piersi kobiety. Są obwisłe i pomarszczone. Wyciągam z kieszeni scyzoryk, lecz nagle słyszę dziwny szum.

Przykucam.

Cholera.

Wszystko staje się jasne.

Śmieję się do siebie, widząc przecinające noc światła pociągu. Na wszelki wypadek spuszczam głowę, choć wiem, że nikt nie może mnie zobaczyć.

Gdy pociąg mnie mija, z powrotem zabieram się do roboty.

Ciało sześćdziesięciodziewięcioletniej Katarzyny P. zostało odnalezione następnego dnia. Trafiła na nie dziewczynka, która szła do szkoły skrótem pomiędzy ulicami Łużycką i Jasna Rola. Zmarła miała wycięte piersi oraz narządy rodne.

61.

Nie wiem, czy kiedykolwiek wierzyłem w Boga. Nawet gdy jako mały chłopiec chodziłem z matką na cmentarz, nie modliłem się. Zresztą nikt mnie do tego nie zmuszał ani nikt nie nauczył.

Już ci wspomniałem, że czasami bywałem w kościele Matki Boskiej Bolesnej. Podobał mi się. Podobał mi się tak samo jak dworce kolejowe, budynek Bałtyku lub osiedle Kopernika. Lubiałem jego jasne, przestronne wnętrza i zapach kadzideł. Niekiedy siadywałem w jednej z tylnych ław i tonąłem w myślach. Nie mam bladego pojęcia, o czym wtedy dumałem. O śmierci? Raczej nie. O życiu? Może czasami. Nie szukałem rozgrzeszenia ani ukojenia. Po prostu wsłuchiwałem się w ciszę. Rzadko zdarzało mi się przyjść w trakcie mszy.

Dlatego tym bardziej niepewnie poczułem się, gdy któregoś przedpołudnia znalazłem się przy konfesjonale. Dotarłem do niego całkowicie nieświadomie. Nie zrozum mnie źle. Nie miałem luki w pamięci ani nie przyprowadziło mnie tam jakieś drugie „ja”. Po prostu gdy zebrałem myśli, to klęczałem i wpatrywałem się w drewnianą kratkę.

Ksiądz odchrząknął. Milczałem już kilkanaście sekund.

– Nie wiesz, jak zacząć? – zapytał mnie łagodnie.

Nie odpowiedziałem. Przymknąłem oczy i spuściłem głowę. Słyszałem, że za mną w kolejce stoi kilka osób.

Gdyby Bóg istniał, co miałbym mu powiedzieć? Przecież doskonale wiedział o wszystkim, co zrobiłem.

– Proszę księdza... – odezwałem się, lecz zaraz urwałem.

– Tak? Mów śmiało.

Miałem zaciśnięte gardło. Po tym, jak rozładowałem się w Naramowicach, mój popęd znów został przytłumiony, tyle że nie miałem wątpliwości, że w końcu ponownie odżyje.

Jak zawsze.

Jednak teraz było mi trochę żal tego, co zrobiłem. Zapewne podobnie czują się dziewczyny, które budzą się rano na kacu obok obcego faceta. To nie są wyrzuty sumienia. Raczej zmieszanie i poczucie, że znowu zrobiło się głupstwo. A przecież miałem świadomość, że nie mogłem tego uniknąć.

– Kiedy to się skończy? – wypowiedziałem pytanie, które tłuło mi się po głowie.

– Nie rozumiem. Proszę, mów jaśniej, co ma się skończyć?

Pociągnąłem nosem. Zdałem sobie sprawę, że zaciskam dłonie na drewnianej krawędzi konfesjonału, tak jak kilkakrotnie chwytałem się brzegów trumien.

To skojarzenie sprawiło, że przebiegł mnie dreszcz. Zacisnąłem zęby i szybko się podniosłem. Odruchowo otrzepałem kolana i ruszyłem do wyjścia z kościoła. Czułem na sobie spojrzenia wiernych i Boga. Patrzył na mnie, rozpostarty na krzyżu.

Wybiegłem na zewnątrz. Było mi duszno i słabo. Zerknąłem na uczniów kręcących się przed zwałistym gmachem liceum po drugiej stronie Głogowskiej. Nie chciałem wpatrywać się w żadną konkretną sylwetkę, więc zaraz wbiłem wzrok w chodnik.

Tamtego dnia po raz ostatni byłem w kościele. Już zawsze kojarzył mi się z wątpliwościami. Jeżeli potrzebowałbym spowiedzi, będziesz dla mnie równie dobrym powiernikiem, co ksiądz.

Już jesteś.

Posłuchaj, co jeszcze mam ci do powiedzenia. Dochodzimy do momentu, który psychiatrzy nazwali eskalacją. Gdy słyszysz ten termin medyczny, zapewne wywołuje on wiele, ale niezbyt konkretnych skojarzeń.

Już niedługo.

Wkrótce wszystko się zmieni.

Również dla ciebie.

62.

POZNAŃ

4 LISTOPADA 1982 R.

– Jesteś popieprzona.

– Powiedział ten, który...

– No, śmiało! Dokończ. Nie wstydz się!

– Jesteś kawałem skurwysyna. Powinnam była trzymać się od ciebie z daleka. Zbyt wiele razy pozwalałam ci poczuć się pewnie i zatruwać mi życie. Ale jeszcze pozbędę się ciebie z tego mieszkania.

– To nasze mieszkanie.

– Nasze? A co w nim jest twojego?! Parę brudnych ciuchów?

– Zamknij się.

– Nie miałeś nawet cholernego talerza.

– Zamknij się, mówię.

– Nawet cholernego, poszczerbionego talerza! Gdyby nie ja, żarłbyś z podłogi! Tylko musiałbyś jeszcze zarobić na to, by mieć co zjeść!

Nie mogłem tego wytrzymać. Znów codziennie wybuchały kłótnie o byle co. Jakby Gabriela specjalnie usiłowała mnie sprowokować.

Tym razem się jej udało.

Podszedłem do stołu i chwyciłem brudny talerz. Buzowałem z wściekłości.

Z całej siły rzuciłem w nią talerzem, lecz nie trafiłem. Rozbił się o ścianę. Chwyciłem kolejny i ponownie rzuciłem. Tym razem celnie.

Gabriela wrzasnęła z bólu. Zgięła się wpół, po czym płacząc, uciekła do pokoju.

– Ostrzegałem, żebyś się zamknęła!

Dyszałem z wściekłości. Ręce mi drżały, a po plecach ściekał pot. Upewniłem się, że w kieszeni mam scyzoryk, i wyszedłem z mieszkania.

Potem rozpętało się piekło.

63.

Wziąłem swój czerwony rower, a za skórzany pasek włożyłem klucz francuski. Nie wiem po co. Jakiś instynkt kazał mi zabrać go ze sobą. Nigdy nie walczyłem z instynktem, choć chyba nie powinienem się do tego przyznawać. Jednak to już nie jest tylko moja i twoja tajemnica.

Nie zastanawiałem się, co robić ani gdzie jechać. Nie miałem planu. Działąłem jak cholerny automat. Mówię ci, z kolejnych trzydziestu minut niewiele pamiętam.

Pojechałem do Naramowic. Na cmentarz dotarłem około szesnastej trzydzieści. Było już prawie całkiem ciemno i paliły się dość liczne znicze. Cmentarze zawsze najżywsze są na początku listopada. To jedna z tych ładnych myśli, które często przychodziły mi do głowy w ostatnich latach.

W każdym razie tamtego wieczoru nie miałem zamiaru wywlekać z grobu żadnego trupa. Zostawiłem rower przy ogrodzeniu i postanowiłem jedynie się rozejrzeć. Przysięgam, że chodziło mi tylko o sprawdzenie terenu. Bałem się, że w okolicy będą jeszcze jacyś ludzie. Ale cmentarz był kompletnie opustoszały. Przeszedłem go wzdłuż i wszerz, lecz nie natrafiłem na żadną świeżą mogiłę. Żadną! Rozumiesz moją wściekłość? Nie miałem ochoty wracać do domu, a poza tym nie mogłem nawet ułożyć sobie przyjemnego planu na przyszłość.

Pustka.

Kop w dupę od losu.

Zajrzałem także do kaplicy, lecz w środku nie było żadnej trumny. W ogóle okolica sprawiała wrażenie dziwnie opustoszałej.

Zastanawiałem się nawet, czy nie pomieszało mi się w głowie. Czy to wszystko nie jest przypadkiem wytworem mojej wyobraźni.

Koszmarem.

Może wcale nie był początek listopada, może ludzie w ogóle nie umierali, a może...

Nie, nie, nie! Oparłem się plecami o mur kaplicy i wbiłem paznokcie we wnętrza dłoni.

Przez kilka minut obserwowałem migocące znicze. Wreszcie wyprostowałem się i postanowiłem wracać. Obiecałem sobie, że przyjadę tu następnego dnia. Wcześniej zdecydowałem się pojechać na Miłostowo lub inny cmentarz.

Wsiadłem na rower i skręciłem w ulicę Jasna Rola. Było już prawie zupełnie ciemno, więc jechałem dość wolno. Na pobliskiej łące dostrzegłem pochyloną kobietę. Przynajmniej tak mi się zdawało.

Przykuwa mój wzrok. Zwalniam jeszcze bardziej, żeby móc się jej przez chwilę przyglądać. Obserwuję ją i delektuję się jej ruchami. Jest do mnie odwrócona bokiem, lecz nie widzi mnie. Całkowicie pochłania ją jej zajęcie. Nie wiem, co robi. Szuka czegoś w trawie?

Zaczyna mnie dusić w klatce. Pot oblepia mi dłonie i ścieka po kierownicy. Naciskam mocniej pedały i mijam ją. Zostawiam ją w tyle razem z wszystkimi domysłami. Pedałuję jak oszalały.

To niebezpieczne.

Nie teraz.

Nie tutaj.

Dojeżdżam do linii zabudowań i wtedy pożądanie zwycięża. Nie mogę mu się dłużej opierać. Nie mogę, nie mogę, nie mogę...

Zeskakuję z roweru. Opieram go o płot i ruszam w stronę podłużnego wykopu. Przeskakuję go, po czym pokonuję wysoki nasyp ziemny. Buty ślizgają mi się na wilgotnej hałdzie. Stawiam długie, pewne kroki.

Kobieta jest tuż przede mną. Pochyla się, wciąż grzebie w trawie.

– Co panna tutaj robisz? – pytam, stając obok.

Nie boi się mnie. Ma przy sobie siatkę foliową, do której wrzuca kępki trawy. Zerka na mnie tylko przez chwilę, po czym wraca do swojego zajęcia.

Odburkuje coś niewyraźnie pod nosem, nie kryjąc nieuprzejmego tonu.

Nie rozumiem jej słów, co wprawia mnie we wściekłość.

– Co takiego? – dopytuję gniewnie.

Tym razem w ogóle mi nie odpowiada. Durna gnida całkowicie mnie lekceważy. Myśli, że jestem nikim. Że może mnie olać.

Pieprzyć to.

Rozglądam się wokół i wyszarpuję zza paska klucz francuski. Kobieta nie jest w stanie zareagować. Z impetem uderzam ją w głowę. Słyszę chrupot pękającej czaszki i cichy jęk.

Walę ją raz za razem. Nie kontroluję się. Działam w amoku. Uderzam znów i znów. Tłukę na oślep, choć kobieta już leży na ziemi. Jej krew obryzguje mi kurtkę i twarz. To wprawia mnie w jeszcze większą złość.

Kurwa.

Nagle przychodzi oprzytomnienie. Nachylam się nad nieruchomym ciałem i oblatuje mnie paralizujący strach. Ktoś mógł mnie zobaczyć. Jestem zbyt blisko zabudowań, a poza tym...

Rozglądam się i instynktownie rzucam do ucieczki. Wspinam się po nasypie, całkowicie brudząc sobie spodnie. Upadam, wstaję i otrzepuję dłonie. Wyprostowuję się, po czym głęboko wciągam powietrze. Rozglądam się jeszcze raz. Wokół nie widzę nikogo.

Muszę do niej wrócić.

Muszę.

Z PROTOKOŁU

Wtedy pomyślałem o jej narządach. Cofnąłem się do niej.

64.

Przeciagnałem ciało bliżej nasypu. Kobieta nie ruszała się, więc nie miałem wątpliwości, że jest martwa. Poza tym jej twarz...

Jej twarz przypomina kawał rozbitego mięsa. Nie można w niej rozpoznać człowieka, i tylko dlatego przykuwa moją uwagę.

Jest lekka i drobna. Układam jej ciało na plecach. Od zabudowań zasłania mnie wał ziemny, więc czuję się dość pewnie. Ktoś mógłby mnie zobaczyć tylko wtedy, gdyby wszedł na łąkę. Albo na dach najwyższego z zabudowań za moimi plecami.

Mimo to działam szybko. Rozcinam scyzorykiem dwukolorową kurtkę ortalionową i szary golf. Przez roztrzaskaną głowę ściągam podkoszulkę. Patrzę na odkryte piersi, lecz w półmroku trudno mi dostrzec ich kształt. Nachylam się i przez chwilę ich dotykam. Wydają mi się wręcz gorące. Ugniatam je jak kot deptający po kolanach właściciela. Znow drzę w przypiływie ekstazy.

Padam na kolana i przesuwam się niżej. Podniecony zrywam jej majtki. Przykładam je do nosa, po czym głęboko wciągam powietrze. Czuję jej zapach, lecz potrzebuję czegoś więcej. Dużo więcej. Odrzucam majtki na bok, ale nie daleko. Wiem, że później będę musiał je ukryć. Tak jak wszystkie jej rzeczy.

Ciało kobiety jest ciepłe. Wydaje mi się, że – podobnie jak biust – jej uda są wręcz gorące. Rozchylam je i robię pierwsze nacięcie. Aby nakręcić się jeszcze bardziej, na powrót zajmuję się jej piersiami. Są małe i jędrne. Wykrawam skórę, niemal oddzielając ją od żeber. Ostrze scyzoryka zgrzyta o kości, bo w tym miejscu niemalże nie ma tkanki tłuszczowej.

Jestem u kresu wytrzymałości. Nie mogę już dłużej odkładać spełnienia. Odszukuję palcem nacięcie przy kroczu kobiety. Ponownie wbijam tam scyzoryk i nagle przechodzi mnie dreszcz. Podniecenia oraz zmieszania.

Z PROTOKOŁU

Przy wycinaniu zauważyłem, że dziewczynka ta nie ma owłosionych narządów. Wtenczas zorientowałem się, że ona jest nieletnia.

Trzynastoletnia Alinka K. wyszła z domu, aby narwać trawę dla królików. Już w nocy 4 listopada rodzice zawiadomili milicję o zaginięciu. Jednak zwłoki dziewczynki odnaleziono dopiero 15 grudnia w znacznym stopniu rozkładu. Z ciała usunięto piersi oraz narządy płciowe.

W nieodległym stawie natrafiono na rzeczy należące do dziewczynki. W toku czynności śledczy po raz pierwszy dopuścili możliwość, że w okolicy grasuje seryjny zabójca i nekrofil.

65.

Zwłoki nastolatki przeniosłem o kilkaset metrów, po czym wrzuciłem je do wykopu. Starannie przysypałem je ziemią. Było już zupełnie ciemno, ale próbowałem jeszcze usunąć ślady butów. Rozgrzebywałem ziemię gołymi rękoma i przesypywałem ją, jakbym poszukiwał złota. Święty spokój był złotem.

Po doznanym spełnieniu w moim umyśle znów załagał się strach przed złapaniem. Byłem wściekły, że zrobiłem to tak blisko zabudowań. Że ponownie dałem się ponieść emocjom. Mimo to nie zamierzałem zmarnować okazji. Wiedziałem, że wszystko potoczy się tak samo jak zawsze.

Obok drogi znalazłem papier, w który zapakowałem wycięte części ciała. Zabierając je ze sobą, od razu poczułem się lepiej. Wiedziałem, że jeśli tylko najdzie mnie ochota...

Tak, wiem. Nie powinienem o tym mówić.

Przypomniałem sobie o pozostawionych na łące ubraniach dziewczynki. Poszedłem po nie i wyrzuciłem do pobliskiego stawu. Nie sądziłem, żeby ktoś ich tam szukał, a nie chciałem ponownie rozkopywać jej grobu.

Byłem cały utyłany ziemią. Piasek zgrzytał mi nawet pomiędzy zębami.

Wróciłem po rower i szybko pojechałem do domu. Na wypadek, gdyby ktokolwiek chciał mnie zatrzymać, postanowiłem przyśpieszyć. Na szczęście obyło się bez problemów.

W kamienicy od frontu nie paliło się już żadne światło. Nie mam pojęcia, która była godzina, lecz mogła dochodzić północ.

Wszedłem na klatkę i dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że moje spodnie dosłownie pokrywa skorupa błota.

– Szlag... – zakląłem.

Nie wiedziałem, czy Gabriela już się położyła spać. Wołałem uniknąć pytań i krzywych spojrzeń. I tak widziała już zbyt wiele.

Zdjąłem spodnie, przełożyłem scyzoryk do kieszeni kurtki, po czym półnagi ponownie wyszedłem na podwórze. Wyrzuciłem spodnie do kosza na śmieci.

Plamy krwi na rękawie zauważyłem, gdy już wróciłem do mieszkania. Gabriela, na szczęście, nie miała zamiaru się ze mną przywitać. Nie spała, bo w pokoju było zapalone światło.

– Cześć – rzuciłem oschle. – Zaraz do ciebie przyjdę.

W tym samym momencie zobaczyłem, że zerka na mnie przez szparę w drzwiach. Nie odezwała się. Miała surową minę i ściągnięte brwi. Głośno westchnęła.

– Cześć – odparła równie oschle.

Odwróciłem się. Przeszedłem do łazienki i zamknąłem za sobą drzwi. Przez chwilę gapiłem się w swoje odbicie w lustrze, wreszcie zebrałem się do kupy. Gabriela nie mogła mi zagrozić.

Wyprałem kurtkę w zimnej wodzie, ale to cholerstwo nie chciało się zmyć. Jakby ta suka miała skażoną krew.

– Co ty tam robisz?

Gabriela stała pod drzwiami łazienki. Zabębniła paznokciami we framugę.

Nie odezwałem się. Wyjąłem kurtkę i zwinąłem ją w kłębek. Do środka włożyłem papier z moją zdobyczą. Otworzyłem drzwi i przeszedłem obok Gabrieli, nawet na nią nie patrząc.

– Idź spać – mruknąłem.

– Gdzie byłeś?

– Gównno cię to obchodzi.

Nie włożyłem nawet spodni. Wszedłem z mieszkania i skierowałem się na strych. Tylko ja miałem klucz do komórki.

Pchnąłem drzwi i...

Zaciągam się zapachem stęchlizny. Przekręcam włącznik światła i niewielkie pomieszczenie wypełnia jasność. Są w nim jedynie stara szafka oraz parę szpargałów.

Podchodzę do jutowego worka. Ściągam go i sięgam po moją lalkę. Z kurtki wydaję papierowe zawiniątko oraz scyzoryk. Powoli rozwijam papier. Choć niedawno się zaspokoilem, podniecenie znów we mnie narasta.

Drzę.

Wyciągam wycięte krocze dziewczyny i kładę je na blacie szafki. Klękam przy niej. Scyzorykiem usuwam fragmenty tkanki tłuszczowej, by pozostawić samą skórę. Mam coraz większą wprawę, więc idzie mi to naprawdę dobrze. Poza tym śpieszę się, bo nie mogę się doczekać końcowego efektu.

Wreszcie ściągam grudki tłuszczu i ocieram scyzoryk o worek. Z szuflady szafki wydaję igłę oraz nić. Przystępuję do dzieła.

Z PROTOKOŁU

Manekiny – po prostu rajstopy wypełnione i bluzka tak przyszyta i wypełniona gąbką, którą znalazłem na śmietniku. [...] Głowy nie było. [...] Tam, gdzie kobieta ma piersi i narządy, tam przyszywałem tę skórę, bo skóra już tylko wtedy była i wszystko usunięte. [...] I się onanizowałem trzy czy cztery dni.

66.

POZNAŃ

LISTOPAD 1982 R.

Telewizor się rozgrzał dopiero wtedy, gdy *Dziennik* trwał już od jakiegoś czasu. Coś było uszkodzone i jeszcze przez kilka sekund nie mieliśmy głosu.

Gabriela siedziała na kanapie tuż przy mnie. Tego dnia się nie kłóciliśmy, a nawet w miłej atmosferze zjedliśmy razem kolację. Zdajesz sobie chyba sprawę, że to było coś niezwykłego. Ale mawiają, że w przyrodzie zawsze musi być równowaga.

Po chwili na ekranie wyświetliło się zdjęcie. Mimo że twarze zawsze były dla mnie nieistotne, od razu rozpoznałem postać z fotografii.

Tamta dziewczynka.

„...mające jakiegokolwiek informacje, które mogą pomóc śledczym, proszone są o...”

Te słowa wryły mi się w pamięć. Nie wiem, dlaczego to wszystko podziałało na mnie tak silnie. Zacząłem się trząść.

– Kurwa – syknąłem bezwiednie.

Poszedłem do kuchni. Nagle w głowie zakotłowały mi się rozmaite strzępy wspomnień. Nie chciałem jej zabić. Naprawdę tego nie chciałem. Gdyby tylko istniał inny sposób na rozładowanie emocji...

Opłukałem twarz zimną wodą i przygryzłem usta.

Żałowałem, że wziąłem wtedy ze sobą ten cholerny klucz francuski. Powinienem był pojechać, jak zwykle, na cmentarz i od

razu wrócić. Nie zatrzymywać się. Wywlec z grobu jakiegokolwiek nadające się ciało.

Twarz dziewczynki ponownie pojawiła mi się przed oczami. Nie wyglądała tak, jak na pokazanym w telewizji zdjęciu. Była opuchnięta i zakrwawiona.

Zapaliłem papierosa i oparłem się o stół. Miałem wrażenie, że zaraz stracę równowagę. Kręciło mi się w głowie, jakbym wypił wódkę.

Gabriela weszła do kuchni i stanęła w progu. Powoli wypuściła powietrze.

– Ty to zrobiłeś? – zapytała bez ogródek.

Wzruszyłem ramionami.

Podeszła do mnie i uderzyła mnie dłonią w pierś. W jej oczach skrzyły się łzy, lecz nie było w nich strachu. Ręka drżała mi tak mocno, że wypadł mi papieros. Schyliłem się po niego. Nie sprzątnąłem popiołu. Zaciągnąłem się głęboko, jakbym w ten sposób mógł uniknąć odpowiedzi. Wypuściłem gęsty kłęb dymu w stronę sufitu.

Musiałem dosłownie zaciskać palce na papierosie, żeby mi ponownie nie wypadł. Zagasiłem go i sięgnąłem po kolejnego. Nim zdołałem odpalić, połamałem kilka zapalek.

– Ed...

Gabriela łagodnie dotknęła mojego ramienia. Odtrąciłem jej dłoń i odwróciłem się do okna. Oparłem się czołem o chłodną szybę. Krople deszczu brzęczały o parapet. Wiatr przeciskał się przez nieszczelny lufcik. Jęczał.

Zawodził, jakby niósł odległy płacz.

Strzepnąłem popiół na podłogę i się wyprostowałem. Zerknąłem na odbicie Gabrieli w szybie. Nasze spojrzenia na moment się spotkały, lecz zaraz odwróciłem wzrok. Kątem oka widziałem, że twarz mojej kochanki zamienia się w twarz tej dziewczynki.

Zamknąłem oczy i zaciągnąłem się papierosem. Przytrzymałem dym w płucach tak długo, aż zacząłem się dusić. Wypuściłem go, kaszląc i się dławiąc.

Otarłem nos dłonią.

Otworzyłem oczy, po czym wbiłem wzrok w podłogę.

– Cholera... – szepnąłem. – Zamordowałem.

Z ZEZNAŃ GABRIELI

Następnego dnia powiedział, że zamordował tę dziewczynkę i że wyciął ją.

„EXPRESS POZNAŃSKI” Z 9 LISTOPADA 1982 R.

Kto widział tę dziewczynkę? Dnia 2 listopada 1982 r. o godz. 16.30 wyszła z domu i dotychczas nie powróciła.

Alina c. Eugeniusza i Teresy, uczennica 5 klasy Szkoły Podstawowej nr 44 Poznań.
RYSOPIS ZAGINIONEJ: Wzrost: około 155 cm, dobrze zbudowana...

[...]

Ktokolwiek wie o losie zaginionej, proszony jest o skontaktowanie się z Komendą Miejską Milicji Obywatelskiej w Poznaniu lub najbliższą jednostką Milicji Obywatelskiej.

W uzupełnieniu powyższego komunikatu należy dodać, że dziewczynkę widziano najpierw około godz. 15:30 w „samie” przy ul. Madziarskiej, jak dokonywała zakupów. Pojechała tam zielonym rowerem – składakiem. Wróciła następnie do domu. Wyszła ponownie o godz. 16.30 z zamiarem narwania trawy dla królików. Zabrała ze sobą parcianą torbę. Trawę zrywała niemal codziennie na polu leżącym między ul. Łużycką a Jasna Rola w odległości ok. 200 metrów od mieszkania.

67.

POZNAŃ

29 LISTOPADA 1982 R.

Znów ten komunikat. Milicjanci nadal szukają trzynastoletniej Aliny K. Znów wszędzie widzę jej zdjęcie i twarze jej rodziców. Znów przewijają mi się w umyśle. Mimowolnie przypominam sobie jej ciało. Jej ciepłe, gładkie ciało...

Narasta we mnie podniecenie i nie śpię kolejną noc. Świt. Wreszcie świt.

Jest mroźno i wietrze, lecz po kilkuset metrach pedałowania rozgrzewam się. Mimo to mróz szczypie mnie w twarz. Zimne powietrze świszczy mi w gardle. Mam wrażenie, jakby przy każdym oddechu moje płuca pękały od środka. Jakby były wyściełane taflą cienkiego, bardzo cienkiego szkła.

Droga na cmentarz na Miłostowie zajmuje mi kilkanaście minut, może pół godziny. Zostawiam rower, po czym przechodzę mur. Jest dopiero po szóstej i robi się szarówka. Ciężkie, stalowe chmury zasnuwają niebo. Na szczęście nie pada.

Szybko przechodzę główną aleją i skręcam w boczną ścieżkę. Kluczę między nagrobkami w części, w której są najnowsze groby. Czuję narastające napięcie. Zaczynam drżeć, a po plecach spływa mi pot.

– Kurwa... Kurwa...

Klnę, ilekroć wychodzę z kolejnego sektora, nie znalazłszy żadnego świeżego grobu. Boję się iść do kaplicy. Tam już od rana płaczą się ludzie i czasem pojawia się stróż. Wiem to zbyt dobrze, aby zaryzykować.

leży bukiet przemarzniętych kwiatów i stoi kilka zniczy. Bogumiła...

Rozglądam się.

Wokół nie ma nikogo. Nawet ptaki nie świergocą.

Padam na kolana i gołymi rękoma zaczynam rozkopywać zbryloną ziemię. Nie zważam na ból. Łamię sobie paznokcie i zdzieram skórę. To wszystko jest nieważne.

Dopadam do desek, ściągam je i natychmiast wskakuję do wykopu. Uwielbiam ten ziemisty zapach. Oblepia mój przetyk i niedawno spękane od środka płuca. Przyprawia mnie o dreszcz oszołomienia.

Śpieszę się.

Nie mam zbyt wiele czasu, choć na moją korzyść działa to, że znajduję się w bocznej części cmentarza. Nie prowadzi tu żadna z głównych alejek. Poza tym jest nędzna pogoda.

To wymówki. Pocieszenia hazardzisty, który właśnie wyłożył na stół wszystkie pieniądze. Mam tego świadomość, więc śpieszę się coraz bardziej.

Zrzucam wieko trumny i wywlekam zwłoki. Chwytam je za suknię, a sam staram się wyjść z grobu. Trumna przewraca się i muszę mocniej złapać materiał, żeby się nie urwał. Nie zwracam uwagi na to, co dzieje się ze zmarłą. Potrzebuję tylko jej fragmentów. Potrzebuję tylko jednej jej części.

Krew pulsuje mi w skroniach, a gardło mam zaciśnięte. Dyszę z wysiłku. Coś blokuje zwłoki, lecz w końcu udaje mi się je wywlec na ziemię. Przeciągam je kilka metrów na bok.

Wyjmuję scyzoryk i natychmiast dopadam do ciała.

Zbeczczeszczone zwłoki Bogumiły M. zostały znalezione tuż obok rozkopanego grobu na cmentarzu w Miłostowie. Ciało pozbawiono piersi oraz narządów płciowych. Milicjanci natrafiają na pierwszy konkretny ślad sprawcy – odcisk męskiego buta na ziemi.

68.

Lalkę, jak zwykle, używałem regularnie dwa, trzy razy dziennie przez kilka dni. Wreszcie wycięte narządy zaczęły gnić i cuchnąć. Bałem się, że smród przykuje uwagę sąsiadów. Zresztą drażnił również mnie.

Oczekałem, aż Gabriela pójdzie na zakupy. Zrobiłem jej nawet awanturę, że w domu nie ma podstawowych produktów. Może wtedy coś wyczuła? Może coś przykuło jej uwagę, skoro – nim trzasnęła drzwiami – obrzuciła mnie podejrzliwym spojrzeniem. Uśmiechnęła się. Tak jak tylko ona potrafiła – ironicznie i z pogardą.

– Pieprz się – syknąłem.

Oczekałem kilka minut i powlokłem się na stryszek. Zastanawiałem się, czy nie powinienem się po raz ostatni zabawić z lalką. Jednak poczerniała skóra mnie nie nakręcała. Przeciąłem scyzorykiem nici i zawiązałem krocze oraz piersi w gruby papier. Z żalem zerknąłem na oszpeconą lalkę i wróciłem do mieszkania. Wrzuciłem pakunek do pieca w kuchni, po czym go podпалиłem. Po mieszkaniu rozniósł się cuchnący dym.

Dosłownie chwilę później wróciła Gabriela. Nie przypuszczałem, że tak długo zajęło mi uporanie się z lalką. Niekiedy zdarzało się, że czas płynął szybciej, niż mi się zdawało. Innym razem w ogóle nie byłem świadomy jego upływu. A może odbyłem z kukłą jeszcze jeden numer, którego nie chcę pamiętać? Zastanawiam się nad tym, lecz nie chcę brzydzić się sam siebie. Nie chcę, aby pomyślano, że próbuję zrobić z siebie szaleńca. Zawsze byłem normalny, choć miałem swoje potrzeby.

Gabriela przeszła obok mnie i nagle się zatrzymała. Nasze spojrzenia się spotkały, a wtedy pochyliła się nade mną. Powoli wciągnęła powietrze.

– Twój sweter śmierdzi trupem – wycedziła z pogardą.

Pamiętam, że się nerwowo zaśmiałem. Miałem ochotę ją uderzyć. Miałem ochotę wgnieść ją w ziemię i wyciąć części ciała, które zdążyłem już poznać na pamięć. Do niczego by mi się jednak nie przydały. Nie sprawiłyby mi żadnej przyjemności.

– Jesteś pojebana.

Z PROTOKOŁU ZEZNAŃ GABRIELI

Odpowiedział, że jestem pojebana. Czułam smród dochodzący z pieca kuchennego, zajrzałam do niego i zobaczyłam tam w popielniku pipkę owłosioną. Leżała ona jakby w niezawiniętym papierze, pomieszana z popiołem. Pipka była owłosiona. Dotykałam jej za pośrednictwem pogrzebacza.

69.

W końcu ciało się dopaliło. Przez ostatnie minuty obserwowałem, jak skóra łuszczy się, czernieje i zwija, a następnie rozsypuje się w proch.

Tyle zostanie z każdego z nas. Ze mnie i z ciebie. Mówiłem już, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Można zdać się na to, co daje nam los, albo samemu go sobie wykuć. Chciałem sobie wmówić, że zdobywając fragmenty ciał, właśnie tak robię. Biorę los w swoje ręce.

Nawet w to nie wierzyłem. W rzeczywistości nic ode mnie nie zależało. Do wszystkiego zmuszał mnie ten dziki, niepohamowany popęd, po którego rozładowaniu znów stawałem się nikim. Zwykłym zerem.

Jasne, nazywałem siebie Zimnym chirurgiem. Kilkukrotnie przeszło mi przez myśl, by wysłać list na milicję, w którym opisałbym, co tak naprawdę zrobiłem. Nie podejrzewali mnie nawet o znikomą część prawdy. Pewne groby nigdy nie zdradziły swoich tajemnic. Nawet do teraz, jeśli wiesz, co mam na myśli. Jeżeli się nie domyślasz, tym lepiej dla ciebie.

Myśli o zadenuncjowaniu samego siebie pojawiały się tylko wówczas, gdy byłem podniecony. Potem napięcie opadało i ponownie zaczynałem się bać. Tego, że mnie złapią, że znów pójdę siedzieć albo że...

Tak, przyznaję. Kilkukrotnie myślałem o karze śmierci. Szczególnie wtedy, gdy raz po raz wałkowano temat tej zaginionej trzynastoletki. Za bezczeszczenie zwłok nikogo się nie zabija, ale za zamordowanie kilkunastoletniej dziewczynki...

Pieprzyć to.

Przez te myśli zdarzało mi się nie spać. Nie miałem wtedy koszmarów, ale całymi godzinami dygotałem ze strachu. Nie wstydzę się o tym mówić. Ciągłe się zastanawiam, czy chodziło o lęk przed śmiercią. W zasadzie nie boję się ani tego, co jest potem, ani samego procesu umierania. Kiedy na chłodno roztrząsam ten temat, mam wszystko gdzieś. Nie interesuje mnie, co wydarzy się za tydzień, miesiąc lub za pół roku. Kiedy kładziemy się spać, nie boimy się przecież snów. Osuwamy się w nicość i spokojnie się jej oddajemy. Mamy nadzieję, że wkrótce znów się obudzimy, ale czy naprawdę jest nam do czegoś potrzebna taka nadzieja?

Zamknąłem drzwiczki do pieca i otrzepałem dłonie. Rzuciłem pogrzebacz w kąt. Szybko się ubrałem i wybiegłem przed kamienicę. Wiedziałem, że Gabriela będzie z dziećmi w parku. Zobaczyłem ich już z daleka. Spacerowali powoli, obserwując stado gołębi, jakby nigdy nic się nie stało. To od razu poprawiło mi nastrój.

Przyśpieszyłem kroku. Nadal bałem się reakcji Gabrieli, lecz uspokajało mnie, że w pobliżu nie było ludzi. Nawet gdyby wybuchła awantura, nikt nie zwróciłby na nas uwagi. Temperatura ledwie przekraczała zero stopni, a powietrze było przesiąknięte wilgocią. Zdawało mi się, że mży, choć nigdzie nie było widać najmniejszych kropli.

– Cześć! – krzyknąłem, podchodząc.

Gabriela spojrzała na mnie i na moment jej twarz wykrzywił grymas. Jednak po chwili się uśmiechnęła.

– Cześć – powiedziała, po czym pocałowała mnie w usta.

Wziąłem ją za rękę i poprowadziłem ku głównej ulicy. Dzieciaki, pokrzykując, biegły za nami. Wyglądaliśmy jak każda przeciętna rodzina. Gdy spotykasz takie na spacerze, uśmiechasz się albo zazdrościsz im szczęścia.

– Idziemy na czekoladę? – zapytałem, zacierając zmarznięte dłonie. – Macie ochotę?

Usłyszałem radosny pisk dzieci. Gabriela odwróciła się do mnie, ale nic nie powiedziała. Puściła moją dłoń i chwyciła mnie pod ramię.

Zgodziła się.

Z PROTOKOŁU ZEZNAŃ GABRIELI

Poszliśmy razem na krem do baru kawowego i wróciliśmy do domu. W domu jeszcze śmierdziało, choć okna były otwarte. Gdy wróciliśmy z tego spaceru, to Kolanowski powiedział mi, że jak komukolwiek o tym powiem, to mnie zabije.

70.

Tego wieczoru znów nie mogłem zasnąć. Gabriela również spała niespokojnie. Wierciła się i przewracała z boku na bok.

Nie miałem wyrzutów sumienia. Gdybyś mnie wzięła na tortury i miałbym szczerze odpowiedzieć, tobym przyznał, że nie żałowałem tego, co zrobiłem. W ogóle. Było mi nieco żal, że ta dziewczynka tak młoda, lecz chyba przede wszystkim bałem się, że przez nią milicja może się na mnie wziąć. Śmierć dziecka robi więcej zamieszania niż wywleczone z grobu zwłoki albo gacie zwinięte z ręcznika plażowego. Tym bardziej, jeśli sprawy zaczynają się łączyć...

Zastanawiałem się, czy dobrze zatarłem pozostawione przez siebie ślady. Gdy zamordowałem tę małą, było ciemno, ale starałem się wszystko uprzątnąć. Nie do końca mi się to udało. Już po paru dniach natrafiono na jej ubrania, które wrzuciłem do stawu. Tylko do czego mogły się przydać mokre ciuchy? Nie został na nich po mnie najmniejszy ślad. Przynajmniej taką miałem nadzieję.

Jej części ciała spaliłem już dawno. Podobnie jak papier, w którym je przewiozłem. Zastanawiałem się również nad spaleniem lalki, ale przecież ta bezgłowa kukła nie mogła mnie wydać. Natomiast mogła zrobić to Gabriela.

Nie miałem pojęcia, czy powinienem jej zaufać. Kiedy po raz pierwszy odkryła fragmenty zwłok w piecu, awantura trwała miesiącami. Tym razem już po godzinie jedliśmy krem czekoladowy. Zaśmiewaliśmy się i trzymaliśmy za ręce. Niepokoiło mnie to.

Obawiałem się, że w ten sposób jedynie stara się uśpić moją czujność, by któregoś dnia mnie zdradzić. Może nawet jutro. A może milicja już czaiła się pod drzwiami, czekając tylko, aż zasnę? Cholera.

Pot rosił mi czoło. Spływał za uszami i łaskotał w kark. Gapiłem się w przysłonięte zasłoną okno. Zegar u sąsiadów wybił już północ.

Gabriela po raz kolejny przewróciła się z boku na bok. Teraz ułożyła się twarzą w moją stronę. Nie widziałem, czy na mnie patrzy, lecz miałem takie wrażenie. Czułem na sobie jej spojrzenie.

Palił mnie.

Starłem się opanować, ale nie potrafiłem wyzbyć się myśli, że właśnie zastanawia się, jak mnie wydać. Świdrowała mnie wzrokiem, robiąc rachunek zysków i strat.

Nie wiem, czy kiedykolwiek mnie kochała. Wydawało mi się, że przeczuwała moją wyjątkowość i to ją pociągało. Gdyby tak było, nie musiałbym się niczego obawiać, ale z drugiej strony...

Nie. Nie mogłem zaryzykować. Nie mogłem po raz kolejny trafić do pudła...

Gdybym ją zabił, miałbym spore problemy. Nawet gdybym ukrył ciało, milicja zaczęłaby węszyć. Poza tym musiałbym pozbyć się dzieciaków. Ich nie potrafiłbym zamordować. Uznaj to za okoliczność łagodzącą lub nie, ale przyrzekam, że nie potrafiłbym zabić dzieci. Chociaż...

Spoglądałem na jej tonącą w półmroku twarz i myślałem o tym wszystkim. Zapewne nigdy się o tym nie dowiedziała. Choć sądzę, że mogła mnie podejrzewać.

Musiałem coś zrobić. Inaczej już nigdy bym nie zasnął. Już nigdy bym...

Gwałtownie obróciłem się na bok. Gabriela nie zdążyła się nawet poruszyć. Chwyciłem ją za gardło i z całej siły zacisnąłem palce.

Z jej ust dobiegło ciche chrząknięcie. Wierzgnęła nogami, ale to było wszystko, co mogła zrobić. Położyłem się na niej, blokując jej ręce.

– Przyrzeknij, że nikomu nie powiesz o tym, co widziałas – wycedziłem.

Zacharczała.

Lekko zwolniłem uścisk i zmieniłem pozycję, gotów chwycić ją jeszcze mocniej.

– Nie rozumiem, co mówisz.

– Przszeeek... kam.

– Przyrzekasz?

– T... tak.

– Że nie powiesz tego nikomu, nawet koleżankom?

– T... tak.

– Bo cię zabiję. Rozumiesz?

– Mhm.

– Rozumiesz, kurwa?!

– T... tak.

– To dobrze, że się rozumiemy. To bardzo dobrze. Cieszę się.

Rozluźniłem palce i opadłem na poduszkę. Powoli się uspokajałem. Gabriela kilkakrotnie sucho odkaszlnęła. Teraz leżała obok mnie już całkowicie nieruchomo, jednak nadal słyszałem jej charkotliwy oddech. Wsłuchiwałem się w niego, aż w końcu usnąłem.

71.

Dzień był pogodny i zimny. Prawdziwy zimowy wyż. Szczelnie obwiązałem się szalikiem, a i tak mróz szczypał mnie w policzki. Dłonie, choć w rękawiczkach, trzymałem schowane w kieszeniach. Marzły mi nawet palce u stóp.

– Zwolnij...

Gabriela szła obok mnie. Co kilka kroków musiała podbiegać i złapała ją zadyszka. Nie wiedziałem, dlaczego uparła się na spacer akurat po ulicy Armii Czerwonej[5]. Chciała iść właśnie tam. Na szczęście śnieg był wydeptany i nie było pod nim lodu.

– Kiedy maszeruję szybciej, rozgrzewam się – burknąłem. Nie miałem ochoty spacerować, lecz podkusiło mnie, aby wyjść razem. Chyba tylko po to, by mieć nad nią iluzoryczną kontrolę.

– Nie nadążam.

– Rób większe kroki.

– Kiedyś dla mnie taki nie byłś...

– Kiedyś...

– Mundek!

Zatrzymałem się i nerwowo spojrzałem w błękitne niebo. Zerknąłem na pomnik ofiar czerwca 1956. Przypomniałem sobie dzień, w którym go odsłonięto. Przypomniałem sobie tamten tłum i nastrój. Cholerny patos, modlitwy i tamtą kobietę, podobną do Tereski.

Teraz plac był niemal zupełnie pusty. Pomnik Mickiewicza był oklejony śniegiem. Wiatr niósł białe tumany pomiędzy drzewami i strzepywał lodowe iskierki z gałęzi. Pochylony mężczyzna

ciągnął sanki, na których siedziała ubrana w czerwony kombinezon dziewczynka. Oboje się śmiali.

Obtupałem buty i się odwróciłem.

– Wracajmy – zaproponowałem.

Gabriela pokręciła głową. Stała tuż koło mnie i wzięła mnie pod rękę. Zobaczyłem, że się rozgląda.

– Jeszcze chwilę – powiedziała, wystawiając twarz, bym ją pocałował. Miała zaczerwienione z zimna policzki.

– Chcesz tu tak stać? – zdziwiłem się. – Zaraz zamarzniemy. Nikt inny nie miał kretyńskiego pomysłu spacerowania w taki ziąb.

– Miał. Na przykład tamten facet z dzieckiem.

– Ciągnięcie sanek to prawie jak uprawianie sportu.

– Która godzina?

Zirytowany wyciągnąłem rękę z kieszeni i podwinąłem rękawiczkę.

– Za dziesięć jedenasta. Co za różnica?

– Tak pytałam.

Gabriela ponownie zerknęła gdzieś ponad moim ramieniem. Pociągnęła mnie w stronę pomnika.

– Przejdźmy się...

– Po co? Mówię ci, wracajmy.

– Proszę.

Westchnąłem. Zrezygnowany, kuląc się przed wiatrem, powlekłem się w stronę centralnej części placu. Zza Zamku Cesarskiego w Marchlewskiego[6] skręciło kilka wojskowych ciężarówek. Ich silniki rozpaczliwie rzeżyły. Przeszliśmy jeszcze kilkanaście kroków i Gabriela się zatrzymała. Podniosła wzrok.

– Naprawdę naszło cię na podziwianie pomnika?

Wzruszyła ramionami. Puściła mnie i odeszła o kilka kroków. Ponownie się rozejrzała. Wtedy zrozumiałem, co się dzieje.

Dostrzegłem przesuające się między drzewami skweru postacie. Zastygłem w bezruchu jak tropiona zwierzyna.

– Stój! Na ziemię!

Ostry krzyk przeciął zimowe powietrze. Tym razem zadrżałem już nie z zimna, ale ze strachu. Na plac wbiegło kilku milicjantów. Ciężarówka, które widziałem przed chwilą, zatrzymała się gdzieś niedaleko. Choć znikły mi z oczu, wyraźnie słyszałem ich żalosne rżenie.

Zerknąłem na Gabrielę. Przez moment nasze spojrzenia się spotkały, lecz tym razem to ona pierwsza spuściła wzrok.

– Ty...

Nie dokończyłem. Rzuciłem się do furiackiej ucieczki. Miałem nadzieję, że od strony Armii Czerwonej nikt nie będzie mnie ścigał i uda mi się wymknąć pogoni. Spodziewałem się, że w każdej chwili za moimi plecami rozpocznie się kanonada. Wsłuchiwałem się w odgłosy nagonki.

Biegłem jak oszalały. Ślizgałem się na niewydeptanym śniegu. Tuż przed ulicą postawiłem but na oblodzonej płycie i straciłem równowagę. Upadłem. Rąbnąłem głową o chodnik tak, że aż mnie zamoczyło.

Z trudem podniosłem się i zerknąłem przez ramię. Za mną biegło kilkunastu milicjantów. Z drugiej strony pędził pojazd wojskowy. Dwa kolejne przecięły skrzyżowanie i tory tramwajowe. Mężczyzna ciągnący sanki zniknął mi z oczu. Pole do strzału było puste.

– Cholera...

Buty miałem pełne śniegu, ale nie zwracałem na to uwagi. Chciałem przebiec na drugą stronę ulicy. Kątem oka dostrzegłem zbliżający się tramwaj i uznałem, że muszę zaryzykować. To była moja okazja...

– Stój!

Nie posłuchałem. Niemal równocześnie z komendą huknął strzał. Pocisk wbił się w zwał śniegu tuż obok mnie. Chwilę później wszystkie odgłosy zagłuszyło dudnienie tramwaju. Widząc, że biegnę prosto pod koła, maszynista zatrąbił.

Oderwałem stopy od ziemi i rzuciłem się na drugą stronę torów. Za plecami poczułem pęd powietrza. W ostatnim momencie przeskoczyłem przed kilkunastotonowym składem.

Upadłem na kolana, lecz natychmiast się podniosłem. Tramwaj mógł mnie co najwyżej osłonić od strzału, ale nie był długi jak pociąg, który utrudniałby pogoń.

Lekko kulejąc, powlekłem się w kierunku Akademii Ekonomicznej. Bolały mnie głowa i stłuczone biodro. Mimo to biegłem ile sił w nogach. Po chwili dopadłem do drzwi, a w tym samym momencie te się otworzyły. W progu stało dwóch żołnierzy z karabinami.

– Ja... – Zatrzymałem się i błagalnie złożyłem dłonie. Uniosłem ręce.

– To koniec.

Słowa starszego z umundurowanych mężczyzn sprawiły, że serce stanęło mi w piersi. Zobaczyłem, że z kieszonki na jego piersi wystaje fotografia tamtej trzynastolatki.

– Wreszcie – wycedził z pogardą. – Długo na to czekałem.

Drugi żołnierz wycelował prosto w moją głowę i położył palec na spuście. Uśmiechnął się.

Następne huknął wystrzał.

[5] Dziś: ulica Święty Marcin – przyp. autora.

[6] Dziś: Aleja Niepodległości – przyp. autora.

72.

Koszmar o tym, że Gabriela mnie wyduje, a następnie zostaje zastrzelony, powtarzał się regularnie. Budziłem się cały spocony, często krzycząc. Nigdy nie powiedziałem jej, co mi się śniło. Nie chciałem jej przestraszyć. Nie chciałem, aby pomyślała, że naprawdę się jej obawiam.

Wbrew pozorom ufałem jej. Choć podświadomość kazała mi być podejrzliwym, rozum czy instynkt podpowiadały, że nie powinienem się tym martwić. Całymi dniami nie nachodziły mnie żadne obawy. Byłem dość opanowany, emocje wywoływały we mnie jedynie kolejne apele o pomoc w znalezieniu trzynastolatki. Wałkowali je w telewizji i w prasie.

Szlag.

Tej sprawy naprawdę się bałem. Bałem się, że znajdzie się jakiś nadgorliwy śledczy, który po nitce do kłębka trafi na mój trop, a potem dojdzie aż do naszego mieszkania. Na wszystkie strony roztrząsałem wydarzenia tamtego wieczoru, gdy zamordowałem dziewczynkę. Zastanawiałem się, jakie ślady mogłem zostawić, lecz nic nie przychodziło mi do głowy.

Kiedy w dzienniku podano, że ciało dziewczynki zostało odnalezione, wpadłem w furję. Tłukłem dłońią w ścianę i kłamię. Całkowicie straciłem nad sobą kontrolę.

Gabriela wyszła z kuchni. Zdaje się, że właśnie coś gotowała.

– Co się stało? – zapytała, wycierając dłonie w ścierkę.

– Nic...

Zerknęła na telewizor. Po chwili ponownie przeniosła wzrok na mnie i nerwowo przeczesła palcami włosy. Zawołała dzieci

i zabrała je do kuchni.

Tej nocy ponownie zmusiłem ją, by przysięgła, że nigdy mnie nie wyda.

– Jeżeli kiedykolwiek dostrzegę w twoich oczach wahanie lub zdradę, zabiję cię. Zabiję i zostawię z ciebie tylko to, co jest mi tak naprawdę potrzebne. Tylko to. Reszta w kawałkach natychmiast wylądzuje w piecu.

Nie sądziłem, że zbliża się koniec.

73.

POZNAŃ

NOC Z 27 NA 28 STYCZNIA 1983 R.

*Wczoraj niewinny tak, dzisiaj pionki w grze,
Wczoraj błękitny wiatr, dzisiaj duszny, zły sen.
Z drugiej strony mych snów wszystko lepszy ma smak,
A w powietrzu jest luz i muzyka wciąż gra.*

Na święta osiemdziesiątego drugiego roku kupiliśmy radio. Ta piosenka Budki Suflera leciała w kółko, niemal do obrzydzenia. Jej słowa wryły mi się w pamięć i mimowolnie ją nuciłem. Na pewno znasz to uczucie.

Chcesz skupić myśli na czymś konkretnym, a po chwili zaczynasz nucić. Minutę lub dwie później zdajesz sobie sprawę, że nadal to robisz, i jesteś kompletnie zdekoncentrowana.

Niech to cholera.

*Wczoraj niewinny tak, dzisiaj pionki w grze,
Wczoraj błękitny wiatr, dzisiaj duszny, zły sen.*

Ale o czym ja...

Ach.

Dwudziestego siódmego stycznia był cholerny mróz. Szron oblepił okna tak, że nic nie było widać. Psychiatrzy powinni skopiować te wzory i podsuwać je w testach, którymi katowali mnie w dzieciństwie. „Co tu widzisz? Z czym ci się to kojarzy?”

Pieprzyć psychiatrów.

Odkąd znaleziono ciało tamtej trzynastolatki, wciąż odczuwałem niepokój. Mimo że sprawa przycichła, obawiałem się, że śledczy mają już jakieś dowody. To spowodowało, że moje libido zupełnie

spadło. W ogóle nie myślałem o seksie ani o jakichkolwiek zabawach. Jednak tego dnia to zaczęło się zmieniać.

Wstałem od stołu kuchennego i dogasiłem papierosa. Gabriela krzątała się przy kuchni. Objąłem ją w pasie i przyciągnąłem do siebie.

– Przestań... – szepnęła.

– Dlaczego?

Złapałem ją za pierś i zacisnąłem na niej palce. Drugą dłoń przyciągnąłem po jej brzuchu.

– Ed...

– No?

– Proszę, przestań.

– Kiedy mam teraz ochotę.

– Muszę skończyć obiad, a potem...

– A potem co?

– Dzieci są w domu.

A gdzie, kurwa, miałyby być? To wszystko były tylko wymówki. To nie sweter śmierdział trupem, lecz ja. Takie odnosiłem wrażenie. Gabriela starała się unikać ze mną bliższego kontaktu, choć przez ostatnie tygodnie kilkakrotnie się kochaliśmy. Dwa razy zawiodłem.

Ale tego dnia miałem cholerną ochotę.

– *Wczoraj niewinny tak, dzisiaj pionki w grze* – zanuciłem, przyciągając ją jeszcze mocniej do siebie. – *Wczoraj błękitny wiatr, dzisiaj duszny, zły sen...*

– Powiedziałam ci już: daj spokój!

Wymownie zacisnęła dłoń na drewnianej rękojeści noża kuchennego. Nie powiedziała nic więcej. Ja również się nie odezwałem. Puściłem ją i nabuzowany poszedłem do pokoju. Przez kilka godzin gapiłem się w telewizor. Właśnie gapiłem, bo nie rejestrowałem niczego, co oglądałem. Przynajmniej skończyły się materiały o zaginionej.

Piosenkę Budki Suflera w moim umyśle zastąpiły wspomnienia. Te odległe – z dzieciństwa – a także całkiem świeże wspomnienia kobiet z Naramowic, Wawra, Nowej Soli... Nie chciałem myśleć jedynie o trzynastolatce. Czułem, że wtedy zrobiłem coś niewłaściwego. Coś, z czego nie powinienem czerpać satysfakcji. Nie byłem przesądny, lecz podświadomie zakładałem, że podniecając się wspomnieniami o niej, sprowadzę na siebie pecha.

A przecież tak dobrze pamiętałem jej piersi, jej...

Chrzanić to.

Było już całkowicie ciemno, gdy wyrwałem się z letargu. Nie wiem, czy tego dnia zjadłem obiad albo kolację. Po rozmowie z Gabrielą nie zamieniłem już z nikim ani słowa. Ubrałem się ciepło i wyszedłem z domu. Na cmentarz na Miłostowie dotarłem późną nocą. W taką pogodę nie było mowy, żebym jechał rowerem, więc całą trasę pokonałem pieszo. Mimo że temperatura ponoć spadła do prawie minus dwudziestu, nie zmarzłem. Rozgrzewała mnie myśl o tym, co wkrótce na mnie czeka. Nakręcałem się i wydawało się, że mam szczęście.

Już chwilę po wejściu na teren cmentarza trafiłem na nowy grób. Jednak gdy strzepnąłem z tabliczki śnieg, okazało się, że pochowano w nim jakiegoś staruszka. Nie czułem się zniechęcony. Miałem mnóstwo energii i zapału. Odkładanie przyjemności też bywa przyjemne, tym bardziej, że spełnienie trwa tylko ułamek sekundy.

Przez kilkanaście minut kluczyłem alejkami w poszukiwaniu innych świeżych grobów. Przeszedłem obok miejsca, w którym szczęście dopisało mi ostatnim razem. Teraz jednak śnieg grubą warstwą okrywał wszystkie kwatery. Po jakiejś półgodzinie zacząłem czuć mrowienie w stopach. Tupałem i podskakiwałem. Starąłem się rozgrzać. Mimo to nadal nie traciłem nadziei.

Przeszedłem obok kaplicy, ale nie zajrzałem do środka. Obawiałem się, że ktoś mnie zobaczy, zwłaszcza że czasem

głównymi alejami cmentarza przechadzały się patrole milicji. Ktoś mi o tym mówił...

Skreśliłem w kolejną alejkę i obtupałem buty. Tak jak we śnie, miałem w nich pełno śniegu. W tym samym momencie dostrzegłem stos wieńców i światło dogasających zniczy.

Już nie czułem zimna. Dreszcz podniecenia momentalnie rozgrzał moje ciało. Przyspieszam i kieruję się w stronę grobu. Wreszcie.

Mam szczęście.

28 stycznia na cmentarzu na Miłostowie odnaleziono kolejne zbezczeszczone zwłoki. Tym razem Edmund Kolanowski nie zadowolił się wycięciem samych narządów rodnych oraz piersi. Z ciała kobiety wykroił płat skóry obejmujący jej tułów oraz podbrzusze. Psychiatrzy ocenili później, że w tym okresie wkroczył w stan eskalacji.

W następnych dniach milicja podjęła wzmożone wysiłki w celu ujęcia nekrofila. Sformowano liczne patrole, które miały obserwować okolice cmentarzy. Jednocześnie śledczy coraz mocniej wiązali sprawę bezczeszczenia zwłok oraz zabójstwa Aliny K. Nie mieli jeszcze pojęcia o dwóch wcześniejszych ofiarach Edmunda.

Ze względu na precyzję oraz sposób prowadzenia cięć rozpoczęto działania operacyjne między innymi wobec środowisk lekarskich oraz rzeźnickich. Weryfikowano także pracowników cmentarzy.

Przez kolejne tygodnie nie doszło jednak do żadnego przełomu. Zabójca-nekrofil pozostawał nieuchwytny.

74.

POZNAŃ

6 MAJA 1983 R.

Zawsze podobał mi się przysadzisty budynek kina Apollo. Nie orientuję się, jaki to styl, kompletnie się na tym nie znam, ale po prostu zawsze mi się podobał. Matka mówiła, że właśnie tutaj koncertował Paderewski i że tu odbyło się posiedzenie jakiegoś sejmu. Nie wiem, czy to legenda, czy prawda, ale takie krótkie historie zapadają w dziecięcą pamięć. Nawet gdy nie ma się bladego pojęcia, kim tak naprawdę był ten Paderewski. Skrzypkiem? Śpiewakiem? Nieważne.

Był kimś istotnym.

Tak jak ja.

W dziecięcą pamięć zapadła też opowieść o tym, że w trakcie bombardowania zginęło tu wielu ludzi. Nikt przy tym nie dodawał, że przedwojenny budynek potem zupełnie przebudowano. Ponoć nie uprzątnięto dokładnie terenu i wchodząc do niego, szło się po cmentarzysku. Zdaje mi się, że to nieprawda.

W pamięci dorosłego mężczyzny potrafią utkwic całkowicie inne rzeczy. Wielokrotnie ci już o tym wspominałem, ale teraz przypomniało mi się coś całkowicie innego. Obok kina Apollo przechodziłem tuż po premierze nowego filmu Marka Piestraka. Zdaje się, że było to w połowie kwietnia, ale nie jestem pewny. To nieważne. Zamiast daty przed oczami wyraźnie pojawia mi się kobieta. Z obnażoną piersią i płatem skóry obłazącym z twarzy. Z ziejącym pustką oczodołem oraz krwią na torsie. Z rozdartym

naszyjnikiem z pereł zsuwającym się z szyi. Widzisz ten obraz? Pojawił się przed twoimi oczami?

Zrozum mnie dobrze.

Już gdy po raz pierwszy zobaczyłem ten plakat, rozbudził on we mnie podniecenie. Trwało ono jednak zaledwie chwilę. Znikło zagłuszone bieżącymi sprawami i natłokiem myśli. Może wtedy nie był jeszcze ten czas. Może moje libido pozostawało jeszcze w uśpieniu. Przez głowę przemknęło mi wspomnienie wcześniejszego filmu tego reżysera. *Śledztwo*. Wolałbym nie wnikać w to, o czym był. Być może również go oglądałaś.

Wszystko zmieniło się w piątek, szóstego maja. Tego dnia ponownie przechodziłem obok Apolla i moją uwagę znów przykuł zawieszony na słupie afisz. Dopiero teraz odczytałem tytuł. *Wilczyca*.

Przystanąłem i z odległości paru kroków lustrowałem każdy szczegół plakatu. Nagą pierś, kształt głowy, rozerwany naszyjnik, zdarty płat skóry...

Zerknąłem na repertuar. Najbliższy seans miał być o dwudziestej.

– No to mam plan na wieczór – powiedziałem sam do siebie.

Jednak wówczas o swoim wieczorze nie miałem jeszcze żadnego pojęcia.

75.

Sztuka ponoć porusza najwrażliwsze struny człowieka. Gdzieś to słyszałem i muszę przyznać, że brzmi całkiem ładnie. Nie wiem, kto to powiedział ani – jaką sztukę miał na myśli. Nigdy nie zastanawiałem się też, czym są te struny w ludzkim ciele. Zresztą może zapamiętałem ten cytat niedokładnie. Po latach przywołał go któryś ze śledczych – tym razem z kpiącym uśmiechem i wyrazem pogardy na twarzy.

Nie dla sztuki.

Dla mnie.

W każdym razie *Wilczyca* rozbudziła we mnie uśpione przez ostatnie tygodnie podniecenie. Moment, gdy zwłoki pięknej Maryny przebijane są osikowym kołkiem, staje mi przed oczami tak samo wyraźnie, jak ciała kobiet, które sam posiadałem. To głupie?

Może i tak, ale obiecałem, że będę szczery. W trakcie badań psychiatrzy zwrócili uwagę, że pokaz kinowy stał się stymulacją procesu. Jakoś tak. To było skomplikowane zdanie i chodziło o proces, którego nazwy już nie pamiętam. Była też wtedy mowa o eskalacji. Pamiętasz, że to słowo obiecałem wypełnić treścią?

Z seansu do domu wróciłem piechotą. Wciąż myślałem o tej jednej scenie. Żałowałem, że na strychu nie mam lalki, na której mógłbym się wyładować. Jednak chyba już wcześniej wszystko przeczulem...

Zanim udałem się do kina, kazałem Gabrieli zabrać dzieci i pojechać do rodziców. Nie chciałem jej widzieć. Zagroziłem, że

jeżeli nie zniknie mi z oczu, zrobię jej krzywdę. Tego wieczoru potrzebowałem być sam.

Po co? Na wypadek, gdybym znów wrócił z zakrwawioną kurtką i zabłoconymi spodniami? Gdybym w dłoni trzymał pierś lub starannie wycięte krocze?

Być może. Choć tego nie planowałem, podświadomie chyba przewidziałem wszystko, co się wydarzy. A przynajmniej to, co chciałem, aby się wydarzyło.

Do domu wróciłem tylko na chwilę. Wziąłem latarkę, nóż oraz wytrzymałą linkę. Już przed paroma tygodniami przygotowałem ten zestaw na wypadek, gdybym nieoczekiwanie poczuł nagłą potrzebę. Tak się stało tego wieczoru...

– Niech pan uważa!

Nie zdawałem sobie sprawy, że stałem na bucie paniusi w krótkim jasnym płaszczu. Przez ostatnie minuty byłem zatopiony we własnych myślach. Zamrugalem i uzmysłowiłem sobie, że znajduję się w przegubowcu. Zerknąłem na numer. Od razu uświadomiłem sobie, że wybrałem linię, która prowadziła na Miłostowo. To właśnie jest popęd.

Wysiadłem przystanek przed cmentarzem. Szedłem ścieżką, która przez trzydzieści lat niemal zupełnie się nie zmieniła. Mógłbym nią iść z zamkniętymi oczami. Słyszałem śmiechy dzieciaków, z którymi się bawiłem, i czułem zapach tamtego grobowca. Wraz z nimi pojawiało się wspomnienie matki klęczącej przy małym grobie, patrzącej w przestrzeń przed sobą i bełkoczącej cicho niezrozumiałe słowa. Złorzeczenia albo zaklęcia – z perspektywy lat to pasuje mi najbardziej. W rzeczywistości do tej pory nie wiem, czy matka odmawiała modlitwę, czy zadawała mojemu martwemu bratu pytania, a potem sama na nie odpowiadała.

Tamte wspomnienia zastąpiła scena z filmu. Naga kobieca pierś. Nieruchomy tors. Osikowy kołek wbijający się w zębra.

Przeskoczyłem przez mur i znalazłem się między nagrobkami. Tym razem na świeży pochówek natrafiłem już po kilku minutach. Teresa. To imię wprawiło mnie w doskonały nastrój. Przyniosło kolejne wspomnienia.

– Teresa, Teresa, Teresa – wysyczałem.

Jak tylko potrafiłem, dozowałem sobie podniecenie. Nie chciałem, by wszystko skończyło się zbyt szybko.

Gdy dostałem się do trumny i zerwałem jej wieko, zamknąłem na chwilę oczy. Po omacku dotknąłem zwłok. Przeciągnąłem dłonią po koronkowej bluzce. Oddech mi przyśpieszył, a podniecenie stawało się niemożliwe do opanowania. Z wciąż zamkniętymi oczami zacisnąłem dłoń na piersi kobiety. Potem rozerwałem materiał jej bluzki i dotknąłem nagiego ciała.

Po kręgosłupie spływa mi dreszcz ekstazy.

Dość. Dość. Dość...

Otwieram oczy.

Znów jestem w tamtym grobie. Nie mogę się dłużej powstrzymać. Latarkę opieram na wieku i przygotowaną wcześniej linką oplatom dłonie oraz tułów zmarłej. Dzięki temu nie muszę się trudzić z jej wyciąganiem. Po prostu wywlekam ją z trumny niczym pakunek.

Po chwili ciało znajduje się już na powierzchni. Jestem dość blisko głównej alei, więc lepiej usunąć się na bok. Nie chcę, aby przerwano mi w trakcie najlepszej zabawy. Nie chcę śpieszyć się w momencie, gdy będę skupiony na prowadzeniu cięć. Chwytam mocniej linkę i wlekę zwłoki kilkanaście metrów dalej, w krzaki. To dobre miejsce.

– Tu powinniśmy mieć spokój, kochanie – szepczę. – Jesteś gotowa?

76.

Scyzoryk rozcina bluzkę, a potem biustonosz. Po co zmarłym kobietom te cholerne biustonosze? Po co im jakiegokolwiek ubrania? Ich dotykanie nie podnieca mnie jak dawniej. Już nie interesują mnie fragmenty materiału nasiąkniętego zapachem śmierci.

Chwytam nagie piersi i przez chwilę ściskam je w dłoniach. Ugniatam jak ciasto. Przynajmniej z zimnych ust nigdy nie wydobywa się jęk skargi lub bólu. Nigdy nie układają się w grymas niezadowolenia.

Wyobrażam sobie, że leży przede mną aktorka z *Wilczycy*. Że to ją wywlekłem z grobu i zaraz będę musiał ją przebić osikowym kołkiem. Zaciskam palce na sutkach tak mocno, że zaczynają mnie boleć. Drżą mi dłonie. Czuję suchość w ustach.

Prostuję się i ponownie sięgam po scyzoryk. Rozcinam nim spódnicę oraz majtki. Zrywam je z martwego ciała, po czym odrzucam na bok. Przesuwam latarkę. Kobieta jest całkowicie zdana na moją łaskę.

Jest moja. Mogę przebić jej pierś kołkiem lub wyrwać serce. Mogę pozbawić ją wieczności. W głowie mieszają mi się obrazy z filmu oraz urywki wspomnień. Jakies trzysta metrów stąd w dzieciństwie wlałem do rozbitego grobowca. Grób mojego brata jest jeszcze bliżej. Gdyby nie umarł, być może to wszystko nigdy by się nie wydarzyło...

Gdyby, gdyby...

Dyszę, pieszcząc krocze zmarłej. Pomiedzy jej uda wsuwam całą dłoń. Gładzę jej skórę, a potem znów powracam do

najważniejszego. Tarmoszę jej łono niczym kot zabawiający się kawałem mięsa.

Pamiętasz tamte kobiety z Krośnic? Te, które podglądałem na stole sekcyjnym? Zawsze chciałem przeprowadzić autopsję, lecz nigdy nie starczało mi cierpliwości. Dziś jest inaczej.

Wilczyca wprawiła mnie w podniecenie, ale jednocześnie uświadomiła, że jestem drapieżnikiem. Jestem Zimnym chirurgiem, który nie musi się śpieszyć. Mogę zapanować nad sytuacją od początku do końca.

Przestawiam latarkę, by lepiej oświetlała zwłoki. Nie mam żadnej podpórki pod głowę kobiety, ale to nic. Poradzę sobie bez tego. Przykładam scyzoryk do martwego ciała, po czym nacinam obojczyk. Ostrze rozcina skórę i tkanki podskórne. Potem prowadzę cięcie ku wzgórkowi łonowemu. Robię to powoli, by nie musieć nic poprawiać. Każda poprawka psuje finalny efekt.

Skóra rozłazi się i widzę żółtą tkankę tłuszczową. W świetle latarki wydaje się niemal złota. Szczególnie na rozdętym brzuchu lśni specyficznym blaskiem. Rozchyłam nogi zmarłej i zataczam łuk cięcia na jej lewym udzie. W tym miejscu muszę wbijać scyzoryk szczególnie głęboko, aby później nie mieć problemu z odpreparowaniem skóry od ścięgien oraz mięśni. Już się tego nauczyłem.

Powoli zawracam ku łonu. Na odcinku pomiędzy krocem i odbytem zawsze jestem szczególnie ostrożny. Gdybym się pomylił, moja cała praca poszłaby na nic. Jutro, pojutrze lub za kilka dni znów musiałby tu wrócić.

A tak... Tak będę mógł czerpać z niej pełną przyjemność, nie wychodząc z domu. Dobrze zrobiłem, każąc Gabrieli wyjechać. Sprowadzę do mieszkania lalkę i tym razem zabawię się z nią normalnie w łóżku. Koniec z łożeniem na ten cholerny strych. Koniec z wymyślaniem pieprzonych wymówek.

Ocieram scyzoryk o strzęp ubrania zmarłej. Chowam go i pochylam się nad ciałem. Wbijam palce w nacięcie, a potem delikatnie ciągnę. Nie mogę rozerwać skóry. Ściągam płat, czemu towarzyszy lepkie mlaśnięcie. To niewiele trudniejsze od ściągnięcia skóry z kurczaka lub gęsi.

Nagle świat wypełnia przerażająca jasność. Wżyna się w moje oczy i umysł. Czuję fizyczny ból. Zdezorientowany staram się rozejrzeć wokół, lecz jestem oślepiiony. Widzę jedynie zarysy drzew oraz grobów. Widzę...

Zza blasku wyłaniają się sylwetki dwóch mężczyzn. Są o dwadzieścia, może trzydzieści metrów ode mnie.

Puszczam naderwany płat skórny i gwałtownie wstaję. Kręci mi się w głowie, a adrenalina buzuje mi w żyłach. Głęboko nabieram powietrza. Intensywnie mrugam.

– Stój!

Ignoruję ten rozkaz. Jestem Wilczycą. Jestem Zimnym chirurgiem. Jestem...

W tym momencie rozlega się strzał. Kulę się i nagle coś pali mnie w boku. Przez moment jestem pewny, że zostałem postrzelony. Jednak mogę biec dalej.

W tyle słyszę krzyki, lecz nie zwracam na nie uwagi.

Pada kolejny strzał.

77.

Wciąż czułem podniecenie. Biegłem na oślep, mając przed oczami ciało tamtej kobiety. Nie zważałem na błoto ani na rozcinające mi twarz kolce jakichś krzewów. Przedzierałem się przez nie w dzikim amoku.

– Stój!

Tę komendę słyszałem chyba kilkanaście razy. A może to teraz pamięć podsuwa mi ją, choć pogoń w ogóle nie miała miejsca? Wiem, że niebo ponownie rozświetliły milicyjne race. Wiem, że za mną rozległy się strzały.

Nie byłem jednak ranny.

Byłem wściekły, że nie udało mi się zaspokoić. Na dłoniach wciąż czułem chłód wydobytego z grobu ciała. Bez problemu mogłem sobie wyobrazić, że nadal dotykam skóry tej kobiety. Że zdzieram ją z niej i usuwam tkankę tłuszczową. Że dotykam piersi, podbrzusza, krocza... Krew rozsadzała mi skronie. Biegnąc, traciłem dech, a w piersi mnie paliło, jakbym nałykał się ognia.

Kiedy pokonywałem most nad Wartą, byłem gotów w każdej chwili rzucić się do rzeki. Gdyby tylko pojawili się milicjanci, zamierzałem zrobić wszystko, by nie dać się złapać. Wolałem się utopić lub zabić o kamienie. Na szczęście syreny rozległy się jedynie gdzieś daleko w tyle. W okolicy nie było żywej duszy. Skręciłem w stronę ogródków działkowych i przedarłem się przez najgęstsze krzaki.

Bałem się psów. Bałem się pogoni. Wiedziałem, że muszę kluczyć, by zmylić trop. Kilukrotnie okrążyłem niektóre ogródki. Wbiegałem w krzaki, przez które psy nie miały szansy się

przedrzeć. Wyłamywałem je, przewracałem się i znów wstawałem. Brakowało mi tchu. Moje nogi drżały, lecz nie zatrzymywałem się.

Z następnych kilkudziesięciu minut niewiele pamiętam. Nie wiem, ile czasu zajęło mi dotarcie z Miłostowa na Jeżyce. Umyślnie nie skręciłem na Stare Miasto i w stronę domu. Wtedy psy mogłyby podjąć trop. Mogłyby przyprowadzić milicję prosto pod moje drzwi.

Musiałem biec dalej. Pokonałem kilkanaście kilometrów, ale nie zważałem na zmęczenie. Dopiero gdy się zatrzymałem, uderzyła mnie fala gorąca. Nogi się pode mną ugięły i padłem na kolana. Pochyliłem się, próbując złapać dech.

Pot lał się ze mnie strumieniami. Przeczolgałem się kilka metrów i zanurzyłem w chłodnej wodzie Rusałki. Dopiero teraz oprzytomniałem. Uciekłem dokładnie do miejsca, w którym przed laty zatrzymała mnie milicja. Teraz czułem się tu całkowicie bezpiecznie. Nie wiem, jak szybko pokonałem ponad dziesięć kilometrów, ale ledwo żyłem.

Z trudem poruszyłem ramionami. Płynąłem, licząc, że to ostatecznie zgubi mój trop. Przewróciłem się na plecy i rozluźniłem mięśnie. Odpoczywałem. Jednak wciąż czułem potrzebę rozładowania emocji. Przypomniała mi się nastolatka, którą przed paroma laty zaskoczyłem właśnie w tym miejscu.

Wyszedłem z wody kilkaset metrów dalej. Nie było mi zimno. Położyłem się na brzegu i przymknąłem oczy, gotów w każdej chwili rzucić się do ucieczki.

Nasłuchiwałem.

Nie pojawiła się jednak żadna pogoń. Nie słyszałem już więcej wycia syren ani milicyjnych komend.

Położyłem głowę na trawie, po czym wpatrywałem się w niebo. Oczekałem godzinę lub dwie i dopiero wówczas postanowiłem wrócić.

Sam.

Do pustego domu.

Pistolet jednego z milicjantów, którzy natknęli się na Edmunda Kolanowskiego na cmentarzu, zaciął się. Zapewne tylko dzięki temu mężczyzna uszedł z życiem.

Na nekropolię sprowadzono ekipę kryminalistyczną oraz trzy psy tropiące. Mimo że początkowo podjęły trop, szybko go zgubiły. Tej nocy Edmundowi Kolanowskiemu towarzyszyło ogromne szczęście.

Z PROTOKOŁU

Jak się znalazłem na Jeżycach, to czułem, że jestem w stanie otępienia. Podniecenie seksualne nie ustąpiło. Jak wracałem, miałem chęć wrócić na cmentarz, ale bałem się, że zaczną strzelać.

78.

Nie mogłem zasnąć. Mimo że ze zmęczenia dosłownie padłem na łóżko, to jednocześnie byłem zbyt pobudzony. Nawet gdybym miał się czołgać, musiałem dopaść do jakiejś kobiety. Byle dać upust pragnieniu.

Przez kilkanaście minut leżałem nieruchomo, wpatrując się w sufit. Zaczęło już świtać i zza ścian dobiegały mnie odgłosy porannej krzątania. Usiadłem na łóżku i starałem się uspokoić oddech. Serce nadal łomotało mi w piersi.

Powlekłem się do łazienki i pobieżnie umyłem. Żal było mi zmywać z siebie wspomnienie tamtej kobiety. Wciąż ją czułem. Wąchając palce, przywoływałem jej zapach. Mogłem poczuć jej smak.

Chyba nigdy wcześniej nie byłem tak nakręcony. To już nie było podniecenie, a jakieś opętane pragnienie rozładowania się. Potrzebowałem do tego ludzkiego ciała. Nie mogła mi wystarczyć zwykła, nieobszyta niczym lalka. Nie mogłem zaspokoić się sam.

Przeszedłem do kuchni, aby zrobić sobie śniadanie, ale nie byłem głodny. Chwyciłem talerz i cisnąłem nim w ścianę.

– Kurwa! Kurwa mać! – wrzasnąłem tak głośno, że zacząłem kaszleć.

Wziąłem kolejny talerz, lecz powstrzymałem się przed rozbiciem go. Nie chciałem zwrócić na siebie uwagi sąsiadów. Chyba że...

Z szafki wyciągnąłem linę, której fragment służył mi do wyciągania zwłok. Tamten zgubiłem w trakcie ucieczki, ale pozostała część też powinna wystarczyć. Potrafiłem zawiązać mocną, samozaciskającą się pętlę. Musiałem to sobie jedynie

przypomnieć. W końcu palce same odnalazły właściwy rytm. Skręcałem linę przez kilkanaście minut i to mnie nieco uspokoiło. Znów zacząłem rozsądnie planować. Dokonałem kalkulacji.

Udając się o tej porze na cmentarz, popełniłbym samobójstwo. Na pewno wszystkie nekropolie zostały już obsadzone setkami funkcjonariuszy. Poza tym psy wciąż znały mój zapach. Gdybym koło nich przechodził, natychmiast zostałbym rozpoznany. Ale nie wszystko było stracone. Musiałem działać inaczej.

Pętla była gotowa. Przeszedłem do pokoju i przerzuciłem linę przez żyrandol. Dwukrotnie owinęła się wokół jednego z jego żeliwnych ramion. Naciągnąłem ją i z zadowoleniem stwierdziłem, że trzyma się mocno. Wystarczająco mocno. Chyba.

Byłem ciekaw, czy powiedzą o mnie w dzienniku. W końcu powiązano sprawę śmierci tamtej dziewczynki oraz rozkopanych grobów. Cholerni geniusze. Zajęło im to tak wiele czasu. Mogłem być bardziej zapobiegliwy i po robocie ponownie zakopywać ciała. Wtedy nikt by się nie zorientował. Zwłoki należy upychać do grobów. To najważniejsza rzecz, jakiej się nauczyłem.

Zerknąłem przez okno. Było już wczesne przedpołudnie i zapowiadał się ładny, ciepły dzień. W dole ulicy spacerowali pojedynczy przechodnie. Przez kilkadziesiąt sekund wpatrywałem się w idącą samotnie kobietę. To mogłaś być ty. Nigdy nie dowiedziałabyś się, że przez minutę czy dwie gapił się na ciebie ktoś taki jak ja. Że mój wzrok przemykał po tobie, muskając twoje biodra, łydki i włosy. Że patrzyłem na twoje piersi, gdy skręciłaś, i przez chwilę widziałem twój profil. Nie miałabyś pojęcia, że rozbierałem cię wzrokiem i analizowałem zawilosci twojego ciała. Roztrząsałem, jakbym to z tobą robił. Jakbym cię zabił i pociął. Zniknęłaś mi z oczu, a ja odbyłem przed tobą najszczerzą spowiedź, zastanawiając się, czy kiedykolwiek naprawdę byłem zły. Czy zasługiwałem na to, by zaszczuć mnie jak dzikie zwierzę. Nie było w tym mojej winy. Pożądałem cię tak, jak ty pożadasz

jedzenia i picia. Jak ty pożądasz snu albo odpoczynku. Mógłbym nie spać i nie odpoczywać, byle móc cię zdobyć. Byle móc rozładować napięcie, które nie pozwalało mi skupić się na niczym innym.

Znów jestem tu i teraz Wsuwam głowę w pętlę. Staję na palcach i postanawiam, że odliczę od trzech. Tyle powinno mi aż nadto wystarczyć.

Trzy.

Wkładam dłoń między linę i grdykę.

Dwa.

Zamykam oczy. Waham się, lecz...

Jeden.

Ciężarem całego ciała napieram na pętlę, a ta momentalnie się zaciska. Bronię się dłonią przed uduszeniem. Ponownie staję na całych stopach i odginam głowę do tyłu.

– Sprawdzi się – szepczę.

Przysuwam krzesło i odwiązuję linę od żyrandola. Teraz już wiem, że jeśli do mieszkania zapuka któraś z koleżanek Gabrieli, uduszę ją. Wciągnę ją do środka i zedrę z niej skórę. A potem będę się zaspokajał tak długo, jak tylko zechcę. Nie wpuszczę do mieszkania już nikogo więcej. Będę na zawsze sam ze swoją lalką.

Na zawsze.

Ja i ty.

Z PROTOKOŁU

Nie zastanawiałem się, co zrobiłbym z ciałem.

Jednocześnie powstaje pierwszy rysopis Edmunda Kolanowskiego:

„Był to osobnik w wieku 30–35 lat, wzrostu około 175-180 cm, szczupły, sylwetka wysmukła, twarz pociągła, włosy ciemne, krótkie, czesane do góry, ubrany w spodnie ciemne i kurtkę do pasa w kolorze beżowym,,

79.

POZNAŃ

SPÓŁDZIELNIA ZIOŁOLEK

16 MAJA 1983 R.

Do roboty przyszedłem nieco spóźniony. Po kilkunastokilometrowym biegu sprzed paru dni wciąż bolały mnie nogi. Poza tym miałem wszystkiego dość. Mogli mnie wyrzucić albo zawiesić. Nie obchodziło mnie to.

Dręczyło mnie złe przeczucie. Po raz pierwszy w życiu miałem wrażenie, że lada moment wydarzy się coś złego. Towarzyszyło mi ono od ponad tygodnia. Wstawałem z łóżka i odruchowo zerkałem na drzwi. Były zamknięte, więc czułem się lepiej. Podchodziłem do okna i wyglądałem. Gapiłem się na spacerujące kobiety, ale ani razu nie zdecydowałem się spróbować szczęścia. Gapiłem się na przechodzących mężczyzn i w każdym z nich widziałem tajniaka. Dopadła mnie paranoja.

Nie poszedłem na żaden cmentarz ani nad Rusałkę, mimo że w taką pogodę nad jeziorem kłębiły się pewnie tłumy ludzi. Musisz sobie wyobrazić, jak bardzo cierpiałem.

Do mieszkania nie zapukała też żadna z koleżanek Gabrieli. Czasem siadałem pod drzwiami i nasłuchiwałem, czy ktoś nie kręci się po klatce schodowej. Nie wiem, czy w takich chwilach wyczekiwałem milicji, czy przygotowywałem się do wyboru ofiary. Wciąż myślałem o dorwaniu jakiegokolwiek kobiety. Fantazjowałem o wycięciu jej piersi, brzucha i krocza. Zastanawiałem się, czy umiałbym ją kompletnie oskórować.

No, może bez twarzy. Ta przecież nie była mi do niczego potrzebna.

Zamknąłem rzeczy w swojej szafce pracowniczej i zapaliłem papierosa. Dzień w robocie zawsze zaczynałem tak samo. Swego czasu w szafce przetrzymywałem fragment krocza którejś z wyciętych kobiet, ale już nawet nie wiem której. Gdy zaczął cuchnąć, musiałem się go natychmiast pozbyć.

– Eda!

Nie wiem, dlaczego wszyscy mówili do mnie w ten właśnie sposób. Miałem to gdzieś.

Odwróciłem się i dostrzegłem kierownika. Machnąłem w jego stronę, ale przywołał mnie ręką. Powoli wypuściłem dym z płuc.

– Tak? – zapytałem, podchodząc.

– Wiesz, która godzina?

Skinąłem głową.

– Znowu się spóźniasz.

– Przepraszam, coś mi wypadło, obywatelu kierowniku.

– To chyba praca ci czasem wypada między innymi zajęciami.

– Ale...

– Zabierz się wreszcie do roboty.

Ponownie skinąłem głową. Zaciągnąłem się jeszcze dwa razy i zgasilem papierosa w stojącej obok popielniczce.

– Tak jest.

W tym samym momencie uruchamia się projekcja wspomnień.

Rytmiczne kroki dobiegają z głębi korytarza i niosą się echem. Grupa mężczyzn maszeruje w naszym kierunku. Przebiega mnie lodowaty dreszcz.

Odwracam się i dostrzegam prezesa, z którym idzie kilku milicjantów. Mundurowi patrzą konkretnie na mnie, dłonie trzymają na kaburach.

– No dobrze – wzdycham. – Miałem się zabrać do roboty.

– Edward Kolanowski? – pyta oficer.

– To on. – Prezes wskazuje na mnie palcem. Zatrzymuje się, jakby wolał się do mnie nie zbliżać.

– Edward Kolanowski? – Oficer ponawia pytanie.

– Tak – odpowiadam hardo.

Chyba na to czekałem. Może miałem już dość i byłem zwyczajnie zmęczony. Nie wiem. Człowiek nie powinien być przez całe życie swoją własną ofiarą. Nie powinien uciekać przed innymi ani przed samym sobą. W moim przypadku zawsze chodziło o to samo.

O niedający się powstrzymać dziki popęd.

– Macie mnie – szepczę na tyle cicho, że nikt mnie nie słyszy.

Spokojnie odwracam się i wyciągam ręce do tyłu. Pozwalam im się skuć. Żałuję jedynie, że nie dopadłem jeszcze jednej kobiety. Że nie zdołałem się rozładować jeszcze ten jeden raz. W ostatnią drogę miałem wyruszyć spragniony i głodny.

Żałuję, że nie odważyłem się dopaść kobiety, którą obserwowałem z okna. Być może byłaś nią właśnie ty. Nie chciałem cię zabić. Twoje życie i śmierć w ogóle by mnie nie obchodziły. Potrzebowałem jedynie krótkiej chwili zaspokojenia i fragmentu ciała, który mógłby pomóc mi zaznać go ponownie.

Nie chciałem zabijać. Czasem zabijanie było łatwiejsze niż wywlekanie zwłok z grobów. Innym razem było zwyczajnie problematyczne. Mogłem lepiej ukryć ciało tej trzynastolatki. Mogłem też jej w ogóle nie tykać. To był cholerny instynkt.

Nie wiem tylko, czy instynkt ofiary, czy łowcy. Nie mogłem się wtedy powstrzymać.

Czuję, jak kajdanki zamykają się na moich nadgarstkach i milicjant popycha mnie przed siebie. Drugi idzie z boku. Kątem oka łypię na jego kaburę.

Wystarczyłoby, abym zerwał się teraz do biegu, i mógłbym wszystko skończyć zgodnie z własnym życzeniem. Na własnych zasadach. Nie mam jednak dość odwagi.

Boję się śmierci, mamó.

Boję się śmierci, Teresko.
Boże, tak bardzo boję się śmierci.
Rozumiesz mnie?

W trakcie zatrzymania Edmund Kolanowski nie okazywał żadnych emocji. Wydawało się, jakby był na to przygotowany.

80.

POZNAŃ

KOMENDA MIEJSKA MILICJI PRZY PLACU

WOLNOŚCI

Śledczy pali papierosa i rysuje coś na kartce. Zerkam mu ponad ręką, lecz skrętnie zasłania rysunek.

– Zaczekajcie – mówi.

Czekam zatem.

Nagle milicjant prostuje się i odkłada ołówek. Spogląda mi prosto w oczy, więc spuszczam wzrok. Przenoszę go na stół. Mężczyzna przesuwając w moją stronę kartkę. Bębni w nią palcami.

– Wiecie, co to jest?

Wiem.

– Waga.

Zwykła waga z dwiema szalami. Narysowana w uproszczeniu, ale nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

– Zgadza się. To waga. I wiecie, co waży?

– Nie.

– Zastanówcie się.

Wzruszam ramionami. Śledczy odwraca rysunek tak, by był zwrócony w moją stronę. Ponownie bębni palcami o kartkę.

– Dalej nic?

– Nic.

– To waga z dowodami na waszą korzyść i niekorzyść. Widzicie różnicę?

Jedna szala jest wyraźnie opuszczona. Zdaję sobie sprawę która.

– Dróżniczka przy torach widziała was w dniach, gdy rozkopywano groby. – Milicjant stuka ołówkiem o blat stołu. – Poza tym macie pokaleczoną twarz. Zostało to wam jeszcze po tym, jak się przedzieraliście przez krzaki.

– Sam się podrapałem...

– Na pewno. – Śledczy się uśmiecha. Przekłada ołówek między placami. Powoli nabiera powietrza, po czym jeszcze wolniej je wypuszcza. Wreszcie przerywa ciszę. – Przy grobie zgubiliście papier, który nas do was przyprowadził.

Drzę. O tym nie miałem pojęcia.

– Papier?

– Papier.

Zdaję sobie sprawę, że na cmentarz wziąłem ze sobą rulon, który miał mi posłużyć do przeniesienia do domu fragmentów wyciętych ze zwłok. Cholera, ale przecież...

Milicjant otwiera leżącą z boku teczkę i przez chwilę przekłada kartki. Wreszcie odnajduje właściwą, po czym odczytuje:

– Papier workowy beżowy, na którym przyklejona jest metka z napisem o treści: „Fabryka Opak. Kosmetycznych «Pollena Łaskarzew». Nazwa wyrobu: słoik pięćdziesiąt gramów. Data produkcji: szóstego grudnia osiemdziesiątego drugiego, numer normy czterysta dwadzieścia trzy sztuki”. Na papierze jest jeszcze pieczętka prostokątna koloru granatowego o treści: „Ostr. Zakł. Cel. Papier.”. Mówi wam to coś?

Kręci mi się w głowie. Opieram łokcie na stole.

– Gdybym to zrobił, przyznałbym się – bełkoczę.

– Powiem wam coś. Tylko dwa zakłady w mieście korzystają z tego papieru. Chyba domyślacie się, że jednym z nich jest Ziółolek.

– Co z tego?

– Przez ostatnie dni pracowaliśmy nad każdym z pracowników spółdzielni. Naprawdę poświęciliśmy temu kurewsko wiele godzin

i wysiłku.

– I?

– I zostaliście naszym jedynym podejrzanym. Zresztą mamy coś jeszcze.

Cierpnę. Najchętniej zatkałbym dłońmi uszy i skulił się w kącie. Mimo to staram się zachować obojętny wyraz twarzy. Ponownie wzruszam ramionami.

Milicjant pochyła się nad stołem.

– Jedna z lokatorek kamienicy, w której mieszkacie, przysłała do nas z bardzo interesującymi zeznaniami. Wasza kochanka kilkukrotnie się jej zwierzała...

Zawiesza głos, a ja z trudem hamuję wściekłość. Odruchowo wbijam sobie paznokcie we wnętrza dłoni. Przygryzam od środka usta. Gryzę język tak mocno, że czuję krew.

– Nie wiem, z czego miałyby się zwierzać – odzywam się wreszcie.

– Czyżby?

Milicjant przysuwa do siebie kartkę. Przekreśla szalę z dowodami obciążającymi i dorysowuje ją znacznie niżej. Zerka na mnie spode łba. Widzę, że z trudem hamuje tryumfalny uśmiech.

– Zwierzyła się, że przyznaliście się jej do... – Przerzuca strony akt. – A, mam to. Pozwólcie, że wam zacytuję. Przyznaliście się jej do „zamordowania i wycięcia” Aliny. Dokładnie tak to ujęła. Czy też: wy tak to mieliście ująć.

81.

Gabriela ponoć odmówiła składania zeznań. Podobno bała się mojej zemsty, ale myślę, że po prostu zrobiła to za radą adwokata. I tak jej nienawidziłem. Była kolejną kobietą, która mnie zdradziła. Coraz mocniej wierzyłem, że miałem prawo robić to wszystko, co robiłem. Kobiety były nic niewarte. Nadawały się tylko do rozładowania emocji. A i to jedynie wtedy, gdy były bezwładnymi trupami. Żywe mówiły zbyt wiele i zbyt często histeryzowały. Miały zbyt wielkie oczekiwania. Zbyt wiele pragnień oraz problemów. Zbyt wiele pretensji. Kiedyś kochałem kobiety. Wstydzilem się ich, lecz jednocześnie je ubóstwiałem. Teraz zacząłem nimi pogardzać.

Pamiętasz trzy elementy? Miłość, nienawiść i pożądanie. Jestem pewny, że to wokół nich kręci się cały ten cholerny świat.

– Za co pan siedzisz?

Mężczyzna, którego poprzedniego dnia dokoptowano do mojej celi, odezwał się po raz pierwszy. Miał pięćdziesiąt kilka lat, krótkie szpakowate włosy i surową twarz. Sprawiał wrażenie najsmutniejszego człowieka na świecie. Wiadomo, że trafienie do pudła to żaden powód do radości, ale w nim tkwiło coś diabelnie ponurego. Wyglądał, jakby lada moment miał zacząć tłuc głową w mur. To dodawało mi otuchy. Sprawiało, że czułem nad nim jakąś przewagę. Machnąłem ręką. Mężczyzna usiadł na pryczy i podparł się o ścianę.

– No, mów pan – szepnął roztrzęsiony. – Pogadajmy. Chyba że o tym w pace się nie mówi. Proszę, pogadajmy ze sobą... – Był bliski płaczu. Widziałem, że szklą mu się oczy.

„A co mi tam” – pomyślałem.

Nie byłem dumny z tego, co zrobiłem, lecz jednocześnie miałem przeświadczenie, że moja historia wynosi mnie na wyższy poziom. Że jestem kimś więcej, niż wydawało się innym. Zmieniałem nią wrażenie, jakie wywierała moja drobna, niepozorna sylwetka i rysy twarzy. Wszyscy mieli mnie za nijakiego. A ja z pewnością nie byłem nijaki.

– Jestem Zimnym chirurgiem. – Po raz pierwszy przedstawiłem się w ten sposób.

Na twarzy mojego towarzysza pojawiło się zaciekawienie. Przekreślił głowę i zmrużył oczy. Poruszył dłonią, by mnie nakłonić do mówienia dalej.

– Słyszał pan o tej trzynastoletniej dziewczynce, która zaginęła w listopadzie?

– Halinie, Alinie, jakoś tak?

– Alinie.

– Właśnie. Słuchałem wszystkich wiadomości. – Mężczyzna nagle drgnął i się wyprostował. Usiadł na pryczy. – Sam mam córeczkę, z którą chodzę na spacer w okolicę Jasnej Roli. Tam znaleziono ciało.

– Tam je zawlekłem – powiedziałem obojętnie.

Mój współwięzień zerwał się na równe nogi i wbił we mnie niedowierzające spojrzenie. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zaraz je zamknął. Sapnął. Przez moment bałem się, że mnie zaatakuje, ale moje słowa wywołały przeciwny efekt.

Zaczął się mnie bać. Cofnął się do samego kąta celi. Dawno nic nie sprawiło mi większej satysfakcji. Tym lepiej poczułem się jako formalnie zaprezentowany Zimny chirurg. To przydomko w pełni mi odpowiadało. Nie Ed, nie Mundek ani nie Eda. Nie brudas ani nie wariat.

Zimny chirurg.

– Podszedłem, gdy chodziła po łące, i rozbiłem jej głowę kluczem francuskim – ciągnąłem zadowolony. – Jej czaszka pękła jak ściśnięty pomidor. Ekspłodowała. Wypłynęły z niej mózg i oczy. Zalała ją krew, a potem ta cholerna dziewczynka dostała dreszczy. Mówię panu, drżała jak razona apopleksją. Apopleksja, tak to się nazywa? Jeśli przekręcą, niech pan poprawi. Przez kilka minut cała się telepała.

Podniosłem wzrok i zerknąłem na współosadzonego. Był przeraźliwie blady, a z oczu ciekły mu łzy. Telepał się, jakby to jego dopadła apopleksja. Moje słowa nigdy wcześniej nie wywarły na nikim równie silnego wrażenia. Napawałem się tym.

– Wykroiłem jej krocze. – Pokazałem na własnym ciele, gdzie dokonałem cięć. – O, tak. Zdaje się, że była już wtedy martwa, ale w sumie nie jestem pewny. Ręce miałem całe we krwi i jej tłuszczu. Wie pan, że po wycięciu fragmentu ciała trzeba się pozbyć tłuszczu? Żółtej, bryłkowatej substancji, która może wszystko zniekształcić. Nawet szczupłe osoby mają zadziwiająco dużo tkanki tłuszczowej. Razem z kroczem tej małej wyciąłem naprawdę wielki kawał cholernego smalcu.

– Boże... Niech pan się zamknie.

– Słucham? To nic nadzwyczajnego, w wycinaniu uprawiłem się już wcześniej. Z tą trzynastolatką poszło mi naprawdę gładko. Wystarczy, że ma się ostry scyzoryk i umie się właściwie poprowadzić cięcie. Chodzi o to, by odkrawać skórę od mięsa oraz ścięgien, a przy tym nie powtarzać nacięć. Ściągał pan kiedyś skórę z gotowanego kurczaka? Na pewno tak. To bardzo podobny proces, ale gotowanie znacznie go ułatwia. Nie trzeba tak bardzo się męczyć. Tak jak mówiłem, tłuszczem nie ma się co przejmować. Później można go bez większego problemu usunąć. Gdybym mógł ugotować te ciała, a dopiero potem z nich powycinać...

Z sekundy na sekundę twarz mężczyzny była coraz bladsza. Głośno przełknął, jakby chciał powstrzymać wymioty. Szybko oddychał i nie patrzył już w moją stronę. Wbił wzrok w podłogę. Nagle zerwał się i pobiegł do drzwi. Zaczął w nie walić pięściami.

– Strażnik! Strażnik!

Jego wrzask sprawił, że się roześmiałem. Nigdy wcześniej nie czułem się równie silny i wyjątkowy.

– Prowadźcie mnie do naczelnika! Słyszeliście, co wygaduje ten człowiek? Wiecie, co on zrobił? Wiecie, co on, kurwa, zrobił?!

Szczęknięta zasuwa i nagle oprzytomniałem. Świeże powietrze z korytarza zdzieliło mnie w twarz niczym rąbnięcie. Po co gadałem o tym wszystkim? Aby przez chwilę poczuć się jakimś bogiem? Aby przestraszyć tego cholernego mężczyznę?

Teraz...

Osunąłem się i siadłem przy ścianie. Teraz to ja zacząłem się telepać.

Wezwany do naczelnika Kolanowski utrzymywał, że osadzony z nim mężczyzna musiał wszystkiego dowiedzieć się z gazet lub zmyślić. Nie przyznawał się, aby o czymkolwiek z nim rozmawiał. Nadal siedł w zaparte, twierdząc, że jest całkowicie niewinny. Zapewniał, że kurtka, na której znaleziono ślady krwi, wcale nie była jego. Miał ją ukraść z szatni kawiarni, po tym jak ktoś zabrał jego „olimpijkę”. Gdy śledczy oświadcza, że ma świadków, którzy widzieli go w niej kolejny rok, milczy.

82.

Matka. Spogląda na mnie tak, jak zawsze. Dla niej się nie zmieniłem. Jestem przecież tym samym Edkiem, z którym chodziła na cmentarz. Którego zostawiała, żeby pobawił się w okolicy. Z którym jeździła do kolejnych ośrodków i sanatoriów. Z którym łąziła po psychiatrach i innych specjalistach. Na którego wściekła się dopiero wtedy, gdy trafił do więzienia za próbę gwałtu. Teraz też powinna być wściekła na swojego Edka.

Myślenie o sobie w trzeciej osobie pozwala poczuć dystans. Sprawia, że nagle problemy przestają się wydawać tak zupełnie nie do rozwiązania. Tracą ciężar. Myśleć o sobie w taki sposób nauczyłem się w zakładzie karnym. Gdy sam stałem się ofiarą gwałtu, poczułem, że moje ciało nie ma znaczenia. Na moment oderwałem się od niego i nie czułem bólu. Byłem gdzieś poza nim.

Zdarzało się, że czasem gadałem sam ze sobą. Byłem Edem i Edą. Mundkiem i Mundą. Te postaci mi się mieszały. Wyobrażałem sobie, że siedzę gdzieś obok siebie. Że rozdwarzam się i jestem w dwóch miejscach naraz. Że to na siebie gapię się przez okno. Albo że sam ze sobą gram w durne gierki.

Co czujesz po wysłuchaniu mojej historii? Nie chciałem się usprawiedliwiać. Zresztą doskonale wiem, że usprawiedliwianie się przed samym sobą jest bez sensu. Znam swoje winy i problemy. Wiem, że moje życie nie mogło potoczyć się inaczej. Gdy o tym myślę z perspektywy trzydziestu paru lat, jestem przekonany, że stałem się ofiarą przeznaczenia. Tak jak ty, ty i ty.

– Synu...

Ciężko wzdycham i podnoszę wzrok. Matka nerwowo zaciska dłonie. Widzę, że w oczach ma łzy, ale nie pozwala sobie na płacz. Jest poważna i opanowana.

Uśmiecham się. Przynajmniej staram się uśmiechnąć tak, jak uśmiechałem się do niej zawsze. Przecież nie byłem złym synem.

– Mamo, ja naprawdę...

– Nie – przerywa mi, kręcąc głową. – Widziałam dokumenty i rozmawiałam z milicjantami.

– Wierzysz im? – Głos mi się łamie. – Naprawdę wierzysz tym gnojom?

Zaciska usta. Na moment.

– Synu, sam najlepiej wiesz, jaka jest prawda. Masz to w sercu tak samo, jak ja mam miłość do ciebie.

– Znam prawdę.

– Więc dalej się zamierzasz opierać?

Opuszczam głowę i pociągam nosem. Nagle uderzają mnie rozmaite emocje. Miłość, strach, rozpacz... Oddycham przez usta. Drżą mi dłonie i nawet nie staram się tego opanować. Teraz nie muszę udawać.

To oni sprowadzili tu matkę. Nie mówi swoimi słowami, a jednak w jej oczach widzę, że nadal mnie kocha. Chce dobrze, choć nie ma pojęcia, co to „dobrze” teraz dla mnie oznacza. Ja wiem o tym aż zbyt dokładnie. Miałem dość czasu, by o tym usłyszeć.

– Jesteś moim jedynym dzieckiem – szepcze.

Tak, niestety. Zapewne Andrzej nie stałby się kimś takim jak ja. Tyle że to przez niego moje życie potoczyło się właśnie w ten sposób. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Po prostu nie miałem wyboru.

Sam nie wiem, czy chcę być szczery. Kładę dłoń na dłoni, by opanować ich drżenie.

– Co mam zrobić? – pytam. – Czego ode mnie oczekujesz?

– Będę cię kochać aż do śmierci, ale tylko jeśli wyznasz wszystko temu panu, który mnie tu przyprowadził. Musisz powiedzieć mu wszystko. Wszystko. Rozumiesz?

– Ufasz mu?

– Tak.

Śmieję się nerwowo. Wyprostowuję i odchylam do tyłu głowę. Siedzisz tuż obok mnie. Jesteś moim bratem albo moją siostrą. To nie ma znaczenia. Gdybym mógł, zabiłbym cię. Tylko w ten sposób rozładowałbym wściekłość. Gdybyś była moją siostrą, to do tego...

– Posłuchasz mnie?

Wzruszam ramionami. Udaję, że słowa matki nie robią na mnie żadnego wrażenia.

– Naprawdę cię nie interesuję? Aż tak bardzo mną gardzisz?

– Nie mów tak.

– Modliłam się za ciebie.

Być może to pierwsze słowa, które padają z jej ust bez uprzedniej konsultacji ze śledczymi. Modliła się za mnie. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Tak samo jak przed trzydziestu laty modliła się za duszę mojego brata. Ciekawe, z jakim skutkiem.

Jesteś tu? Może przez cały ten czas przebywałeś gdzieś obok mnie? Zobacz, co zrobiłeś.

Nerwowo zaciskam i rozluźniam dłonie. Podnoszę wzrok. Matka była jedyną osobą, na którą nigdy nie bałam się patrzeć. Nie unikałam kontaktu wzrokowego z nią. Być może dlatego tak dobrze pamiętam rysy jej twarzy. Te dawne i te dzisiejsze. Te sprzed paru dni.

– Będziesz miała okazję pomodlić się za mnie, gdy umrę... – szepczę. – Do tego czasu modlitwy już nic nie mogą zmienić.

– Powiesz im prawdę?

Uderzam dłonią w stół. Mam tego dość. Nawet matce bardziej zależy na jakiejś cholernej prawdzie niż na mnie. Jakie znaczenie ma prawda?

– Chcę wyjść – odzywam się do strażnika. – Zaprowadź mnie do celi.

– Synu...

– Nie mów nic więcej. Proszę cię.

– Będę się teraz za ciebie modliła tak samo, jak zawsze się za ciebie modliłam. Kocham cię.

Zatrzymuję się w progu i uśmiecham się ironicznie.

– Jak zawsze się za mnie modliłaś? Naprawdę? I co, do cholery, dały te wszystkie modlitwy? Zobacz, gdzie jesteśmy i do czego Bóg za twoim wstawiennictwem dopuścił. O to się modliłaś?

Usta matki drżą. Nagle wybucha płaczem. Chowa głowę między ramiona. Głośno pociąga nosem i łka. Dławi się łzami. Śledczy staje tuż przy niej i kładzie dłoń na jej ramieniu.

Opadam z sił. Chcę się do niej odwrócić i ją przytulić, lecz strażnik wypycha mnie z pokoju widzeń. Ostatni raz zerkam na jej drobną sylwetkę. Zapewne ma teraz świadomość, że przeżyje obu synów.

– Mamo... – szepczę zbyt cicho, by mogła mnie usłyszeć. – Ja cię też kocham. I przepraszam...

Tak bardzo cię przepraszam, mamo. Nigdy nie chciałem cię zawieść. Tylko ty mnie nigdy nie zdradziłaś, choć teraz...

Nie. Ucinam rodzącą się myśl. Matka mnie nie zdradziła. Zmanipulowali ją tak, że sądzi, że robi dobrze. Jest o tym przekonana. To dobra i podatna na sugestie kobieta. A może chce, żebym wreszcie zaznał spokoju?

Padam na łóżko w celi i zwijam się w kłębek. Płaczę. Moim ciałem wstrząsają dreszcze. Nie chcę umierać, ale mam dość trzymywania tej prawdy w sobie. Kiedy opowiadałem o zabójstwie trzynastolatki mężczyźnie w celi, wcale nie byłem dumny. Choć

wyglądało, jakbym się chwalił, ja tylko chciałem komuś to wszystko wyznać.

Tak. Jestem Zimnym chirurgiem.

Ale jestem też zwykłym człowiekiem, którego przeznaczeniem było przejść przez życie właśnie w taki sposób.

To moja historia.

Kilka dni po odwiedzinach matki Edmund Kolanowski wreszcie przyznaje się do swoich czynów. Zaczyna współpracę z milicją. Bierze udział w wizjach lokalnych oraz nie unika badań psychiatrów. Zdaje się samemu zafascynowany własną psychiką.

PROTOKÓŁ BADANIA PSYCHIATRYCZNEGO

[...]

4. W odniesieniu do zarzutów trzech zabójstw – jego zdolność do rozpoznania znaczenia czynów i pokierowania swym postępowaniem nie była ograniczona w stopniu znacznym.

5. W odniesieniu do zarzutów kradzieży zdolność podejrzanego do rozpoznania znaczenia czynów i pokierowania swym postępowaniem była zachowana.

83.

– Wybierzemy się na wycieczkę. Może po raz ostatni powdychasz świeże powietrze i popatrzysz na niebo. Może po raz ostatni będziesz miał większą perspektywę niż od ściany do ściany. Co, Kolanowski? Cieszysz się?

To już mnie nie obchodzi. Teraz pragnę jedynie po raz ostatni ożywić swoje wspomnienia. Obrazy, które zabiorę ze sobą do grobu.

Prokurator prowadzi mnie przed sobą. Po obu moich stronach idą milicjanci. Przechodzimy przez bramę cmentarza i idziemy prosto. Paręnaście osób przygląda się nam z odległości. Ich spojrzenia utkwione są we mnie.

– Morderca dzieci! – krzyczy wysoki mężczyzna.

– Morderca! Morderca! – dołączają do niego dwie kobiety.

Nie patrzę na nich. Przyśpieszam kroku i pokonuję trasę, którą doskonale pamiętam. Mógłbym przejść ją z zamkniętymi oczami

– Uciszcie tych ludzi – nakazuje prokurator. – Wyprowadźcie ich z cmentarza.

Kilku milicjantów odłącza się od naszej grupy. Ich kroki skrzypią na śniegu.

– Prowadzisz nas do pierwszego grobu?

Kiwam głową. Chłonę każdy szczegół otoczenia. Nagie, przyprószone śniegiem drzewa, okryte śnieżnymi czapami tuje oraz nagrobki. Odruchowo rozglądam się w poszukiwaniu świeżych grobów. Nie znajduję ich.

Skrećam w boczną alejkę, po czym na chwilę przystaję. Spoglądam w stronę kaplicy i grupy żałobników. W powietrzu

wyczuwam woń kadzidła. Ponure nawoływanie księdza przypomina mi, że nigdy się z tego nie wypowiedziałem. Powinienem był to zrobić w kościele Matki Boskiej Bolesnej. To dobra nazwa. Teraz być może już nigdy go nie zobaczę.

Przeciągam butem po śniegu i uśmiecham się do siebie. Wyprostowuję się. Jeszcze raz zerkam na kaplicę. Trumny kobiet i mężczyzn niczym się nie różnią. Po śmierci przysługują nam takie same kwatery.

Patrzę na kobietę w futrze. Stoi przygarbiona i obraca w dłoni nieodpalonego papierosa. Jest odwrócona do mnie bokiem. Nie dostrzega obecności kilkunastu milicjantów. Tkwi w swoim świecie tak, jak wielokrotnie i ja tkwiłem.

– Kolanowski...

Kiwam głową.

– Tak. Już, zaraz.

– Teraz.

Powoli ruszam przed siebie. Nigdzie nie widzę miejsca przygotowanego na pochówek. Przychodzi mi na myśl, że powinienem chodzić na pogrzeby. Gdybym tylko obserwował klepsydry, nie musiałbym tracić czasu na szukanie świeżych grobów. Za późno. Dlaczego wpadłem na to dopiero teraz?

Kątem oka wciąż obserwuję tamtą kobietę. Futro zniekształca jej kształty, więc wyobrażam sobie, że je z niej zdzieram. Że rozpruwam je razem z koronkową bluzką oraz spódnicą. Dobieram się do jej stanika. Chwytam jej piersi i zaciskam na nich dłonie. A potem zrywam z niej brudne, mokre majtki. Nie może mi się oprzeć i...

– Kolanowski, to tutaj?

Prokurator ściska mnie za rękę. Mruży oczy i wymienia porozumiewawcze spojrzenie z jednym ze śledczych.

– Nie. – Kręcę głową. – Musimy się cofnąć. Chyba poszliśmy nieco za daleko i minęliśmy ten grób. Przepraszam, to przez ten

śnieg.

– Nie sprawdzajcie mojej cierpliwości.

– To przez ten śnieg – powtarzam i po raz ostatni zerkam na kobietę w futrze.

Spuszczam głowę, aby ukryć, że się uśmiecham. Właściwie nie wiem, dlaczego to robię. Zaczynam odczuwać narastające podniecenie. Nawet teraz.

Znów się uśmiecham.

– To mój ostatni raz – szepczę. – Mój ostatni raz na cmentarzu.

Z WIZJI LOKALNEJ

Na tym cmentarzu dokonałem trzykrotnie zbezczeszczenia zwłok. Pierwszy wypadek był w prawo od miejsca, w którym się znajdujemy. Dwa pozostałe na lewo od miejsca, w którym się znajdujemy. Po dokopaniu się do trumny otwarłem ją, wykręcając śruby boczne, i przeciąłem scyzorykiem odzież.

84.

POZNAŃ

STYCZEŃ 1985 R.

– Wycofuję swoje zeznania ze śledztwa, bo wymuszone zostały biciem. Bito mnie po łydkach i piętach.

Słyszę szmer, który przetacza się po sali.

– Prawdę będę mówił tylko na rozprawie – dodaję.

Sędzia zadaje mi kilka pytań, a ja odpowiadam na nie automatycznie. Spodziewałem się każdego z nich. Mój adwokat nie aprobował taktyki wypierania się winy. Twierdził, że na pewno uda się dowieść mojej niepoczytalności. To miało mnie uratować od stryczka. Tyle że ja doskonale wiedziałem, że nie jestem niepoczytalny.

– Jestem niewinny – oświadczyłem podczas ostatniego spotkania z mecenasem. Ten tylko cicho westchnął. Nie wierzył mi.

Naprawdę nie chcę umierać. Ostatnie miesiące wystarczyły, bym wystarczająco mocno zdał sobie z tego sprawę. Nie ma niczego gorszego niż śmierć. Nie ma w niej zaspokojenia. Nawet jeżeli się mówi o tym ostatnim wytrysku spełnienia – co mi po nim? Czy to znaczy, że na drugą stronę pójde wreszcie całkowicie spokojny?

Nie mam ochoty na seks. Nie interesują mnie już żadne kobiety. Żyję wspomnieniami, które czasem mnie podniecają, ale na krótko. Chciałbym stąd wyjść i po prostu być sobą – kimkolwiek bym był. Mogliby mnie wykastrować lub zrobić, co zechcą, byle pozwolili mi żyć. Najważniejszym z instynktów jest instynkt przetrwania.

- Czy oskarżony zrozumiał treść zarzutów?
- Zrozumiałem.
- Czy przyznaje się do winy?
- Nie przyznaję się do popełnienia pierwszych pięciu czynów.
- A do pozostałych?
- Do pozostałych tak.

Przyznaję się do zbezczeszczenia zwłok. Jestem gotów ponieść za to pełną odpowiedzialność. Jestem gotów trafić do więzienia, wiedząc, że jeszcze wyjdę na zewnątrz, za pięć czy dziesięć lat. To nie ma znaczenia. Jestem jeszcze młody i chcę wierzyć, że całe życie przede mną. Że gdy wyjdę, będzie zbudowane nowe osiedle Kopernika, a w kinach pojawią się nowe filmy.

Tak. Mam przed sobą całe życie.

„A dlaczego zabrałeś życie, które było przed trzynastoletnią Aliną?”

Cicho.

Ten głos pojawia się w mojej głowie coraz częściej. Ożywiają go spojrzenia sądu i prokuratora. Pełne pogardy spojrzenia publiczności. Nawet mój adwokat...

Zamknij się, zamknij się, zamknij się.

Z PROTOKOŁU ROZPRAWY

W czasie przesłuchiwania była użyta siła względem mnie. [...] Byłem bity po piętach, po plecach, po twarzy... I dlatego się przyznałem. [...] Mówiłem o tym, że byłem bity wyłącznie w pięty, gdyż ten ból był dla mnie najbardziej dokuczliwy.

85.

– Oskarżony zostaje uznany za winnego...

Powoli wypuszczam powietrze. Wbijam palce w oparcie ławy przede mną. To przywodzi wspomnienia, o których nie muszę ci mówić. Przymykam oczy i na chwilę przestaję słuchać.

Wdech i wydech. Koncentruję się tylko na swoim oddechu. Wyobrażam sobie siebie z boku. Wyglądam całkiem porządnie, ale nie mogę się załamać. Być może jestem jedyny na świecie. Psychiatrzy mówili, że podobny do mojego przypadek zdarzył się pod koniec zeszłego stulecia gdzieś w zachodniej Europie. We Francji albo w Hiszpanii. Już nie pamiętam. Poza tym nigdzie. Nigdy i nigdzie.

Otwieram oczy i wbijam wzrok w podłogę. Nie mam odwagi spojrzeć w stronę publiczności ani sądu. Kładę dłoń na dłoni, aby, jak zwykle, zamaskować ich drżenie. Chcę zachować się z godnością.

– W tych okolicznościach wyrok może być tylko jeden. Oskarżony zostaje skazany na karę śmierci...

Uginają się pode mną nogi. Świat wiruje, lecz całą siłą woli trzymam się w pionie. Uśmiecham się, a raczej wykrzywiam usta w nerwowym grymasie. Wiem, że uwaga wszystkich jest teraz skupiona tylko na mnie.

Zimny chirurg. Tak mnie zapamiętają.

Robi mi się niedobrze.

Ponownie przymykam oczy i przypominam sobie strzęp materiału, który znalazłem w grobowcu, gdy miałem kilka lat. Poruszam palcami, starając się ożywić wspomnienie jego faktury.

Drapię paznokciem drewniane oparcie przede mną. To mnie uspokaja.

Mogę wyjść na powierzchnię i zlekceważyć krzyki starszego małżeństwa. Podchodzę do matki, a ona przyciąga mnie do siebie. Jest spokojna. Prowadzi mnie z powrotem do domu, a wieczorem, jak zawsze, zjemy wspólnie kolację.

Może znów zajrzy do nas ojciec? Ledwie go pamiętam. Stanowi tylko jedną fotografię w milionie zdjęć, które wypełniają album mojej pamięci. Nie jestem nawet pewny, czy miał jasne, czy ciemne oczy. Nigdy nie byłem na jego grobie i nigdy się za niego nie pomodliłem. Teresko, czy ty pomodliłaś się za mnie? I ty, mammo?

A ty? Potrafiłabyś się w ogóle za mnie pomodlić?

Tak bardzo się boję, lecz ciągle staram się uśmiechać. Milicjanci ciągną mnie na korytarz. Nie opieram się. Otwieram oczy i patrzę pod nogi. Stawiam kolejne kroki. Z każdym z nich wyczerpuję pulę, która została mi zapisana.

Podnoszę wzrok i lustruję kobietę, która patrzy na mnie z pogardą. Zastanawiam się, co ma pod bluzką. Jaki stanik włożyła i jakie majtki? Jak gładka jest jej skóra? Podoba mi się krągłość jej bioder, ale piersi ma nieco zbyt małe, choć po jakimś czasie nie robi to żadnej różnicy. Przesuwam spojrzenie w dół, ku jej kroczu.

Kobieta zdaje sobie sprawę, gdzie patrzę. Wzdryga się i odruchowo cofa. Podnoszę wzrok, po czym uśmiecham się, spoglądając jej prosto w twarz. Tej, oczywiście, nie zapamiętuję. Mogła być blondynką, brunetką lub rudą.

Tobą albo tobą.

Zapolowałbym na każdą z was.

A potem dokonał starannej autopsji.

Byłybyście w najlepszych rękach.

Obrońca Edmunda Kolanowskiego złożył apelację, jednak 14 lutego 1986 roku Sąd Najwyższy utrzymał w mocy wyrok Sądu Wojewódzkiego w Poznaniu. Kolanowskiemu i jego adwokatowi pozostaje już tylko liczyć na łaskę Rady Państwa.

86.

POZNAŃ

**ARESZT ŚLEDczy PRZY UL. MŁYŃSKIEJ 1
25 CZERWCA 1986 R.**

Zasuwa szczęka, drzwi się otwierają. Do środka zagląda wysoki, młody strażnik – jeden z tych, którzy starają się nie okazywać mi niechęci. Jest ich niewielu.

– Kolanowski, macie gościa – oznajmia krótko.

Podnoszę się z pryczy i przeciągam się. Nie mam pojęcia, kto miałby mnie dziś odwiedzić.

Nie dopytuję o to. Jedną z więziennych zasad jest niezadawanie zbędnych pytań. Zaraz i tak wszystkiego się dowiem. Poza tym cała przyjemność tkwi w wyczekiwaniu. Odruchowo przeczesuję włosy i kiwam głową, że jestem gotowy. Odwracam się, by strażnik mógł założyć mi kajdanki.

Posłusznie idę obok klawisza, starając się nie zważać na lecące zewsząd wyzwiska. Idę jednak szybciej niż zwykle. Na szczęście strażnik również woli uniknąć awantur, więc przyśpiesza. Prawie biegniemy.

– Dajcie mi go tu, a się pozbędę problemu! – wrzeszczy ktoś z celi po mojej prawej.

Inni przyłączają się do niego.

– Wykastrujcie go! Obetnijcie mu jaja!

Staram się nie słuchać. Wyobrażam sobie siebie z zewnątrz. Obserwuję długi korytarz gdzieś z góry. Jakbym na moment wyszedł z ciała i zawiesił się pod sufitem. Dlatego mam lekko przymknięte oczy. Czasem się potykam.

– Cwel!

Ktoś na mnie pluje, ale nie zwracam na to uwagi. Strażnik również. Klepie mnie w plecy, dając znać, bym jeszcze przyśpieszył.

W końcu wkraczamy do kolejnego bloku. Wrzawa zostaje za naszymi plecami. Klawisz otwiera solidne drzwi i skręcamy w następny korytarz. Po kilkadziesiąt sekundach stajemy przed pokojem widzeń. Byłem tam już kilkakrotnie. Zaczynam się domyślać, kto jest w środku. Jednocześnie zaczynają drżeć mi dłonie. Oblepia je pot. Odwracam się i spoglądam na strażnika. Jego twarz pozostaje nieprzenikniona, ale oczy...

Jeżeli ktoś tak rzadko jak ja spogląda innym w oczy, potrafi dostrzec w nich niezwykle niuanse. Rozszerzenie źrenicy jako oznaka przestרחu, skonsternowane rozbieganie, gniewne zerknięcia... Detale, które pozwalają nam wszystko zrozumieć. Strażnik obrzuca mnie krótkim, ale poważnym spojrzeniem. Otwiera drzwi i wpuszcza mnie do środka.

– Zdejmijcie mu kajdanki. – Słyszę głos mojego adwokata.

– Naczelnik zabronił.

– Zgodnie z prawem...

Drzwi za mną się zamykają i staję naprzeciw prawnika. Jego spojrzenie jest równie poważne jak spojrzenie strażnika, lecz kryje się w nim także lekkie zmieszanie.

Na przywitanie ponuro kiwa głową. Unosi brwi i otwiera usta, ale zaraz znowu je zamyka. Doskonale rozumiem, co ma na myśli. Nie musi nic mówić.

Moje nogi robią się miękkie i głośno wypuszczam powietrze, byle tylko się nie rozplakać. Do oczu płyną mi łzy. Dłonie drżą tak mocno, że kajdanki dzwonią.

– A więc to koniec... – szepczę.

– Tak – przyznaje adwokat.

Uśmiecham się i pociągam nosem.

– Przykro mi.

– Naprawdę jest panu przykro? – pytam. – Dlaczego? Liczył pan, że mnie ułaskawią?

– Nie.

– Więc dlaczego jest panu, do cholery, przykro?

Wzdycha i spuszcza wzrok.

– W obliczu śmierci zawsze mi przykro – mówi szczerze. – Na każdym pogrzebie i przy każdym takim wyroku.

– Nie jestem jak każdy.

– Wiem.

Ale umrę tak jak każdy. Nie jestem nieśmiertelny. Na stryczku wszyscy są tacy sami. Gdy pętla zaciska się na ich podbródku, srają pod siebie i mają wytrysk. Zapewne ostatnią myślą zawsze jest ta, by egzekucja się udała. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, śmierć nadchodzi w ułamku sekundy. Przy minimalnym błędzie kata dynda się na sznurze i dławi nawet przez kilkanaście minut. Zdarza się również, że lina urywa skazańcom głowę. To pewnie szybka śmierć, ale mało przyjemna. Choć myślę, że dla kogoś takiego jak ja, dla kogo twarze nigdy nie miały znaczenia, byłaby ironicznie słuszna. O wszystkim tym miałem już okazję wielokrotnie myśleć. Poza tym śledczy nie szczędzili mi sugestii, jak to wszystko się skończy. Chyba nigdy nie miałem złudzeń.

Adwokat kładzie na niewielkim stoliku krótkie pismo. Wystarczy, że czytam jego pierwsze zdanie.

„Skazany Edmund Kolanowski na ułaskawienie nie zasługuje”.

– To ładny tytuł dla artykułu. Prawda?

Udaje mi się zachować normalny ton głosu, choć wewnętrznie właśnie się rozpadam. Mam wrażenie, że ściany celi zaciskają się i zaraz nas zmiążdżą. Wszystko wiruje. Buja się, jakbyśmy byli na pokładzie tonącego statku.

– Przykro mi – powtarza adwokat.

Podchodzi do mnie i kładzie mi dłoń na ramieniu. Nie patrzy mi przy tym w oczy. Wreszcie zaciska usta, po czym zbliża się do drzwi. Wali w nie pięścią.

– Strażnik!

– A więc to koniec... – szepczę.

Nogi się pode mną uginają i zapadam się w niebyt niczym w sen. Choć teraz zapewne się jeszcze obudzę.

87.

Z trudem utrzymuję równowagę. Deski szafotu trzeszczą, a kat po raz ostatni sprawdza linę, którą przygotowano specjalnie dla mnie, z uwzględnieniem moich wymiarów i wagi.

Przypominam sobie Kazimierę. Jestem ponownie w ciemnym, jesiennym lesie i maszeruję kilka kroków za nią. Obserwuję ruch jej bioder. Słucham, jak szczebiocze.

Nie, nie chcę rozgrzeszenia.

Idę coraz szybciej. Teraz już wiem, jak wygląda jej nagie ciało. Jednak pozwalam się jej prowadzić. Pod butami szeleszczą mi liście i łamią się gałęzie. Nie sięgam po żadną z nich.

Nie będzie ostatnich słów.

Kobieta przede mną nagle się zatrzymuje. Odwraca się i spogląda na zegarek.

– Czas zgonu ósma szesnaście – stwierdza diabelskim głosem.

Jej szczeka opada, a z ust zionie pustka. Oczy zapadają się w głąb czaszki. Z twarzy w ułamku sekundy zaczyna się łuszczyć zgniła skóra.

Kobieta jest martwa.

I ja jestem martwy.

Wreszcie poznaliśmy wszystkie swoje tajemnice, moja droga Laleczko.

– Czekałam na ciebie – mówi.

Wyrok na Edmundzie Kolanowskim wykonano przez powieszenie 28 lipca 1986 roku. Była to ostatnia kara śmierci wykonana w Poznaniu.

Zimny chirurg został pochowany 1 sierpnia 1986 roku na cmentarzu miłostowskim – niedaleko grobów swojego brata oraz ofiar. Jego grób został opłacony przez Areszt Śledczy w Poznaniu do 2026 roku.

Przypadek Kolanowskiego jako nekrofila oraz mordercy wykrawającego organy płciowe trafił na karty podręczników kryminalistyki oraz psychiatrii na całym świecie jako jeden z nielicznych przypadków podobnego zaburzenia.

Nigdy nie odnaleziono zwłok dwudziestojednoletniej Kazimiery G. W trakcie wizji lokalnej morderca starał się wskazać miejsce, w którym je zakopał, lecz z powodu zmian ukształtowania terenu mu się to nie udało.

Nie ustalono, jak wielu aktów zbezczeszczenia zwłok dopuścił się Edmund Kolanowski.

--= FADE TO BLACK =--

SŁOWO OD AUTORA

Prawda ponownie okazała się bardziej przerażająca od fikcji. Gdyby *Zimny chirurg* nie został oparty na faktach (a opisane tu zbrodnie nie były zbeletryzowanymi faktami), zapewne pojawiłyby się głosy, że główny bohater jest postacią zupełnie oderwaną od rzeczywistości. Upierano by się, że podobne mu Zło nie istnieje i istnieć nie może. Że to ocierająca się o groteskę przesada.

A jednak...

Zło może przybrać niewyobrażalne formy i kształty. Osadzone tu i teraz, potrafi uświadomić, do czego zdolny jest człowiek. Przedstawione wydarzenia wydarzyły się nie w jakiejś odległej przeszłości lub w nieznanym państwie. Przerażająca jest myśl, że my sami lub rodzice niektórych z nas mogliby być ich uczestnikami. Świadomość tego faktu działa na wyobraźnię.

Pracując nad *Rzeźnikiem*, starałem się zgłębić psychikę Józefa Cypka i na jej podstawie pokazać jego ewentualne motywacje. Taki proces utwierdził mnie w przekonaniu, że tytułowy Rzeźnik z Niebuszewa dokonał kolejnych zabójstw – za które jednak nigdy nie został skazany. Wszystkie elementy zaczęły doskonale do siebie pasować. Wydawało mi się, że potrafię zrozumieć.

W przypadku *Zimnego chirurga* proces twórczy przebiegał zgoła inaczej. Na podstawie dostępnych danych już przed postawieniem pierwszej litery miałem całościowy ogląd sprawy. Główna trudność polegała na wczuciu się w sposób działania umysłu Edmunda Kolanowskiego. Kiedy poznałem jego wyjaśnienia ze śledztwa, materiał dowodowy oraz szczegółowy przebieg rozpraw,

jego historia nie miała dla mnie wielu tajemnic. Była przerażająca, wręcz nieprawdopodobna, ale klarowna.

Problem tkwił jednak gdzie indziej, niż sądziłem. Nie wystarczył wszechstronny ogląd sprawy. W trakcie kilku tygodni pisania – ponownie w narracji pierwszoosobowej – musiałem jak najmocniej wcielić się w postać mordercy. Moim celem było odtworzenie jego procesów myślowych oraz emocji. Mam wrażenie, że często się o nie ocierałem.

Po odsłuchaniu nagrań z wizji lokalnych, śledztwa czy rozprawy w mojej głowie rozbrzmiewał głos Kolanowskiego. Wczułem się w rytm jego języka i konstrukcję wypowiedzi. Początkowo starałem się nadać podobny charakter książce, co miało dodać jej autentyczności. Po kilku stronach zrezygnowałem z tego zabiegu. Zdałem sobie sprawę, że podobny zapis byłby dla czytelnika nieprzyjemny i trudny w odbiorze. Jednocześnie przyprawiłby o szaleństwo redaktorki, a ich zdrowie w kontakcie z moimi książkami jest już wystarczająco nadwątłone.

Mimo zaniechania tego naśladownictwa mam przeświadczenie, że pewne akapity czy choćby zdania mogły się dokładnie pokrywać z myślami Edmunda Kolanowskiego. Na jakiś czas nasze procesy myślowe stały się koherentne. To wywoływało nieprzyjemny dreszcz, lecz jednocześnie było intrygujące. Mam nadzieję, że poczucie Państwo ten sam dreszcz i moje (a może również jego...) emocje staną się Państwa emocjami.

W *Zimnym chirurgu* starałem się skupić tylko na wydarzeniach, które z pewnością się zdarzyły. Punktem wyjścia, a zarazem punktem docelowym miała być prawda. Unikałem jakiegokolwiek fikcji, która być może podbudowałaby fabularne napięcie, lecz byłaby oszustwem. Historia została obdarta z upiększeń oraz wzbogaceń. *Zimny chirurg* ma stanowić próbę odtworzenia procesu powstania i funkcjonowania osobowości zdolnej do najgorszych czynów.

Podkreślić w tym miejscu należy, że poza licznymi danymi z pierwszej ręki znaczną część cytatów z akt przytaczam za reportażem Michała Larka i Waldemara Ciszaka *Martwe ciała*. Rzeczywistość pandemiczna uniemożliwiła mi ich ostateczną weryfikację.

Doświadczenia pisarskie przy prawdziwych historiach mają w sobie coś mistycznego – być może kosztując ich już raz, uzależniłem się. Mam nadzieję, że nie ze szkodą dla czytelników. Wiem, że lektura *Rzeźnika* u wielu odbiorców wywołała bardzo głębokie emocje. Szczególnie zapadła mi w pamięć wiadomość od mężczyzny, którego żona kazała mu pozbyć się tej książki z domu. Dostrzegła w niej emanację najczystszej Zła. Być może to dla mnie najlepszy komplement.

Poza tym, co znacznie ważniejsze, historie Edmunda Kolanowskiego i Józefa Cyppka niosą ze sobą pewną naukę. Bezwzględne Zło może znajdować się tuż obok nas. Tak naprawdę nie znamy nawet najbliższych nam osób. Choć żyjemy w pozornie bezpiecznych czasach, zawsze powinniśmy być czujni.

Zawsze.

Bo nawet nasz świat nagle może przeniknąć Zło.

Tak jak zapewne się stało przed chwilą.

Ukłony
Max Czornyj

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Cytaty](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

20.

21.

22.

23.

24.

25.

26.

27.

28.

29.

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

44.

45.

46.

47.

48.

49.

50.

51.

52.

53.

54.

55.

56.

57.

58.

59.

60.

61.

62.

63.

64.

65.

66.

67.

68.

69.

70.

71.

72.

73.

74.

75.

76.

77.

78.

79.

80.

81.

82.

83.

84.

85.

86.

87.

SŁOWO OD AUTORA

Karta redakcyjna

Copyright © by Max Czornyj, 2020
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2020

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Roy Bishop/Arcangel

Redakcja: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki
Korekta: Zofia Żółtek/Słowne Babki
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:
„DARKHART”
Dariusz Nowacki
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8195-303-0

FILIA

Wydawnictwo Filia
ul. Kleeberga 2
61-615 Poznań
wydawnictwofilia.pl
kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona
mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Więcej darmowych ebooków i audiobooków na chomiku [JamaNiamy](#)